

**Nowe sojusze Europy ■ Kto gra cenami mieszkań ■ Prymus Macron
Tak chcą rodzić katolicki ■ Pan od przebojów ■ Śląski to więcej niż język**

Kraków 20-26 marca 2024 nr 12 (3898)

cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

**STO DNI RZĄDU,
30 LAT POLITYKI**

Jak się zmienił Donald Tusk

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480406

WYSTAWA

21.03. — 1.09.2024

Rynek Starego Miasta 32

muzeumwarszawy.pl

REKLAMA

JULIA KEILOVA

PROJEKTANTKA

KS. ADAM

Boniecki: Być jak Michał Heller

KIEDYŚ TADEUSZ RÓŻEWICZ, PYTANY O NAJWYBITNIEJSZYCH polskich poetów, wymienił kilku, bezspornych. Ale znalazł się wśród nich Michał Heller, który jest księdzem, matematykiem, kosmologiem i napisał w życiu tylko jeden wiersz. Ukazał się w miesięczniku „Znak” w 1974 r. i nosił tytuł „Modlitwa o unitarną teorię pola”. Nie będę go tu przytaczał, łatwo znaleźć. Ale gdyby komuś się nie chciało, to wystarczy, żeby przeczytał lead wywiadu z Michałem w tym numerze „Tygodnika”: „Chciałem kiedyś napisać hymn, w którym Boga by błogosławiły nie wody podniebne i ptaki niebieskie, tylko gromady galaktyk, promieniowanie i pierwotna plazma”. To mógłby być drugi wiersz jego autorstwa. W obu jest cały nasz bohater.



nigdy nie będzie tak, że problem relacji nauka-religia jest wyczerpany, każde pokolenie musi się z nim od nowa zmierzyć”. Heller przyznaje, że po napisaniu książki o Koperniku „sprowokowanej rocznicą” nie miał w planie następnej („chyba pierwszy raz w życiu”). Nie miał, ale już ma. Pomyśl przyszedł właśnie teraz. „Chciałem, żeby to była książka pożyteczna, ale taka, która nie wymaga za dużo studiowania źródeł, bo na to już nie mam czasu. Uznałem więc, że napiszę o problemach nauka-wiara, wspominając także ludzi, którzy się tym problemem zajmowali i których znałem...”.

Michała poznałem w latach 60. Pośrednikiem był mój zakonny współbrat Józef P. Też chyba – podobnie jak Michał – spędził jakiś czas życia w Związku Radzieckim. Dobrze się rozumieli i lubili wzajemnie. Michał został z rodziną wywieziony z Lwowa w 1940 r. Wschodnia Syberia, Jakucja, wyrąb lasu, głód. W 1944 r. zostali przewiezieni w okolice Saratowa. W 1946 r. wrócili do Polski.

Pisze książki nie tylko z zakresu nauk, które zgłębia. W jego bibliografii (zobaczcie jej rozmiary!) znajduje się też kilka pozycji rekolekcyjnych. Nie ma w tych rekolekcjach profesora nauk przyrodniczych, jest mądry duszpasterz, ksiądz, człowiek dobrze zaznajomiony z komplikacjami naszej kondycji.

Taki jest ks. Michał Heller. Nie jakiś naukowiec-dziwak, a naukowiec i jednocześnie wspaniały ksiądz, łagodny i wyrozumiały w obęjściu, życzliwy dla ludzi, a jednocześnie niezłomny w poszukiwaniu prawdy o świecie i Bogu. Przeczytajcie też uważnie, co w tym wywiadzie mówi o modlitwie. Choć nie jest tego wiele, może wam – nam – pomóc w naszych kłopotach. Kochany Michale, cudownie, że jesteś w tym samym czasie, co my jesteśmy, cudownie, że napisałeś tyle książek, dzięki którym jakoś, na naszą miarę, możemy iść z Tobą. Napisz zaplanowaną książkę i jeśli się da, kilka innych. Drogi Michale, sto lat życia. ©P

A może nie cały? Jest jeszcze Michał-mędrzec – cierpliwy, spokojny, nieskory do pochopnych konkluzji. Na koniec rozmowy z Łukaszem Kwiatkiem i Tomaszem Millerem powiada: „Dopóki nie mamy narzędzia, żeby coś rozstrzygnąć, to lepiej nie wiedzieć”. Doskonałe zdanie – zmusza do myślenia i to bardzo serio. Rzecz w tym właśnie, że zbyt łatwo i zbyt często sami rozstrzygamy, nie mając ku temu narzędzi.

O rozmowie niewiele tu będzie, bo nic mądrego nie potrafię do jej tematyki dodać. Ale o księdzu Hellerze mam coś do powiedzenia, owszem. Uważam, że fakt znajomości z nim już jest zaszczytem. Nigdy w naszych rozmowach nie wchodziłem ani na krok w strefę, w której on profesjonalnie żyje – nie znam się ani na kosmologii, ani na wyższej matematyce. Jednak Michał nigdy nie dał mi odczuć, że mu przeszkadza moja ignorancja. Tak już ma: wielki uczony, autorytet, choć bywa krytykowany, wszyscy go lubią. Zdziwiał, by nie powiedzieć – zaskakuje prostotą.

W wywiadzie delikatnie polemizuje z tezą, że problem relacji nauki i religii został już rozstrzygnięty. „Myślę, że

„Tygodnik Powszechny” na Wielkanoc!

Święta kobiet ▶ Przewodnik po Triduum ▶ Jak wyżywić świat i nie pożreć planety
Czego oczekujemy od polityków ▶ Pasterze lasu ▶ Mads, aktor o złej twarzy
Od studenckiej stołówki do gwiazdek Michelina

STEFAN CHWIN ■ MARCIN DUMA ■ MONIKA GAJDA ■ URSZULA HONEK
WOJCIECH JAGIELSKI ■ RYSZARD KOZIOŁEK ■ ANTONI KROH ■ GEORGE MONBIOT
ROGER PENROSE ■ ZBIGNIEW ROKITA

Wydanie świąteczne już **OD ŚRODY 27 MARCA** w najlepszych punktach z prasą





20 Gdzie znaleźć własny pokój
SZYMON ŻYŚKO
Brak mieszkań na rynku musiał doprowadzić do drożyzny i spekulacji. Jak przywrócić tu równowagę?



37 Rodzić po katolicku
PAULINA MODEL
Kultura okołoporodowa młodych katoliczek pokazuje, czego kobiety nie znajdują w Kościele.



64 Ulicznik znikąd
OLGA ŻYMINKOWSKA
Łatka „filozofa dla maturzystów” doprowadziła do akademickiej degradacji dorobku Alberta Camusa.



27 W tym języku czuję się lepszym człowiekiem
ZBIGNIEW ROKITA
Swoim istnieniem Ślązacy i ich język stawiają pytania fundamentalne dla przeżywania polskości.



49 Portugalczycy stawiają na zmianę
AGNIESZKA ZIELIŃSKA
Kraj skręca w prawo. Lider portugalskiej centroprawicy odwołuje się do tradycji dyktatury.



78 W dół mapy
MICHAŁ MILCZAREK
Trzymałem się ścieżki, którą szli kolejni turyści. Czas okrążył górę Uluru, ale nie prowadził do jej serca.

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 W punkcie zwrotnym
WOJCIECH PIĘCIAK

8-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR
SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Gdzie znaleźć własny pokój
SZYMON ŻYŚKO

24 Paradoxs Kaczyńskiego
PAWEŁ MUSTAŁEK: *Kandydując
ponownie na szefa PiS, lider tej
partii przyspieszy jej rozpad*

**27 W tym języku czuję się
lepszym człowiekiem**
ZBIGNIEW ROKITA

■ ■ WIARA

32 Równanie ostateczne
KS. MICHAŁ HELLER,
KOSMOLOG:
*Chciałem kiedyś napisać hymn,
w którym Boga błogosławiłyby
nie wody podniebne i ptaki
niebieskie, tylko gromady
galaktyk*

37 Rodzić po katolicku
PAULINA MODEL

41 Wybór korporacji
KS. JACEK PRUSAK SJ:
*Biskupi nie wybrali
duszpasterza, lecz zarządcę*

■ ■ ŚWIAT

44 Macron, syndrom prymusa
SZYMON ŁUCYK: *Paryż chce być
liderem antyrosyjskiej koalicji*

48 Czeska koalicja chętnych
MARTYNA WASIUTA:
*Od początku rosyjskiej inwazji
Praga jest wśród pionierów
wsparcia wojskowego
dla Ukrainy*

TEMAT TYGODNIKA



12 Jak się zmienił Donald Tusk

PIOTR ŚMIŁOWICZ

To jeden z nielicznych polityków, który
potrafi wyciągać wnioski ze swoich błędów.
Ma też dar zjednywania sobie ludzi.

■ STRONY SPECJALNE ■

62 FESTIWAL MISTERIA PASCHALIA 2024

■ FELIETONY ■

31 TOMASZ STAWISZYŃSKI
43 ZUZANNA RADZIK **53** ELIZA KĄCKA
76 OLGA DRENDĄ **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: DONALD TUSK
FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „NEWSWEEKA”

Redaktor prowadzący:
MAREK RABIJ

**49 Portugalczycy stawiają
na zmianę**
AGNIESZKA ZIELIŃSKA

■ ■ HISTORIA

54 Miejsce po, miejsce bez
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI,
GRAŻYNA MAKARA:
*Tej przestrzeni trzeba się
przyjrzeć, żeby usłyszeć jej
opowieść – o nowej wystawie
na terenie niemieckiego obozu
KL Płaszów*

■ ■ NAUKA

58 Gdy Arktyka straci lód
WOJCIECH BRZEZIŃSKI:
*Polarna północ ociepla się
czterokrotnie szybciej,
niż wynosi średnia dla całego
globu. To zmiana, która
dotknie nas wszystkich*

■ ■ KULTURA

64 Ulicznik znikąd
OLGA ŻYMINKOWSKA

68 Skąd się biorą piosenki
JAN BŁASZCZAK:
*Bartosz Dziedzic pracował
przy powstaniu dużej części
największych polskich
przebojów muzycznych*

71 Patyczaki
REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI:
*Komiksy polskich
minimalistów łączą zasada
zapożyczona od Mrożka
– mniej znaczy lepiej*

74 Lekcje dla dorosłych
ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Pokój nauczycielski”
w reżyserii Ilkera Çataka

75 System, naród, wolność
LEKTOR o książce Wasilija
Grossmana „Wszystko płynie”

■ ■ ZMYŚŁY

78 W dół mapy
MICHAŁ MILCZAREK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Polskie konklawe

Dlaczego biskupi wybrali abp. Tadeusza Wojdę na szefa
Konferencji Episkopatu? Co to oznacza dla polskiego Kościoła?
Komentarze, wywiady i opinie – na powszech.net/nowy-episkopat

➔ Duda i Tusk w USA

O śmigłowcach, elektrowni jądrowej, dalszym wsparciu dla Ukrainy
oraz o tym, dlaczego spotkanie polskiej delegacji z prezydentem USA
było ważne dla obu stron. Czytaj na powszech.net/wizyta

Wybierz dziś swoją prenumeratę na stronie **52**

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

W PUNKCIE ZWROTNYM

PIĘĆ MINUT: TYLE DZIELIŁO GO OD CELU. Dziś zastanawia się, co by było, gdyby jechał szybciej. Gdyby nie zmierzch, który sprawił, że na dziurawej drodze nie mógł dodać gazu, nie ryzykując utraty koła. Gdyby nie niepewność, czy nie błdzi. Jechał bez nawigacji, bo jeśli nawet ta funkcjonuje w strefie frontowej, telefon lepiej wyłączyć. Orłany, zwiadowcze drony Moskali, udają stacje telefonii komórkowej. Krążą, szukają celów, aby na te zidentyfikowane naprowadzić rakietę lub drona kamikadze. Albo, jak tu, kierowaną bombę lotniczą.

Spadła pięć minut przed tym, nim dotarł na miejsce: do medycznego punktu stabilizacyjnego koło Czasiw Jaru. Dla tego stabpunktu, w wiejskim ośrodku zdrowia, prowadził spod Lwowa karetkę (kupili ją ze zrzutki policjanci z Nie-

Wizyta prezydenta i premiera w USA oraz spotkanie Trójkąta Weimarskiego to elementy większej całości. Być może kiedyś historycy napiszą, że wiosna roku 2024 była momentem założycielskim Europy, gotowej bronić swoich idei także orężem.

WOJCIECH PIĘCIAK

POWYŻEJ:
Spotkanie przywódców państw Trójkąta Weimarskiego. Emmanuel Macron, Olaf Scholz i Donald Tusk.
Berlin, 15 marca 2024 r.

mieć; karetki, służące ewakuacji rannych na tyły, są tu pilnie potrzebne, bo to „materiał eksploatacyjny” – często padają łupem dronów).

Dojeżdżał, gdy w ciemności zobaczył kulę ognia, w którą zamienił się stabpunkt. Dojechał i wraz z tymi, którzy przeżyli, ratował to, co było do ratowania. – Taka bomba to straszna rzecz, gorsza niż rakietka czy dron – mówi mi, a głos drży mu podczas rozmowy telefonicznej. Choć wiele widział przez tych 10 lat, odkąd zamknął firmę i został najpierw żołnierzem, a potem wolontariuszem.

KIEROWANE BOMBY lotnicze, o wadze 250, 500 lub nawet 1500 kilo, zrzucone z samolotów, od jakiegoś czasu sięją spustoszenie na froncie i jego zapleczu. Także psychiczne. Co dzień spada ich

kilkadzieści. Trudniej je unieszkodliwić niż rakiety. Skala ich użycia dowodzi, że w strefie frontowej Rosjanie coraz bardziej dominują w powietrzu i pozwalają sobie na aktywniejsze niż dotąd użycie lotnictwa.

Obrońcy próbują z nimi walczyć. Był moment, gdy Rosja traciła samolot dziennie. Ale żeby zwalczać wroga lotnictwo, trzeba wystawiać się na ryzyko wykrycia. Kilkanaście zniszczonych ostatnio ukraińskich systemów przeciwlotniczych (w tym dwie wyrzutnie Patriot) to wysoka cena. Jak długo można ją płacić bez pewności, czy z Zachodu nadejdą nowe systemy? A kiedy dotrą obiecane samoloty? Byle wówczas miał je kto obsługiwać. Ostatnie dni to także trzech poległych pilotów – ryzykowali, by powstrzymać rosyjskie naloty.

BEZ ZŁUDZEŃ: w 25. miesiącu ukraińskiej wojny o istnienie sytuacja na froncie jest zła. Braki materialne, braki w ludziach. Malejąca pomoc z zewnątrz po tym, jak ustało wsparcie z USA. Brak nadziei, jak i kiedy można skończyć ten koszmar.

Rok temu wraz z wiosną nadchodziła nadzieja, że kontrofensywa będzie punktem zwrotnym. Dziś pozostaje przekonanie, że trzeba dalej walczyć do końca, bo nie ma innego wyboru. Że nie można odpuścić, bo biała flaga nie zakończy cierpienia, lecz przyniesie nowe (czego wtedy można oczekiwać, pokazują Bucza, Mariupol, terror na ziemiach okupowanych).

MIMO WSZYSTKO jest nadzieja. Ostatnie dni to w Europie coraz bardziej gorączkowa krzątanina. Polska perspektywa skupia się na premierze i prezydencie w Białym Domu, gdzie Joe Biden zapewnia, że gwarancje USA są „żelazne”. Albo na Berlinie, gdzie Donald Tusk, Olaf Scholz i Emmanuel Macron zapewniają, iż nie pozwolą Putinowi wygrać. Tymczasem oba wydarzenia to elementy znacznie większej całości.

Perspektywa upadku Ukrainy i tego, co może się wtedy stać; już pewność, że Stany spętają się ry-

walizacją Biden–Trump; groźby Trumpa, że Europa będzie zdana na siebie – wszystko to okazuje się impulsem, który jednych europejskich przywódców utwierdza, że mieli rację, a innych podrywa do działania. Nawet jeśli europejski „tankowiec” rozpęda się trochę powoli i nie bez zgrzytów (patrz awantura o dotacje do produkcji amunicji).

KUMULACJA AKTYWNOŚCI: ona daje nadzieję. Działania zarówno zespołowe (m.in. uwolnienie przez Unię 500 mln euro, by rozkręcić produkcję uzbrojenia we Wspólnocie), jak też rozproszone, na poziomie krajów. Metamorfoza prezydenta Francji, inicjatywa amunicyjna Czech (o obu krajach piszemy w dziale Świat). Już poza Unią, ale niezawodny Londyn odpowiada na potrzebę chwili i wysłał 10 tys. dronów.

Oraz Olaf Scholz, który na spotkaniu Trójkąta Weimarskiego w Berlinie deklaruje, że „od zaraz będziemy kupować dla Ukrainy jeszcze więcej uzbrojenia – i to na całym światowym rynku”. Tak, chwilę wcześniej ten sam Scholz zaparł się, że nie przekaże pocisków manewrujących Taurus, którymi można razić np. rosyjskie lotniska. Trudno, Scholz ma swoje ograniczenia. Jeśli zamiast Taurusów da inny sprzęt, też dobrze – jeśli tylko dzięki niemu obrońcy dostaną np. więcej systemów przeciwlotniczych, by uzupełnić straty i skutecznie bronić np. Odessy, ostatnio atakowanej z powietrza dzień w dzień. Tylko 15 marca, w dzień weimarskiego szczytu, zginęło tu lub odniosło rany stu cywilów.

EUROPA OBIERA strategiczny kierunek. Nawet jeśli nie cała (Orbán pewnie o sobie przypomni), nawet jeśli nie bez sporów wewnętrznych (i znów kłaniają się Niemcy). Być może kiedyś historycy napiszą, że wiosna 2024 roku to był nie tylko kolejny punkt zwrotny dla tej wojny, ale też moment założycielski Europy jako asertywnej siły politycznej, gotowej bronić swoich idei także orężem. ©P



Pegasus i prezes

AGATA KAŹMIERSKA

MOŻNA BYŁO ODNIEŚĆ WRAŻENIE, ŻE JAROSŁAW Kaczyński na przesłuchanie sejmowej komisji śledczej ds. Pegasusu przyszedł świetnie przygotowany. Pokazał to już na wstępie, odmawiając przyrzeczenia, że będzie mówił „szczerą prawdę, niczego nie ukrywając z tego, co mu jest wiadome”. Argumentował, że miał dostęp do informacji tajnych i ściśle tajnych, a z takiej tajemnicy zwolnić go może wyłącznie premier. Przewodniczącą komisji Magdalenę Srokę tak zbiło to z pantałyku, że nie tylko nie zapytała ekspertów komisji o opinię, ale pozwoliła na niepełne ślubowanie. W efekcie to, czy zeznania mają wartość prawną, pozostaje dyskusyjne.

Przez wiele godzin przesłuchania Kaczyński w zasadzie nie dawał się wyprowadzić z równowagi i sam rozdawał ciosy. Witoldowi Zembaczyńskiemu powiedział, że „obraża go samą swoją obecnością”, Pawłowi Ślizowi, że nie uznaje go za członka komisji, a Tomaszowi Treli, gdy nalegał na odpowiedź, rzucił: „A to może se pan prosić”. Usiłował też ich pouczać, powołując się na swój wiek i doświadczenie na stanowiskach państwowych. Prawicowi komentatorzy pieją, że „zaorał komisję”. Był to jednak raczej gorszący pokaz tego, jak bardzo Kaczyński odwykł od tłumaczenia się ze swoich działań i jak wielkie jest jego poczucie wyższości.

Lecz w kluczowych momentach przesłuchania prezes PiS nie był już tak pewny siebie. Zastał się niepamięcią i przekonywał, że sprawą Pegasusu w zasadzie się nie zajmował. Sęk w tym, że nawet w tej wersji są luki. Kaczyński przyznał bowiem, że był informowany, iż „są kłopoty ze sfinansowaniem zakupu” Pegasusu „albo innego takiego oprogramowania”. Tyle że jesienią 2017 r. żadnej funkcji w rządzie nie pełnił.

Jako szeregowy poseł Kaczyński nie powinien być informowany o planowanych przez służby zakupach narzędzi operacyjnych. Kto mu tę tajemnicę zdradził i dlaczego?

Innym ciekawym wątkiem jest to, jak obeszł się z informacjami o podsłuchiwaniami ówczesnej opozycji. Gdy wybuchł ten skandal, był on wicepremierem ds. bezpieczeństwa i publicznie zapowiedział zbadanie sprawy. Podczas przesłuchania okazało się jednak, że na słowo uwierzył ówczesnemu ministrowi koordynatorowi ds. służb Mariuszowi Kamińskiemu. Bez względu na to, jak mu ufał, może to oznaczać co najmniej niedopełnienie obowiązków. ©



ANNA KRAWCZAK,
EKSPERTKA DS. PIECZY ZASTĘPCZEJ:

Polski system ochrony dzieci jest w stanie agonalnym

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: **Mamy kryzys?**

ANNA KRAWCZAK: Najnowsze szacunki mówią o kilkuset, a nawet o tysiącu postanowień sądów o zabezpieczeniu dzieci, których to postanowień – pomimo przemocy w rodzinie – nie da się wykonać, gdyż w systemie pieczy zastępczej nie ma miejsc. Jednym z takich dzieci był chłopiec ze Świebodzina, który pół roku po niewykonanej sądowej decyzji został zakatowany na śmierć. Wolę więc mówić nie o kryzysie, lecz o systemowym stanie agonalnym.

Co jest jego przyczyną?

Po pierwsze, przewlekłe procedury sądowe. Z jednej strony mamy niedobór sędziów, z drugiej rutynę. Np. sędziowie rodzinni kierują w wielu sprawach zapytania do Opiniodawczych Zespołów Specjalistów Sądowych, podczas gdy np. w Warszawie oczekiwanie na odpowiedź trwa nawet półtora roku. Czy jest to konieczne w przypadku rodziny, z której zabrano już piątkę dzieci, a teraz urodziło się szóste? Nie sądzę. Efekt jest taki, że wiele dzieci tkwi w pieczy zastępczej, choć mogłyby np. iść do adopcji.

Problem drugi: brak zawodowych rodzin zastępczych. Niektóre powiaty – jak opisany przez „TP” niedawno złotoryjski – mówią: szukamy, ale nie możemy znaleźć. I nic im się nie da zrobić.

Być może trzeba zacząć korzystać z narzędzi, po które do tej pory nie sięgaliśmy. Np. zapis, że pobyt dziecka w placówce może trwać tylko do wyznaczonej daty. Albo kary finansowe dla powiatu, który nie stworzył rodzin zastępczych.

Niedawno weszła w życie tzw. ustawa Kamilka, zwiększająca

ochronę dzieci przed krzywdzeniem. Czy prawo to, paradoksalnie, jeszcze zwiększy problemy?

To niestety prawdopodobnie: ustawa nakłada na instytucje bardziej restrykcyjne procedury interwencyjne, np. w sytuacji podejrzenia krzywdzenia przez osobę najbliższą, czego efektem może być właśnie większa liczba dzieci sądownie zabezpieczanych. Ale ta ustawa została przyjęta w lipcu 2023 roku, więc był czas, by się przygotować do jej wdrożenia. Niestety, ani nie usprawniono pracy sądów, ani nie wzmocniono systemu pieczy.

Niektóre organizacje postulują teraz wprowadzenie ogólnopolskiego rejestru pieczy, dzięki któremu powiat X, w którym nie ma rodzin, mógłby wysłać dziecko do powiatu Y, gdzie miejsca są.

Taki rejestr się doraźnie przyda, tzn. opóźni katastrofę. Podobnie może zadziałać ministerialny nakaz wzywający wszystkie powiaty do dokonania natychmiastowej inwentaryzacji – ile mają w systemie dzieci, ile miejsc itd.

To wszystko jednak nie zastąpi wielkiej reformy pieczy zastępczej, czyli napisania nowej ustawy o ochronie dzieci oraz nowego kodeksu rodzinnego i opiekuńczego. Ministerstwo rodziny zorganizowało kilka tygodni temu spotkanie ze środowiskami pieczy zastępczej, którego efektem było m.in. powołanie pięciu grup roboczych. Niepokoi mnie brak w tej sprawie ciągu dalszego. Oby nastąpił jak najprędzej. ©

DR ANNA KRAWCZAK jest współzałożycielką Interdyscyplinarnego Zespołu Badań nad Dzieciństwem UW, ekspertką m.in. Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę.



Gra w Zielony Ład

KRZYSZTOF STORY

UNIA SKAPITULOWAŁA PRZED ROLNIKAMI. 15 MARCA ogłoszono ustępstwa w rolniczej części Zielonego Ładu. Tej, która się jeszcze ostała, bo sporo, jak ograniczenia ilości pestycydów i nawozów, poleciało do kosza już wcześniej. Teraz odwołano ostatki: ugorowanie 4 proc. ziemi ma być dobrowolne, zamiast obowiązku płodozmianu wystarczy posiadanie różnych upraw obok siebie, a gospodarstwa do 10 ha będą wyłączone z sankcji.

Donald Tusk przedstawia ustępstwa (po części słusznie) jako własny sukces: „załatwiliśmy to, czego nie umiał zrobić PiS”. Nie przypominam sobie, kiedy ostatnio „ugorowanie ziemi” było tak medialne, że premier pisał o nim na Twitterze. Pamiętam za to, że w 2016 r. przepytano rolników z powiatu łęczyńskiego, co sądzą o zmianach klimatu. 73 proc. stwierdziło, że przepisy o ochronie środowiska i gleby są dobre dla przyszłości rolnictwa.

Pamiętam rok 2022, kiedy Polski Instytut Ekonomiczny wyliczył, że co roku przez suszę tracimy na polach 6,5 mld złotych. Naprawdę ktokolwiek myśli, że rolnicy tego nie wiedzą?

Wyobraźmy sobie, że politycy chcą zmienić kulawą i niesprawiedliwą (na korzyść wielkich koncernów) europejską politykę rolną. Proponują zachęty, a nie zakazy, bo tym *de facto* są dziś unijne „ekoschematy”. Mówią rolnikom: wasi konsumenci chcą mniej pestycydów w żywności. Chętnie za to zapłacą, a my pomożemy wam je ograniczyć. W dodatku dobrze by było, gdybyście na części ziemi odtworzyli naturalny krajobraz – oczka wodne, zagajniki, mokradła. Dzięki temu gleba i plony będą zdrowsze (Unia chwytnie nazwała to normą GAEC8). Dodają jeszcze, że polscy rolnicy dostali na to tylko w zeszłym roku prawie 17 mld zł. I że oprócz tego proponują gigantyczny pakiet inwestycji, które przygotują gospodarkę UE na zmiany klimatycznych. Inwestycji, na które Polska dostanie kolejne miliardy i będzie na nich zarabiać.

Można było tak to opowiedzieć. Wystarczyło poważnie potraktować ludzi, którzy żywią cały kontynent, i zapewne zostawić więcej elastyczności w samych przepisach. Zrobić mądrą kampanię promocyjną, a nie polityczne spoty. Oczywiście, że wtedy też byłyby ogromne spory. Ale może klóciłibyśmy się o meritum, a nie o absurdy typu: „kiedy Unia zabieże nam schabowego i każe jeść robaki”. ©

NA PUNKTY

WYWIAD

„Obajtek przerywa milczenie” – woła okładka tygodnika „Sieci”, mimo iż z publikowanych przez Onet taśm z podsłuchów b. prezesa Orlenu można by wnosić, że ta postać mówi bez przerwy. Choć trzeba przyznać, że wrażenie tej intensywności wzmacnia liczba słów niecenzuralnych w transkrypcji.

NARRACJA

Rząd zamierza odwołać 50 ambasadorów, oszczędzając jednak tych, na których zależy Andrzejowi Dudzie. Prezydencki minister Marcin Mastalerek obrócił tymczasem w perzynę narrację PiS o zlej Brukseli, która przyznała polskiemu zakładom zbrojeniowym niewielką dotację na produkcję amunicji: „Nie mogliśmy dostać więcej na amunicję decyzją Komisji Europejskiej, skoro wnioskowaliśmy [za poprzedniego rządu] o 11 mln euro”.

DEBATA

Zbigniew Ziobro opublikował w mediach społecznościowych fotografię z łóżka szpitalnego, a wcześniej informacje o operacji usunięcia złośliwego nowotwora przełyku i części żołądka oraz chemioterapii. O stanie polskiej debaty publicznej wiele mówi fakt, że nie wszystkich to przekonało. ©P



ANNA ŁABUSZEWSKA

Jak długo potrwa noc dyktatury?

SPECJALNA OPERACJA WYBORCZA” zakończyła się narysowaniem nieprawdopodobnego wyniku: 87 proc. poparcia dla Władimira Putina przy 77-procentowej frekwencji. Trzem figurantom, pełniącym role kontrkandydatów, przypisano po 3-4 proc. „Wybory” trwały trzy dni, co dało władzom dodatkowe możliwości fałszerstw. Lokale „wyborcze” otwarto także na okupowanych terytoriach: na Krymie, w Donbasie i obwodach zaporoskim oraz chersońskim. Na spektakl nie zaproszono obserwatorów z OBWE. Zastąpiono ich ściągniętymi z różnych zakamarków zwolennikami dyktatora.

Wobec ograniczania wolności obywatelskich i zawężania pola protestu, część społeczeństwa uznała akcję „W południe przeciw Putinowi” za szansę na wyrażenie antywojennej i antyreżimowej postawy. Przed śmiercią Aleksiej Nawalny zwrócił się do zwolenników z apelem, by przyszli pod lokale wyborcze 17 marca w południe i zagłosowali przeciw Putinowi. Apel powtórzyła Julia Nawalna, która głosowała w ambasadzie w Berlinie.

Przez cały ten dzień w mediach społecznościowych ukazywały się relacje spod rosyjskich placówek dyplomatycznych i lokali „wyborczych” w wielkich miastach Rosji, przed którymi ustawili się długie kolejki tych, którzy chcieli wyrazić niezgodę wobec uzurpatora.

Do urn wrzucono wiele „zepsutych” kart: z dopisanym nazwiskiem Nawalnego czy antywojennymi hasłami. Nawalna i inni przedstawiciele opozycji za granicą apelowali do społeczności międzynarodowej, by nie uznała legitymacji władzy Putina, zdobytej w „operacji” niemającej nic wspólnego

z uczciwymi wyborami.

Trudno ocenić, czy akcja „W południe przeciw Putinowi” wpłynęła na wyniki – te ustalono już przed „wyborami”. Protest został jednak dostrzeżony w świecie i pozwolił podważyć wiarygodność bezprecedensowego wyniku Putina (w poprzednich „wyborach” było to 74 proc.). Nawet jeśli nieśmiało, sygnały oporu części Rosjan zaburzają przekaz o jednoznacznym poparciu dla wodza i braku alternatywy. ©P



ALEXANDER ZEMLIANICHENKO / AP / EAST NEWS



Ukarany biskup pochowany z honorami

MACIEJ MÜLLER

WNIEDZIELE MSZA, W PONIEDZIAŁEK pogrzeb w krypcie metropolitów. Arcybiskupa seniora wrocławskiego Mariana Gołębiewskiego pożegnano z honorami, choć rzecznik kurii usiłował tłumaczyć, że „to, iż się za kogoś modlimy, oznacza, że prosimy Boga, żeby mu wybaczył grzechy”.

Na abp. Gołębiewskiego Stolica Apostolska w 2021 r. nałożyła zakaz uczestniczenia w uroczystościach publicznych – to efekt postępowania „doty-

czącego sygnalizowanych zaniedbań ws. wykorzystania seksualnego małoletnich przez niektórych kapłanów z diecezji kościańsko-kołobrzeskiej, w czasach jego posługi biskupiej (1996-2004), i z archidiecezji wrocławskiej (2004-2013)”. Informacja o pogrzebie wywołała protest jednej z ofiar księży-pedofilów: Marcin Kubicki próbował bezskutecznie skontaktować się z decyzyjnymi osobami w nuncjaturze i kurii wrocławskiej. „Ta decyzja to plucie

w twarz ofiarom księży, których chronił” – mówił mediom. Protestowała również Państwowa Komisja ds. przeciwdziałania wykorzystaniu seksualnemu małoletnich.

Delegat Episkopatu ds. ochrony małoletnich abp Wojciech Polak wydał komunikat, w którym „z pokorą i szacunkiem” przyjął stanowisko ofiar, ale zaznaczył, że krypta katedry jest „zwyczajowym miejscem pochówku dla biskupów, którzy w niej posługiwali”. I że forma

pochówku „nie narusza decyzji Stolicy Apostolskiej”.

Abp Gołębiewski do końca życia nie zrozumiał, za co został ukarany, o czym świadczy wywiad w książce Ignacego Dudkiewicza „Pastwisko”. W 2023 r. złamał zakaz, uczestnicząc (bez sprzeciwu ze strony innych hierarchów) w ingresie bp. Ode-ra w Gliwicach. Jego pochówek w katedrze każe spytać, czy biskupi kierują się czymś więcej niż zasadą, że jeśli przepisy czegoś nie zabraniają, to na to pozwalają. Prawa w ich spojrzeniu na rzeczywistość nie brakuje. Brakuje wyczucia, empatii i solidarności z ofiarami, która jest chętnie głoszoną, ale zupełnie bezowocnym hasłem. ©P

Upada mit wielkiego samca

SSAKI ■ Karol Darwin odwoływał się do wiedzy powszechnej, gdy pisał w „O pochodzeniu człowieka”, że wśród większości gatunków ssaków samce osiągają większe rozmiary niż samice. XX-wieczni biolodzy wyjaśniali ten dymorfizm płciowy, podkreślając odmienne strategie reprodukcyjne obu płci. U ssaków wyższe koszty sprowadzenia na świat potomstwa ponoszą samice: wytwarzają komórki jajowe, które są większe niż samcze plemniki, to one zachodzą w ciążę, dostarczają potomstwu energię w okresie płodowym, a po porodzie karmią je mlekiem. Krótko mówiąc – poważną część zasobów, które mogłyby przeznaczyć na rozbudowę swojego ciała, inwestują w potomstwo.

Przy czym macierzyństwo wymaga nie tylko poświęcenia energii, ale także czasu. Gdy samica jest w ciąży albo karmi młode, nie może płodzić kolejnych dzieci. Samców takie problemy nie dotyczą, co sprawia, że choć w całej populacji występuje mniej więcej tyle samo przedstawicieli obu płci (co także ma sens z ewolucyjnego punktu widzenia), to jednak w każdej chwili gotowych do reprodukcji jest więcej samców niż samic. I to właśnie wywołuje u nich silniejszą konkurencję o partnerki, na którą samce odpowiadają inwestowaniem w siebie. Im większy, silniejszy samiec, tym łatwiej mu będzie wygrać rywalizację z innymi samcami i zdobyć względy przyszłych matek jego dzieci.

Już przeszło pół wieku temu Katherine Ralls zauważyła jednak, że u większości gatunków ssaków różnice w rozmiarach ciała samców i samic są umiarkowane, co średnio współgra z przywołaną teorią i sugeruje, że na strategię inwestycyjne obu płci muszą silnie wpływać czynniki środowiskowe – np. dostępność pożywienia. Publikacja Ralls nie zmieniła jednak dominującej narracji. Wśród biologów nadal panowało powszechne przekonanie, że regułą u ssaków są okazałe samce.

Od teraz powinno się to zmienić. Kaia J. Tombak i współpracownicy przeanalizowali rozmiary ciała 429 gatunków ssaków i doszli do wniosku, że tylko w 39 proc. z nich samce są większe. W aż 45 proc. gatunków dymorfizm rozmiarów ciała nie występuje, a u co szóstego gatunku to samice są większe (zwłaszcza wśród nietoperzy i zajęczaków). Wielkie samce dominują wśród ssaków parzystokopytnych, drapieżnych i naczelnych, co może wyjaśniać, dlaczego biolodzy tak długo ulegali złudzeniu, iż jest to regułą – właśnie przedstawiciele tych grup są najczęściej badani.

Autorzy omawianej pracy wyrażają nadzieję, że ich odkrycie zapoczątkuje nowy rozdział w badaniach dymorfizmu płciowego ssaków – przede wszystkim pozwoli pełniej zrozumieć perspektywę samic, które nie mogą być jedynie biernymi uczestnikami samczych rozgrywek.

© © ŁUKASZ KWIATEK



JUAN CARLOS MARTINEZ SALVADORES / ALAMY / BE&W

U wielu gatunków królików – m.in. *Sylvilagus audubonii* (na zdj.) – samice osiągają większe rozmiary od swoich partnerów.

Pileś i jedziesz? Możesz stracić auto

PRAWO ■ Wczesnym rankiem 14 marca, kilka godzin po wejściu w życie przepisów umożliwiających konfiskatę auta za jazdę po pijanemu, podlaska policja zatrzymała pierwszego sprawcę wypadku drogowego, którego może spotkać taka kara. Wykryto u niego prawie dwa i pół promila alkoholu w wydychanym powietrzu.

Olbrzymią większość kierowców łapanych na jeździe pod wpływem alkoholu stanowią w Polsce osoby, które nieroztropnie siadły za kółko, nim z krwi zniknęły im ostatnie pozostałości zeszłodniowej celebracji. W tym gronie policja ma jednak również stałych klientów, jeżdżących po kielichu notorycznie, nierzadko bez dawno odebranych im uprawnień. Wobec recydywistów wymiar sprawiedliwości bywał dotychczas bezsilny, jeśli nie chciał skazywać ich na więzienie. Przepisy o konfiskacie auta zdają się ten problem rozwiązywać, choć rodzą przy okazji inne, interpretacyjne.

W tej sprawie prawnicy będą pewnie długo kruszyć kopie, może nawet nie obejdzie się bez zapytania o zdanie Trybunału Konstytucyjnego. Na razie pewne jest jedno: sankcja nie jest teoretyczna, jak sugerował wiceminister sprawiedliwości Arkadiusz Myrcha, mówiąc w Radiu Zet o braku przepisów wykonawczych. Zdaniem większości prawników strona egzekucyjna nie budzi wątpliwości. Po zatrzymaniu kierowcy z więcej niż 1,5 promila alkoholu we krwi (lub kogoś, kto po spowodowaniu wypadku miał ponad promil albo zbiegł z jego miejsca, nawet jako trzeźwy), policja zarekwiruje auto na siedem dni. Następnie wystąpi do prokuratury o orzeczenie zabezpieczenia pojazdu do czasu, aż o konfiskacie – lub innej karze – orzeknie prawomocnie sąd. Do tego czasu auto będzie stać na policyjnym parkingu lub zostanie przekazane „osobie godnej zaufania”, która zadba o jego stan i będzie zobowiązana nie udostępniać go osobom zainteresowanym wynikiem postępowania – na czele z właścicielem.

Pijanych za kółkiem służbowego auta sądy będą mogły karać nawiązką w wysokości do 100 tys. zł. Użytkownikom samochodów w leasingu grozić będzie grzywna do równowartości rynkowej ceny pojazdu. Podobnie w przypadku aut, które ulegną zniszczeniu w wypadku spowodowanym przez sprawcę.

W ostatniej chwili z przepisów wykreślono pasus, który nakazywał sądom w niektórych takich sprawach orzeczenie przepadku pojazdu. Niektóre nieścisłości jednak pozostały i będą utrudniać egzekucję. Nie doprecyzowano np., czy kierowca ma być trzeźwy w chwili spowodowania wypadku, czy w momencie badania.

© © MAREK RABIJ

Coraz chętniej odwiedzamy muzea i teatry

KULTURA ■ Bilety na najnowszy spektakl Mai Kleczewskiej w krakowskim Teatrze im. Słowackiego rozeszły się w mgnieniu oka – właściwie nie ma już szans na obejrzenie „Wesela” w tym sezonie. Równie trudno było się dostać na popularny musical „1989” w reż. Katarzyny Szyngierzy z rapowanym librettem o czasach transformacji. Coraz chętniej odwiedzamy jednak nie tylko teatry w dużych miastach, ale również muzea i filharmonie w całym kraju.

– Na początku 2022 r. obowiązywały jeszcze limity na widowniach, a pod koniec lutego rozpoczęła się pełnoskalowa agresja Rosji w Ukrainie i mało kto myślał o wizycie w teatrze – mówi „Tygodnikowi” Aleksandra Rzęska z Teatru Polskiego w Bydgoszczy. – Natomiast już w zeszłym roku w naszych spektaklach, Festiwalu Prapremier oraz innych wydarzeniach wzięło udział łącznie ponad 12 tys. osób. To



Muzeum Fotografii MuFo. Kraków, maj 2022 r.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

prawie dwa razy więcej w stosunku do roku 2022.

– W Filharmonii im. M. Karłowicza w Szczecinie odbyło się 70 koncertów, na których gościło ponad 46 tys. słuchaczy – mówi nam jej rzeczniczka Katarzyna Plater-Zyberk. – W sumie w zeszłym roku zorganizowaliśmy ponad 400 wydarzeń: warsztatów, zwiedzań, wernisaży, wykładów, dyskusji oraz pokazów filmowych, w których uczestniczyło 86 tys. gości.

To również, jak przyznaje Plater-Zyberk, rekord placówki.

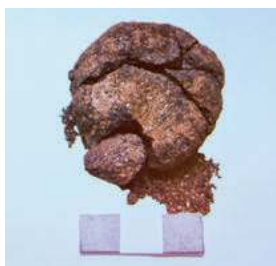
Liczbę widzów podwoił w minionym roku także Teatr im. Bogusławskiego w Kaliszu (ponad 66 tys. w porównaniu do 37 tys. w roku 2022). Dwukrotnie więcej odwiedzających zanotowało też krakowskie Muzeum Fotografii, którego próg przekroczyło w 2023 r. prawie 70 tys. osób.

Wzrosty frekwencji w instytucjach kultury potwierdzają

dane opublikowane właśnie przez GUS. Okazuje się, że wyniki finansowe muzeów, teatrów i filharmonii były wyższe od uzyskanych rok wcześniej o nieco ponad 16 proc., szacuje się je na 14,396 mld zł. Większe przychody wypracowały przy tym instytucje samorządowe (11,542 mld zł) niż te, nad którymi nadzór sprawowało państwo (2,854 mld zł).

©© MONIKA OCHĘDOWSKA

Chleb na zakwasie był znany już u zarania cywilizacji



ARCHEOLOGIA ■ Odkrycie najstarszego znanego kawałka chleba ogłosił naukowiec z Uniwersytetu Necmettina Erbakana w Konya (Turcja), badający słynne stanowisko archeologiczne Çatalhöyük na południu kraju. Znaleziśko ma liczyć 8,6 tys. lat. To okrągły, gąbczasty bochenek ciasta wielkości dłoni (na zdjęciu). Za pomocą badań m.in. skaningowym mikroskopem elektronowym stwierdzono, że powstał z pszenicy, jęczmienia i grochu, wykazały

też one obecność ziaren skrobi i pęcherzyków powietrza, co oznacza, że ciasto nie było jeszcze upieczone, za to poddane zostało fermentacji.

Do tej pory za ojczyznę zakwaszonego pieczywa uważano Egipt, skąd pochodziły znane dotąd dowody na jego wypiek, datowane na 4 tys. lat p.n.e.

Tureckie znalezisko dowodziłoby, że ludzkość opanowała fermentację ciasta przeszło 2,5 tysiąclecia wcześniej, u zarania rewolucji neolitycznej, gdy łowcy-zbieracze stawali się hodowcami i rolnikami, osiadając i zakładając cywilizacje. Çatalhöyük to jedno z pierwszych znanych protomiast. Według ostrożnych szacunków zamieszkiwane było przez 8 tys. ludzi.

Za ślady najstarszego znanego pieczywa uważa się okruchy znalezione na terenie

dzisiejszej Jordanii, na stanowisku Shubayqa-1, datowane na 14,4-14,2 tys. lat, czyli przynajmniej 4 tys. lat starsze niż początki rolnictwa. Oznaczałoby to, że nie rolnictwo dało ludzkości pieczywo, lecz odwrotnie – być może uciążliwość pozyskiwania dzikich nasion na potrzeby wypieku pierwotnego chleba zainspirowała część łowców-zbieraczy do selekcji, wysiewu i uprawy zbóż. To z kolei wymaga osiadłego trybu życia, a zarazem umożliwia wyżywienie osiadłych wspólnot.

Tamte wypieki były jednak tylko podłomkami. Odkrycie z Çatalhöyük dowodziłoby, że już wtedy potrafiono zaprząć spontaniczną fermentację do zakwaszania i wyrastania ciasta. A to czyni je nie tylko lepiej przyswajalnym, ale też przyjemniejszym, bo puszystym i miękkim, oraz smaczniejszym.

©P MICHAŁ KUŹMIŃSKI


 TEMAT
TYGODNIKA

JAK SIĘ ZMIENIŁ DONALD TUSK

JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

To jeden z nielicznych polityków, który potrafi wyciągać wnioski ze swoich błędów. Ma też dar zjednywania sobie ludzi.

Dzięki temu jest tu, gdzie jest.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

KOŃCÓWKA UBIEGŁEGO TYGODNIA. Donald Tusk z Andrzejem Dudą lecą do Waszyngtonu na spotkanie z Joem Bidenem. To rzadki przypadek, by w Białym Domu pojawiali się równocześnie prezydent i premier jakiegoś kraju, ale nikt po amerykańskiej stronie nie ma wątpliwości, kto jest w tym duecie ważniejszy. Jedynie Tusk może zdecydo-

wać, czy Polska kupi śmigłowce apache, na czym Amerykanom bardzo zależy, i praktycznie tylko temu służy ta wizyta. Duda jest obecny tylko ze względów protokolarnych.

Zaraz po podróży do USA Tusk spotyka się w ramach Trójkąta Weimarskiego z prezydentem Francji i kanclerzem Niemiec. Ci, choć skłóceni, na nagłe spotka-

nie z premierem Polski stawiają się bez mrugnienia okiem.

I jeszcze jedna scena z ostatnich dni. Kongres Europejskiej Partii Ludowej w Bukareszcie. Donald Tusk jest przyjmowany z honorami, jakby nadal był przewodniczącym Rady Europejskiej. Wygłasza przemówienie. „Musimy jasno stwierdzić, że stoimy przed prostym wy-



*Posiedzenie Sejmu X kadencji.
Debata po exposé Donalda Tuska.
Na zdjęciu: Władysław Kosiniak-Kamysz,
Donald Tusk, Borys Budka.
Warszawa, 12 grudnia 2023 r.*

Europejczyk

Najważniejsza różnica, o której mówią wszyscy nasi rozmówcy, to właśnie o nieco lepszą pozycję międzynarodową. Spowodowane to jest oczywiście pełnioną w latach 2014-19 funkcją przewodniczącego Rady Europejskiej. Dzięki autorytetowi, jaki zdobył u europejskich przywódców, Tusk potrafi dziś załatwić w Komisji Europejskiej właściwie wszystko.

Senator Krzysztof Kwiatkowski zwraca uwagę, że Polska nie przyjęła jeszcze wszystkich ustaw, które były wymagane w ramach tzw. kamieni milowych. Mimo to pieniądze z KPO i funduszy europejskich zostały odblokowane. Senator nie ma wątpliwości, że było to możliwe właśnie dzięki autorytetowi Tuska, choć zaznacza, że wpływy lidera PO wynikają nie tylko z pozycji, jaką zdobył, szefując Radzie Europejskiej. Ważne jest także to, że tzw. Koalicja 15 X jest postrzegana w Unii jako pogromczyni populistów. – To ważne, bo oznacza przełamanie pewnej tendencji. Dotąd mieliśmy sytuację odwrotną: partie populistyczne w różnych państwach wygrywały lub, jak na Węgrzech, umacniały swoją władzę – przekonuje Kwiatkowski.

Tak naprawdę jednak o nadzwyczajnej roli Tuska decyduje coś innego. Jest przecież wielu polityków, którzy pełnili ważne funkcje w strukturach europejskich, a takiego autorytetu ani sympatii nie mają. W przypadku polskiego premiera kluczowe są dwie cechy. Pierwsza to nadzwyczajna zdolność do uczenia się na własnych doświadczeniach. Druga – niezwykle talent interpersonalny i umiejętność zjednywania sobie ludzi niemal w każdych okolicznościach.

Exzekutor

Zdolność do nauki widać po ewolucji Tuska. Miał to szczęście, że do wielkiej polityki trafił w młodym wieku. Już w 1990 r. został przewodniczącym Kongresu Liberalno-Demokratycznego: partii, której współzałożycielem był powołany wkrótce na premiera Jan Krzysztof Bielecki. To wysforowało KLD do pierwszej ligi, a z Tuska w 1991 r. zrobiło parlamen-

tarzystę i uczestnika negocjacji przy tworzeniu rządów Jana Olszewskiego, Waldemara Pawlaka czy Hanny Suchockiej.

Potem były trudniejsze lata: środowisko KLD stało się częścią Unii Wolności, a Tusk w tej partii się nie odnalazł, choć sprawował przez jakiś czas funkcje wiceprzewodniczącego i wicemarszałka Senatu. Miał jednak wówczas opinię polityka mało poważnego, nieprzepracowującego się i najchętniej spędzającego czas na boisku piłkarskim. Dopiero początek 2001 r. i powstanie Platformy Obywatelskiej (na której czele samodzielnie stanął w 2003 r.) znów wyniosło go na szczyt.

Przełomem były przeegrane podwójne wybory – prezydenckie i parlamentarne – w 2005 r. Porażka była dla Tuska szokiem, ale wyszedł z niej znacznie twardszy. Po raz pierwszy dowiedział, że potrafi uczyć się na własnych doświadczeniach.

Przed erą PO był postrzegany jako sympatyczny chłopak w krótkich spodenkach. Tymczasem jego droga po władzę w Platformie znaczone jest politycznymi trupami partyjnych konkurentów. Lista ofiar jest długa – współzałożyciele PO Andrzej Olechowski i Maciej Płażyński, później Zyta Gilowska, Jan Rokita, Paweł Piskorski, wreszcie Grzegorz Schetyna. Ten ostatni wciąż, co prawda, egzystuje na politycznym marginesie PO, ale tylko dlatego, że Tusk nie zdążył go dobić przed wyjazdem do Brukseli i Schetyna się odrodził, stając nawet na czele PO.

Tusk zrozumiał, że w polityce nie ma sentymentów. Już jako premier po wybuchu afery hazardowej w 2009 r. pozbył się grupy najbliższych współpracowników, z których większość przez lata – jeszcze w czasach KLD – stanowiła grono przyjaciół, słynące ze wspólnego palenia cygar, oglądania meczów i picia wina. Jedną z ofiar był wtedy minister sportu Mirosław Drzewiecki, wcześniej partyjny skarbnik, który po aferze hazardowej już nie wrócił do polityki, a w którego gabinecie, zwanym Sherwood, najczęściej odbywały się nieformalne posiedzenia.

W książce Michała Majewskiego i Pawła Reszki „Daleko od miłości”, wydanej w 2011 r. i będącej portretem Tuska jako premiera, jest znamieny fragment dotyczący Drzewieckiego. Nie miał on pretensji o dymisję, ale czuł żal, że Tusk nie pojawił się na pogrzebie jego matki, która zmarła tuż po wybuchu afery. Premiera wypatrywał jeszcze na cmentarzu. ➔

borem: albo podejmujemy walkę w obronie naszych granic, naszych terytoriów, naszych zasad – w konsekwencji naszych obywateli i przyszłych pokoleń – albo upadniemy” – ostrzega. Jego słowa odbijają się szerokim echem w światowych mediach.

Zdarzenia te pokazują, jakie znaczenie ma Tusk w polityce światowej. Ale mija właśnie sto dni, odkąd ponownie zasiadł na fotelu premiera, więc w ten sposób dramatyczną batalię z rządzącym przez ostatnie 8 lat PiS. Czy można porównać obecnego Tuska z Tuskiem sprzed lat – z czasów, gdy stał na czele rządu w latach 2007-14 – a nawet jeszcze dawniejszym?

→ Po tym zdarzeniu popadł w depresję; po pijanemu miał grozić, że ujawni, co wie. Odżył, gdy któregoś dnia dostał zaproszenie do Kancelarii Premiera – na spotkanie z byłym szefem popędził jak licealista na pierwszą randkę.

Uwodziciel

Ta sytuacja pokazuje drugą kluczową cechę Tuska: nieprawdopodobną zdolność do uwodzenia rozmówców i słuchaczy.

Krzysztof Kwiatkowski: – Nie zapominę rozmowy z jednym z ministrów w 2011 r. Sam byłem szefem resortu sprawiedliwości, który po wyborach nie został powołany do kolejnego rządu. Przede mną z rozmowy z Tuskiem wychodziła osoba w tej samej sytuacji – właśnie dowiedziała się, że nie będzie ministrem. Mijaliśmy się w sekretariacie i ten człowiek był w doskonałym humorze. Powiedział, że miał świetną rozmowę z Donaldem. „Co ustaliliście?” – pytam. „Premier mi właśnie powiedział, że nie będę ministrem”. Ta umiejętność budowania osobistej, bliskiej relacji jest rzeczywiście u niego wyjątkowa. Nawet wtedy, kiedy przekazuje rozmówcy trudną informację, robi to tak, że nie wzbudza złych emocji.

Posłanka Urszula Augustyn opowiada z kolei historię o tym, jak do premiera Tuska z dymisjami w ręku udali się szef komisji polityki społecznej Sławomir Piechota z wiceministrem pracy Jarosławem Dudą w związku z obcięciem pieniędzy na osoby z niepełnosprawnościami. Wrócili zadowoleni i zdecydowani dalej pełnić swoje funkcje, choć pieniędzy nadal miało nie być.

– Wiele osób potrafi wzbudzać sympatię, ale u Tuska ta umiejętność jest rzeczywiście wyjątkowa. Ludzie po rozmowie z nim mówią często, że nie wiedzieli, iż on jest tak sympatyczną osobą – przyznaje polityk koalicji rządzącej.

– Jak się jest u Tuska, to Tusk słucha. A jak się jest u innych, to się samemu słucha – porównuje polityk PO. Uważa, że to zapewne ta umiejętność powoduje, iż Tusk nie jest oderwany od rzeczywistości.

Wódz

Jednocześnie jednak mocno strzeże swojej wodzowskiej pozycji. Po wyborach w 2011 r. przesunął Schetynę – dotąd marszałka Sejmu – na dużo mniej prestiżową funkcję szefa Komisji Spraw Zagra-

*Donald Tusk
w towarzystwie
Grzegorza
Schetyny, Rafała
Grupańskiego,
Piotra
Targińskiego
oraz Mirosława
Drzewieckiego
w dzień
po wyborach
do Sejmu.
Warszawa,
22 października
2007 r.*



PAWEŁ KULA / PAP

nicznych. Wszystko dlatego, że wcześniej Schetyna „knul” z prezydentem Bronisławem Komorowskim, a Tusk odebrał to jako atak na swoje wpływy.

Od tamtych czasów polityka w Polsce zrobiła się jeszcze bardziej wodzowska. Odległość między Tuskiem a zapleczem jest większa niż kiedykolwiek.

W poprzedniej kadencji autor niniejszego tekstu jako dziennikarz PAP zajmował się opisywaniem Koalicji Obywatelskiej. Przed powrotem Tuska w połowie 2021 r. właściwie nie było problemu, żeby nieoficjalnie się dowiedzieć, co tak naprawdę dzieje się w partii. Po tym powrocie zaszła gwałtowna zmiana. Wynikała z dwóch przyczyn – lęku działaczy partyjnych przed gniewem szefa, a także podejmowania decyzji w bardzo wąskim gronie, a nie w ramach gremiów statutowych. Posiedzenia zarządu zaczęły odbywać się rzadko, kluczowe decyzje zapadały gdzie indziej. – Jestem w zarządzie PO od 2006 r. i w czasach Tuska zawsze było tak samo, zarówno przed 2014, jak i po 2021. Na posiedzeniach zarządu zawsze słuchał, ale mieliśmy wrażenie, że wychodził z takim samym poglądem,

jak wchodził – mówi jeden z polityków obozu władzy.

Krzysztof Kwiatkowski przyznaje, że Tusk jako lider partyjny ma bardzo silną pozycję, ale to nie jest ten sam model przywództwa, co w przypadku Jarosława Kaczyńskiego. Prezes PiS ma, co prawda, grupę najbardziej zaufanych współpracowników, będących przy nim jeszcze od czasów Porozumienia Centrum, ale wszystko to ludzie o połamanych politycznych kregosłupach, niezdolni do samodzielnego funkcjonowania. W przypadku Tuska jest inaczej – potrafi współpracować z silnymi osobowościami, o czym świadczy np. pozycja szefa MSZ Radosława Sikorskiego.

Zawodowiec

W książce „Daleko od miłości” Tusk, z uwagi na zdolność do przybierania różnych oblicz w zależności od okoliczności, porównany jest do bohatera filmu Woody’ego Allena, Leonarda Zeliga. Dziś więc można uznać, że jest Zeligiem 2.0. Zmiana w Tusku polega bowiem także na tym, że zwycięstwo 15 X jeszcze wzmocniło jego znane cechy.

Kampania była bardzo trudna. Tusk ciężko pracował, jeżdżąc ze spotkania na spotkanie. Musiał się też mierzyć z nieprawdopodobnym hejtem. W TVP permanentnie przedstawiano go jako polityka „niemieckiego” albo sugerowano, że chce sprzedać Polskę Putinowi. Instrumentem do walki z liderem PO miała być też komisja ds. badania wpływów rosyjskich, nie bez powodów nazywana po-czątkowo „lex Tusk”.

Wśród zarzutów wobec niego często pojawiał się i ten, że w 2014 r. „uciekł” do Brukseli, bo europejskie honory i apanaże były dlań ważniejsze od interesu Polski. Ta narracja mogła trafiać nawet do części elektoratu wrogiego wobec PiS i była zapewne jedną z przesłanek powrotu Tuska do polskiej polityki w 2021 r.

Potwierdza to książka „Szczere”, będąca dziennikiem Tuska z czasów, gdy stał na czele Rady Europejskiej. W dniu wygranych przez PiS wyborów w 2015 r. pisze, że ma poważne wątpliwości, czy dobrze zrobił, wyjeżdżając z Polski.

Wygrać z PiS się udało, ale że powrót do życia partyjnego nie był dla Tuska wymarzoną scenariuszem, pokazuje scena z 2022 r. W studiu TVN24, sądząc, że mikrofony są wyłączone, przyznał się zaskoczony reporterce Agacie Adamek, że powrót do ław poselskich to dla niego upiorna perspektywa.

Zwycięstwo Koalicja zawdzięcza oczywiście jemu, zwłaszcza po tym, jak zagrał *va banque*, zwołując marsz 4 czerwca, ale – jak przyznaje jeden z polityków PO – zwłaszcza w końcówce kampanii było widać, że nie jest nieomylny. Chodzi o słaby występ w debacie telewizyjnej, a może także niepotrzebne wzywanie do głosowania na Trzecią Droge. – Jest zasada, że jak się walczy, to się walczy o swoje do końca – mówi ów polityk.

Koalicjant

Jako premier, co przyznają obserwatorzy znający Tuska od lat, pokazał nieco inne oblicze niż w latach 2007–14. I jeszcze raz potwierdził zdolność do uczenia się.

Nowy Tusk to przede wszystkim polityk skoncentrowany na najważniejszych celach: – Ma dziś znacznie większy dystans do polityki polskiej niż kiedyś, patrzy na nią bez nerwów. Skoro brał za telefon i dzwonił do prezydenta USA czy przywódcy Chin, to rozgrywki na krajowym

Ludzie Tuska

JAK WIELU LIDERÓW, Donald Tusk lubił się otaczać „dworem”. Za poprzedniego premierostwa byli to ludzie, z których część znała się z KLD: Jan Krzysztof Bielecki, Krzysztof Kilian, Grzegorz Schetyna, Mirosław Drzewiecki, Rafał Grupiński, Sławomir Nowak. Z czasem część odpadła, a coraz większe znaczenie miał **Paweł Graś**, który był przy Tusku w Brukseli, a obecnie jest szefem gabinetu politycznego.

PO POWROCIE do PO w 2021 r. Tusk oparł się na ludziach, których zastał w kierownictwie partii, przede wszystkim na sekretarzu generalnym **Marcinie Kierwińskim**, przewodniczącym **Borysie Budce** i rzeczniku **Janie Grabcu**. Po powstaniu rządu zajęli w nim kluczowe stanowiska.

TO JEDNAK współpracownicy operacyjni. Jeśli chodzi o kwestie strategiczne i wizerunkowe, nadal duży wpływ ma **Igor Ostachowicz**, który był już doradcą wizerunkowym w czasach poprzedniego premierostwa. Bliskim i zaufanym człowiekiem Tuska jest też **Bartłomiej Sienkiewicz**.

PREMIER ZAWSZE miał szczególne relacje z kobietami, wychodząc z założenia, że nie są one dla niego takim politycznym zagrożeniem jak mężczyźni. Kiedyś osobą szczególnie mu bliską była Ewa Kopacz, dziś „szarą eminencją” jest wice-marszałek Sejmu **Dorota Niedziela**. Kampania wzmocniła też pozycję kolejnej wice-marszałek **Moniki Wielichowskiej**, która organizowała spotkania lidera PO w całym kraju. Stosunkowo nową osobą jest podsekretarz **Agnieszka Rucińska** – dawna dziennikarka Polskiego Radia, która odpowiada głównie za kwestie medialne.

W RELACJACH PÓŁPRYWATNYCH Tusk ma wciąż kontakt z gdańskimi przyjaciółmi z lat 80.: naczelnym „Przeglądu Politycznego” **Wojciechem Dudą** i **Grzegorzem Fortuną**. Radzi się ich np. w kwestiach polityki historycznej. Kontakt utrzymuje też z **Tomaszem Arabskim** – niegdyś szefem KPRM, dziś pracującym w sektorze bankowym.

© PIOTR ŚMIŁOWICZ

wym podwórku nie są dla niego problemem – mówi polityk KO.

Posel Jarosław Urbaniak zauważa, że przede wszystkim gorsza jest zastana sytuacja – kiedyś nie było tak głębokich podziałów między Polakami. – Za poprzednich rządów wszystko musiało być na teraz, a obecnie Tusk stawia na kluczowe sprawy. To powoduje, że nie wytraca energii na niepotrzebne potyczki – dodaje.

Inni zwracają uwagę na większe wsłuchiwanie się w głosy partnerów wielo członkowej koalicji. W czasach rządów PO-PSL nie było tego problemu, bo zdecydowanie silniejszą pozycję miała PO.

Tusk przez swój autorytet jest głównym spoiwem koalicji i jej niekwestionowanym przywódcą. A korzystając ze swoich zdolności, potrafił też oczarować wielu ministrów z koalicyjnych partii.

Jeden z polityków KO przyznaje, że konstrukcja obecnego rządu ma wymusić większe zaangażowanie koalicjantów, a także ich jak najbardziej powiązać. Rzeczywiście: Lewica i Trzecia Droga otrzymały relatywnie dużo resortów, jest też rekordowa liczba sekretarzy i podsekretarzy stanu, bo wszystkie partie mają swoich wiceministrów niemal we wszystkich resortach. Czasami ociera się to o groteskę, bo nawet z zewnątrz widać, że wielu wiceministrów ma fikcyjne zadania.

Tym niemniej, jak przyznaje polityk koalicji, w poprzednich rządach Tusk czasem nie wahał się pozbawiać ludzi nawet z błahych powodów, a teraz toleruje dużo więcej.

Drapieżnik

Oczywiście są sytuacje, kiedy ingeruje, jak wtedy, gdy polecił Paulinie Hennig-Kłosce wycofać się z zamiaru dopisania przepisów wiatrakowych do ustawy o cenach energii, albo gdy zmusił do pozbycia się z resortu cyfryzacji córki europosłanki Polski 2050 Róży Thun (kiedyś w PO), co wywołało nawet krytyczne komentarze marszałka Hołowni.

Postępuje w taki sposób jednak tylko wtedy, gdy po pierwsze widzi wizerunkowe zagrożenie, a po drugie może przy okazji wbić szpilę jednemu z koalicjantów. Pokazując tym samym, że są oni jednocześnie rywalami, a on nadal pozostaje politycznym drapieżnikiem.

Wielu polityków potwierdza, że Tusk najpierw napuszcza na siebie →

→ skonfliktowane Trzecią Drogę i Lewicę, a następnie wjeżdża na białym koniu jako rozjemca. Tak było w przypadku sporu o aborcję – po ofensywie Lewicy i akcji Hołowni z wstrzymywaniem ustaw z jednej strony zgał Hołownię, a z drugiej podczas posiedzenia Rady Krajowej PO przedstawił wykładnię przepisów, do której przestrzegania zostali zobowiązani lekarze, co przyćmiło starania Lewicy.

Spśród liderów koalicyjnych najbliższemu do Władysława Kosiniaka-Kamysza. Ten bowiem nigdy Tuska nie zawiódł, a w 2012 r. jako minister pracy wziął „na klatę” podwyższenie wieku emerytalnego, co zresztą dziś premier uważa za swój polityczny błąd. Najchłodniejsze relacje łączą Tuska z Włodzimierzem Czarzastym. W stosunkach z Szymonem Hołownią ostatnio wzrosło napięcie, zwłaszcza na tle zamieszania wokół ustaw aborcyjnych. Między premierem i marszałkiem Sejmu doszło do wymiany zdań na Twitterze, skądinąd stanowiącym nowy instrument polityczny, niewykorzystywany do tego stopnia za czasów poprzedniego premierostwa Tuska.

Mimo tych kampanijnych zawirowań we wszystkich ugrupowaniach tworzących koalicję istnieje świadomość jej bezalternatywności i tego, że nie rozpadnie się przynajmniej do wyborów prezydenckich.

Kancelerz

Sporą część polityków obozu rządowego dziwi jednak pasywność Tuska w wielu sprawach. W niektórych resortach trwa stan prowizorki. Na czele większości spółek skarbu państwa stoją tymczasowi prezesi, niepewna jest sytuacja mediów publicznych, w licznych instytucjach państwowych wciąż pozostają nominaci PiS, a rząd jako całość nie ma nawet rzecznika prasowego, który tłumaczyłby podejmowane decyzje (lub ich brak). Z tzw. 100 konkretnych na 100 dni, czyli programowego manifestu KO, spełniono zale-

dwie kilka punktów. Niewiele udało się zrealizować też z listopadowej umowy koalicyjnej.

Mało dzieje się również pod względem prawodawczym w parlamencie. Niewykluczone, że to efekt – deklarowanej mimochodem w TVN24 – niechęci Tuska do jego prac. Nawet posłowie KO narzekają na brak komunikacji między rządem a klubem.

W ugrupowaniach koalicyjnych można usłyszeć, że ustawy nie są przesyłane z rządu z uwagi na spodziewany sprzeciw prezydenta. Czy oznacza to, że jedną z cech różniących obecnego Tuska od dawnego jest niewchodzenie w konflikty, które mogą być przegrane?

Niektórzy dziennikarze uważają, że Tusk po pierwsze robi dziś tylko to, co wynika z badań, a po drugie najważniejsza jest dla niego sprawczość. Stąd brak rozstrzygnięć w pomniejszych sprawach i twarde wchodzenie w tematy uważane za kluczowe, takie jak porządek w mediach publicznych czy wymiarze sprawiedliwości.

– Solą systemu PiS, mającą zagwarantować ludziom tej partii bezkarność, była zabetonowana prokuratura, którą ministrowi Bodnarowi udało się sprawnie rozmontować – mówi poseł Mariusz Witczak. Resort dla Bodnara to również pomysł Tuska, przeforsowany mimo pewnych wątpliwości w jego otoczeniu.

Nie ma się co dziwić, że takie działania nie budzą zachwytu w PiS. – Tusk tak rządzi, jakby miał rządzić dożywotnio albo dożywotnio siedzieć – mówi jeden z posłów tego ugrupowania.

Pragmatyk

Pomimo wyraźnego skrótu w lewo, np. w sprawach aborcji, Tusk nie kieruje się żadną spójną doktryną ideową, choć unika już takich sformułowań jak „polityka ciepłej wody w kranie” czy stwierdzeń w rodzaju „jeśli masz wizję, to idź

do okulisty”. Zauważmy, że nawet w czasach poprzedniego premierostwa dawny liberał, wyciągając wnioski z błędów Unii Wolności czy przegranej w 2005 r., nie unikał akcji czysto populistycznych, wzywając np. do chemicznej kastracji pedofili czy zamykając jednego dnia cały rynek hazardu.

Nowego Tuska widać natomiast po sposobie, w jakim realizuje kohabitację z prezydentem Dudą. Jak tylko może, stara się go omijać lub ignorować, nie wikłając się, poza sprawami bezpieczeństwa, w jakiegokolwiek negocjacje. To sytuacja inna niż w czasach kohabitacji z Lechem Kaczyńskim. Z tym ostatnim Tusk miał sporo konfliktów, ale wiele z nich zostało rozładowanych podczas rozmów mających bardziej kameralny charakter. Obaj panowie dobrze się znali prywatnie, co nie ma miejsca w przypadku Tuska i Dudy.

Prezydent

Co będzie dalej? Donald Tusk wie, że jego kariera powoli zbliża się do końca, a pula stanowisk, o jakie może walczyć, jest już niewielka. Stąd w przestrzeni publicznej pojawiły się dywagacje, czy jednak nie zdecyduje się na udział w wyborach prezydenckich w 2025 r.

Co prawda nie chciał walczyć o prezydenturę w 2010 r., przekonując, że realna władza to premierostwo. W 2020 r. nie zmienił zdania, wiedząc, że za rządów PiS, w warunkach spodziewanej nagonki medialnej, jest niewybieralny. Ale w roku 2025 r. sytuacja może być inna i Tusk może chcieć odwojować to, co stracił w pojedynku z Lechem Kaczyńskim w 2005 r. Prezydentura to jeden z nielicznych politycznych ośmiotysięczników, których jeszcze nie zdobył.

Mimo wzdurliwych wypowiedzi samego Tuska o „żyrandolach” w Pałacu Prezydenckim to wcale nie byłoby takie złe ukoronowanie kariery dla blisko 70-letniego polityka. © PIOTR ŚMIŁOWICZ

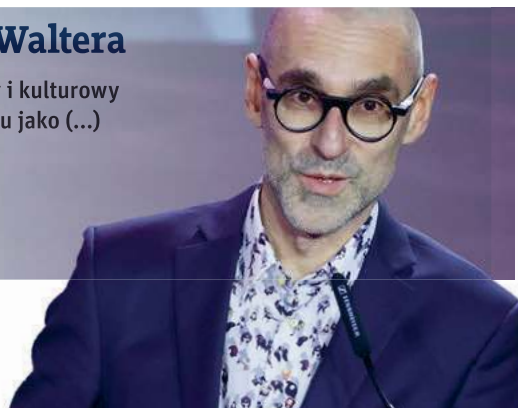
Michał Okoński laureatem Nagrody Mariusza Waltera

Za „...umiejętności nieszablonowego spojrzenia na sport ze względu na globalny i kulturowy fenomen, a nie jedynie relacjonowanie wyników, docenienie popularyzacji sportu jako (...) narzędzia łączącego ludzi we wspólnym przeżywaniu emocji”.

Gratulujemy!

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego”

Obok: laureat po odebraniu Nagrody, Warszawa, 15 marca 2024 r.



**Wierzimy,
że świat
da się naprawić.
Zróbmy to wspólnie**

1,5%



Inne sposoby na wsparcie:
powszech.net/dar

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**Przekaż 1,5% podatku
Fundacji Tygodnika Powszechnego,
która dba o suwerenność i rozwój
„Tygodnika Powszechnego”.**

» KRS 0000 125 605

MAŁGORZATA

Kordowicz: Zysk zabiera mąż



„ZBIERAJĄCY DATKI DOBROCZYNNIE WINIEN przyjmować od kobiet, sług i dzieci jedynie rzeczy niewielkiej wartości, albowiem przy rzeczach o dużej wartości wejście w ich posiadanie [mogło odbyć się poprzez] kradzież lub rozbój. (...) Jeśli

mąż/właściciel [jedno i to samo hebrajskie słowo] sprzeciwia się [darowaniu rzeczy] dowolnej wartości, zbierającym datki nie wolno przyjąć od nich niczego” – tak wyrokuje powszechnie uznany XVI-wieczny kodeks prawa żydowskiego. Zostawmy sługi i dzieci, często umieszczane wraz z kobietami w jednej kategorii istot zależnych, pozostając przy zameężnych niewiastach. Brzmi to dość smutno, żeby nie powiedzieć – tragicznie: dorosła kobieta nie może niczym dysponować, nawet tym, co – wydawałoby się – należy do niej. To prawda, że nie jest w stanie sama – poza wspomnianą kradzieżą czy rozbójem – zwiększyć swojego stanu posiadania. Nawet zysk ze sprzedaży tego, co uprzedła czy utkała, idzie do kieszeni męża – według Talmudu w zamian za to, że ma on obowiązek ją karmić.

Czytamy o ofiarności Izraelitów przy budowie Przybytku na pustyni: „I przychodzili każdy, którego uniosło serce jego, i każdy, którego skłonił duch jego, i przynosili daninę Wiekuistemu dla wykończenia przybytku zboru, i do wszelkiej potrzeby jego, i na szaty święte. I przychodzili mężczyźni i niewiasty; każdy szczerobliwego serca” (Wj 35, 21-22; Cyllkow). Wygląda na to, że obie płcie nie szczędzą nakładów na Przybytek. Z tych wersów wyłania się zgoła inny obraz, niż odmalowuje nam XVI-wieczny komentator: kobiety przychodzą z mężczyznami, by ci potwierdzili, że dają paniom swoją zgodę. „I wszystkie niewiasty umiejętnego umysłu rękami swemi przędły, a przynosiły przędzę” (wers 25.). Inny egzegeta wyjaśnia „umiejętny umysł”: na pustyni Najwyższy żywi wszystkich manną i niektóre panie rozumieją, że dzięki temu mogą dysponować owocami pracy własnych rąk.

Ze strzępów dyskusji w Talmudzie można łatwo wynioskować, że w Świątyni Jerozolimskiej – o zgrozo! – prezentował swoje talenty wokalne między innymi chór mieszany. Dyskusja dotyczy śpiewu antyfonalnego, czyli takiego sposobu wykonywania muzyki liturgicznej, w którym dwie grupy chóralskie prowadzą ze sobą dialog. Dla przyrównujących w Talmudzie przysłuchiwanie się głosowi niewiasty do oglądania jej nago sama idea kobiet śpiewających wraz z mężczyznami jest trudna do wyobrażenia. Omawiają zaistniałe zjawisko ze względu na grupę chóralską, która utwór intonuje. Jeśli zaczynają mężczyźni, to zdecydowanie mniejsze zło. „Odpowiadający” winni wszak wsłuchać się w głos „inicjujących” wokalny dialog. Stąd rozpoczynające utwór antyfonalny kobiety – toż to prawdziwe bezceństwo! ©

O. WACŁAW

Oszajca: Śmierć bez życia



„O GODZINIE DZIEWIĄTEJ JEZUS ZAWOŁAŁ donośnym głosem: *»Eloi, Eloi, lema sabachtani?«*. To w tłumaczeniu znaczy: *»Boże mój, Boże mój, dlaczego Mnie opuściłeś?«*. A niektórzy ze stojących obok, gdy to usłyszeli, zaczęli mówić: *»Spójrzcie,*

woła Eliasza«. Ktoś podbiegł, napełnił gąbkę winnym octem, zatknął na trzcinę i próbował dać Mu pić, mówiąc: *»Pozwólcie, zobaczymy, czy Eliasza przyjdzie Go zdjąć«*. Jezus zaś zawołał donośnym głosem i wydał ostatnie tchnienie”.

Jezus praktycznie przez całe życie, do ostatniego słowa i tchnienia, spotykał się z niezrozumieniem i odrzuceniem przez przeciwników, ale i zwolenników. Słuchano Go, ale nie słyszano. Mówił na przykład: „Jak Mnie posłał Ojciec, który żyje, a ja żyję dzięki Ojcu, tak i ten, kto Mnie spożywa, dzięki Mnie żyć będzie. To jest chleb, który zstąpił z nieba – nie taki, jaki spożywali ojcowie i poumierali; kto posila się tym chlebem, będzie żył na wieki. (...) Po wysłuchaniu tych [słów] wielu spośród Jego uczniów stwierdziło: Twarda jest ta mowa, kto zdoła jej słuchać? (...) Przez to wielu spośród Jego uczniów zawróciło i już z Nim nie chodziło. Wówczas Jezus zwrócił się do Dwunastu: *»Czy i wy chcecie odejść?«*”.

Jednak najtwardszym i ostatnim słowem Jezusa był dźwięk nieartykułowany, którego nie sposób opisać: skowyt, jęk, wycie. Jak sądzę, taki dźwięk słyszałem na Zawracie i noszę w sobie od pół wieku. Był to głos nastoletniej dziewczyny, która, poślizgnąwszy się na śniegu, spadała zbiegiem w kierunku Gąsienicowego Stawu. W pierwszej chwili myślałem, że to głos zwierzęcia. Dzisiaj myślę, że owszem, jej ludzki krzyk był również zwierzęcym skowytom, ale też krzykiem Boga. Skowytom, rykiem, jękiem, wyciem całego stworzenia. Bóg przecież zaistniał w człowieku nie na chwilę, nie na niby, ale jak to tylko Bóg potrafi – do szpiku kości, na dobre i na złe.

My tymczasem, strach pomyśleć, nawet śpiewając „Gorzkie żale”, próbujemy ten „donośny głos” Boga, wciąż wybrzmiewający w „donośnych głosach” stworzenia, jakoś wyłagodzić, żeby nie powiedzieć, stłumić.

Wciąż próbujemy życie i śmierć Jezusa upiększyć, jakbyśmy chcieli być lepszymi chrześcijanami od Piotra: „Jezus zaczął otwarcie mówić swoim uczniom, że musi iść do Jerozolimy, że ma wiele wycierpieć od starszozy i arcykapłanów, i nauczycieli Pisma i umrzeć, a na trzeci dzień zmartwychwstać. Piotr, wzięwszy Go na bok, zaczął Go strofować: *»Miej litość nad sobą, Panie, to Cię nie może spotkać!«*. A odwróciwszy się powiedział Piotrowi: *»Zejdź mi z oczu, kusieliu, nakłaniaasz Mnie do złego, bo nie po bożemu myślisz, ale po ludzku«*”.

Myśleć po Bożemu? Znaczy nie odzierać życia ze śmierci i śmierci z życia. ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś:

Jezus obnażony z szat

*Człowiekiem
nazywa się tego,
kto jest rozumny,
albo tego, kto wytrwale
do rozumności dąży.*

PRZYPISYWANE

ANTONIEMU WIELKIEMU



*Dobro jest jedno,
lecz bywa nazywane
wieloma imionami:
raz mądrością,
raz bogiem,
raz rozumem;
a także inne,
tym podobne,
otrzymuje nazwy.*

EUKLIDES Z MEGARY



Wybrał PIOTR SIKORA



DZIŚ NIECO INNY „okruch” – a mianowicie jedna stacja z Eku-
menicznej Drogi
Krzyżowej, jaką co
roku przeżywamy
w Łodzi. „Żołnierze, gdy ukrzyżowali Je-
zusa, wzięli Jego szaty i podzielili na cztery
części, dla każdego żołnierza po części;
wzięli także tunikę. Tunika zaś nie była
szyta, ale cała tkana od góry do dołu. Mó-
wili więc między sobą: Nie rozdierajmy
jej, ale rzućmy o nią losy, do kogo ma nale-
żeć. Tak miały się wypełnić słowa Pisma:
Podzielili między siebie szaty, a los rzucili
o moją suknię” (J 19, 23-24).

Ojcowie Kościoła – od św. Augustyna
poczynając – widzieli w szatach zdar-
tych z Jezusa symbol Kościoła – Wspól-
noty, która w niektórych swych wymia-
rach może zostać podzielona: na cztery
(lub więcej) części; w tym wszakże, co sta-
nowi jej najgłębszą prawdę i tożsamość
pozostaje – jak Jezusowa tunika – jedna
i nierozdzielna. Paradoksalnie, i jedno
i drugie (podziały i jedność) są w niej
mierze od nas zależne.

Cztery podzielone części św. Augu-
styn skojarzył z czterema częściami świata:
Kościół – pisze – „rozproszył się” na cztery
strony świata, w każdej z nich stał się inny.

Ta różnorodność nie musi, to oczy-
wiste, od razu oznaczać rozdarcia – czę-
sto jednak nim się staje, np. przez gwał-
towne podziały polityczne (jak między
Wschodem a Zachodem) albo majątkowe

(jak między Północą a Południem). To praw-
dziwy dramat: posłany na cały świat, by bu-
dować wspólnotę między ludźmi, Kościół
nie tylko nie staje się skutecznym „narzę-
dziem jedności”, ale podziały świata uznaje
za swoje: staje się stroną w sporach i grach
politycznych, a nawet trwających wojnach.
Polityka, władza, prawo, wojna, pieniądze,
układy i inne zabezpieczenia – dzielą nas
jako ludzi i jako chrześcijan – zasłaniając
nam przy tym skutecznie to, co nas funda-
mentalnie i nierozdzielnie łączy. Co to ta-
kiego?

Św. Augustyn odpowiada: „więzy mi-
łości” (*vinculum charitatis*). Ale (!) nie każ-
dej miłości, lecz tej, która nam jest dana
przez Pana – przychodzi w nasze życie
jako łaska. Dlatego jej symbolem jest wła-
śnie cało-tkana tunika Jezusa, którą jeden
z żołnierzy otrzymał przez los. Nie jako
część zapłaty, należnej mu za wykonaną
pracę; i nie jako zdobycz, po którą sięgnął
jako lepszy, szybszy czy mocniejszy od in-
nych. Nie. Przyszła jako niespodziewany
dar szczęścia; niezależnie od jego uzdol-
nień, zasług i predyspozycji. Tak jest z mi-
łością. Jest w naszym życiu miłość, której
się uczymy i którą zdobywamy. Ale jest na
szczęście także i taka miłość, którą otrzy-
mujemy „z Góry” – od Pana – niewypra-
cowana i niewycwiczone; podarowana
i przyjęta z radością. Pan chce nią dziś i co-
dziennie obdarzać każdą i każdego z nas.

I to jest nasz wybór dokonujący się na
Golgocie: możemy po ludzku dzielić Ko-
ściół lub po Bożemu go kochać. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (24 – 31 III)

Niedziela Palmowa: Iz 50, 4-7;
Ps 22; Flp 2, 6-9; Mk 14, 1 – 15, 47;
Poniedziałek: Iz 42, 1-7; Ps 27; J 12, 1-11;
Wtorek: Iz 49, 1-6; Ps 71; J 13, 21-33. 36-38;
Środa: Iz 50, 4-9a; Ps 69; Mt 26, 14-25;
Wielki Czwartek: Wj 12, 1-8. 11-14;
Ps 116B; 1 Kor 11, 23-26; J 13, 1-15;
Wielki Piątek Męki Pańskiej: Iz 52, 13 – 53, 12;
Ps 31; Hbr 4, 14-16; 5, 7-9; J 18, 1 – 19, 42;

Sobota, Wigilia Paschalna: Rdz 1, 1 – 2, 2;
Ps 104; Rdz 22, 1-18; Ps 16; Wj 14, 15 – 15, 1a;
Ps: Wj 15, 1b-6. 17-18; Iz 54, 4a. 5-14; Ps 30;
Iz 55, 1-11; Ps: Iz 12, 2-6; Ba 3, 9-15. 32 – 4, 4;
Ps 19; Ez 36, 16-17a. 18-28; Ps 42; Rz 6, 3-11;
Ps 118; Mk 16, 1-7;
Niedziela Zmartwychwstania Pańskiego:
Dz 10, 34a. 37-43; Ps 118; Kol 3, 1-4
lub 1 Kor 5, 6b-8; J 20, 1-9.

KRAJ

GDZIE ZNALEŹĆ WŁASNY POKÓJ

W Polsce wciąż brakuje mieszkań.
Prędzej czy później musiało to doprowadzić
do ostrego wzrostu ich wartości rynkowej.
Jak ograniczyć spekulację i zaprząć państwo do działania?

SZYMON ŻYŚKO

MŁODA PARA Z TRÓJKĄ DZIECI KUPI mieszkanie w tym bloku za gotówkę! – widnieje odręczny napis na kartce papieru wyciągniętej ze skrzynki pocztowej. Prócz danych kontaktowych znajdziemy na niej dziecięce rysunki z dopiskiem „marzymy o własnym kącie”. Dzwonię pod wskazany numer. Odbiera mężczyzna w średnim wieku. Brzmi raczej jak biznesmen niż ojciec rodziny. Od razu przechodzi do konkretów, jest zdeterminowany. – Ile metrów? Jaki standard wyposażenia? Notariusza mogę umówić jeszcze w tym tygodniu – naciska. Nie przeszkadza mu, że salon jest przejściowy i połączony z kuchnią, jakby nagle zapomniał o trójce dzieci, które marzą o własnych pokojach. Ofertę składa w ciemno, nie widząc lokalu. Płatność gotówką w ciągu 14 dni. Pytam wprost, czy nie chce obejrzeć mieszkania. – Reprezentuję mojego klienta – odpowiada. Jakiego? – Potencjalnego. Ktoś na pewno zechce kupić lub wynająć mieszkanie – dodaje. Cała misternie utkana historia o rodzinie z dziećmi okazuje się chwytem marketingowym.

Podobne ogłoszenia znajdują mieszkańcy innych bloków w okolicy. Zmienia się tylko numer telefonu. – Nie ma tygodnia, żebym nie wyciągnęła ze skrzynki takich świstków. Roznosi je jakiś student

– mówi młoda kobieta, odbierając pocztę. – Kto uwierzy, że rodzina z dziećmi ma pieniądze od ręki i nie pyta o cenę? – kwituje.

Żółte banery

Na nowo powstającym osiedlu na warszawskich Bielanach balkony szpecą żółte płachty z nadrukiem „sprzedam mieszkanie”. Wieczorami światło widać w ledwie pięciu na 40 okien. Reszta stoi pusta. Niektóre numery telefonów na banerach powtarzają się, ale żaden nie jest oficjalnym kontaktem inwestora. W biurze obsługującym sprzedaż mieszkań w tym bloku agentki informują, że wszystkie wyprzedają się rok temu, wiele z nich już w trakcie budowy. Proponują jednak dokonanie podobnej rezerwacji w przyległym bloku, który dopiero powstaje. Cena za metr kwadratowy? 14 tys. zł. Wracam do żółtych płacht i obdzwaniam właścicieli lokali. – 19 tys. zł/m², ale jeśli się pan zdecydować jeszcze w tym miesiącu, to możemy zejść do 17,5 tys. – odpowiada mężczyzna, który w ofercie ma trzy sąsiadujące ze sobą mieszkania. Cena nie spada tu poniżej 16 tys. zł, najdroższe to prawie 20 tys. zł za metr. – Ale ma pan dwa duże tarasy, piękny widok ze szczytu, tylko jednego sąsiada na piętrze – kusi



właściciel. Na pytanie o etykę skupowania mieszkań i odsprzedaży po zawyżonych cenach odpowiada, że to „inwestycja w wolnym kraju”. – Kto ma pieniądze, ten inwestuje. Każdy przecież może pomyśleć wcześniej – stawia kropkę i się rozłącza.

Reality show

Dorota i Tomek o własnym mieszkaniu pomyśleli po pierwszej fali pandemii. Decyzję o wzięciu kredytu przyspieszyła informacja o kolejnej ciąży: z dwójką dzieci chcieli już być na swoim. Doradca finansowy, z którym określali zdolność kredytową, kazał im się pospieszyć. Z chwilą urodzenia dziecka ich dochody rozłożył się na utrzymanie 4 osób: zdolność drastycznie spadnie.

Zaczęli szukać od razu. W uzbieraniu wkładu własnego pomogła rodzina. – Obejrzelśmy kilkadziesiąt mieszkań w bardzo różnym stanie. Problemem była nie tylko cena, ale nawet bardziej – nierówna walka. Ludzie licytowali się



DARIUSZ BOROWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Osiedle Zielona Polana, Nowa Wieś pod Warszawą. 13 października 2021 r.

jeszcze podczas oglądania ofert. Czasem zapraszano po kilka osób jednocześnie, żeby podgrzać atmosferę. Jak w najgorszym *reality show*. Dwa razy po wstępnej deklaracji sprzedaży właściciel ostatecznie rezygnował, bo ktoś potem przebił naszą ofertę. Mieliliśmy już umówionego notariusza na umowę przedwstępną, ale sprzedający nie przyszedł. Wystarczyło 10-15 tys. zł więcej, trzy nasze miesięczne budżety domowe – mówi Tomek.

Wraz ze wzrostem cen z miesiąca na miesiąc rosła też wartość wkładu własnego. – Z 65 tys. zł uzbieranych dzięki pomocy rodziców zrobiło się wymagane przynajmniej 90 tys. zł. Byłam blisko porodu, odpuściliśmy – dodaje Dorota.

Dziś banki odmawiają im przyznania kredytu z powodu zbyt niskich dochodów: mając dwójkę dzieci, mogliby liczyć tylko na zakup kawalerki. Żyją w wynajmowanym mieszkaniu. – Według banku nie stać nas na ratę, ale co miesiąc za wynajem płacimy półtorej wysokości tej raty wynajmującemu. Na własnej skórze od-

czuliśmy patologię rynku – mówią małżonkowie.

Odklejona stolica

W 2023 r. ceny nieruchomości w Warszawie wzrosły o ponad 24 proc., do 15 tys. zł, czyli 3500 euro za metr. Przeliczenie na euro jest celowe, by pokazać, że stolica Polski wyprzedziła już nawet Brukselę (3400 euro) i dogania Madryt (3900 euro). Nie nadąża za tym wzrost wynagrodzeń nad Wisłą. Brukselczyk zarabiający średnio 14 tys. zł miesięcznie spokojnie kupi za to metr w kredycie ze stałym oprocentowaniem 3 proc. Polak przy średnich miesięcznych zarobkach 7500 zł potrzebuje na to samo prawie trzech miesięcy. Jego kredyt oprocentowany jest zmienną stopą, która w ostatnim roku wahała się pomiędzy 8 a 9 proc.

Tak było w grudniu. Dane z lutego mówią już o wzroście średniej ceny za metr kwadratowy w Warszawie do 16 tys. zł (3700 euro). Warto dodać, że wiele dostępnych mieszkań, zwłaszcza

na rynku deweloperskim, znacznie przebijają tę granicę: niczym nadzwyczajnym nie jest 17 tys. czy nawet 19 tys. zł/m². Średnio za 50-metrowe mieszkanie trzeba zapłacić 850 tys. zł z koniecznością wniesienia wkładu własnego na poziomie przynajmniej 85-100 tys. zł. Rekordzista wycenił mieszkanie w kamienicy usytuowanej w centralnej dzielnicy na 39 tys. zł/m².

W innych miastach jest tylko nieznacznie lepiej. W czołówce tych z najwyższym wzrostem cen nieruchomości są Kraków, Trójmiasto i coraz popularniejsze Katowice. Bez trudu znajdziemy tutaj lokale wycenione na 25-30 tys. zł/m². Tylko w drugim półroczu 2023 r. ceny za metr w wielu miejscach wzrosły o 2 tys. zł.

Tego typu łatwy zarobek kusi osoby zajmujące się tzw. flippingiem: w ciągu 6 miesięcy są w stanie zarobić na odsprzedaży przynajmniej 85-95 tys. zł. Kto ma pieniądze, kupuje znacznie więcej, niż potrzebuje, lokując zyski w kolejnych

→ mieszkaniach, remontując je szybko i odsprzedając drożej. Na rynku nieruchomości najwartościowszy jest klient, który płaci od ręki.

Polski raj podatkowy

– Rynek nieruchomości w Polsce to *de facto* raj podatkowy. Nie ma podatków adekwatnych do tego, co się dzieje. Jest mnóstwo form unikania ich. Należy doprowadzić do opodatkowania spekulantów i inwestorów – mówi Jan Śpiewak, socjolog i działacz społeczny. – Oczywiście ktoś, kto ma jedno dodatkowe mieszkanie, żeby dorobić, jest w innej pozycji niż ktoś, kto ma ich kilkanaście. W pierwszej kolejności należy zaspokajać potrzeby bytowe, a nie biznesowe.

Dużym problemem miast są również pustostany. Narodowy Spis Powszechny ujawnił, że w skali kraju to aż 12,1 proc., czyli 1,86 mln pustych mieszkań. Wśród nich aż 64 tys. jest zarządzanych przez gminy. Jak podaje GUS, ogólna liczba mieszkań i domów w Polsce wynosi 15,7 mln, czyli niemal tyle samo, ile wynosi liczba gospodarstw domowych. To stanowczo za mało, ażeby na dłużej ustabilizować grę podaży i popytu, zatrzymując w ten sposób także wzrost cen. Zwłaszcza w dużych miastach, do których przenoszą się mieszkańcy z innych regionów Polski i które ostatnio stały się głównym celem migracji zarobkowych i wojennych z zagranicy. Jak zauważa dr hab. Agata Twardoch z Politechniki

Śląskiej, brakuje zwłaszcza mieszkań na umiarkowany wynajem, dla osób o niskich i średnich dochodach.

Według Joanny Erbel, socjolożki i ekspertki ds. mieszkaniowych, podatek katastralny (liczony od wartości lokalu) dla właścicieli mieszkań przynoszących im korzyści finansowe nie rozwiąże problemu. Jego koszt zostanie przerzucony na najemców. – Ostatni w tym łańcuchu zapłaci, bo nie ma już na kogo przenieść podwyżki. Rząd powinien zachęcać właścicieli do uruchomienia pustostanów, sprawiać, że najem będzie oczywistym wyborem, np. wprowadzając podatek od pustostanów – mówiła w wywiadzie dla miesięcznika „Znak”.

Zdaniem dr. hab. Adama Czerniaka, kierownika Zakładu Ekonomii Instytucjonalnej i Politycznej SGH, głównym czynnikiem braku uregulowania sytuacji z pustostanami są, owszem, pieniądze, ale przede wszystkim te, których brakuje w kasie samorządów. – Mieszkalnictwo komunalne jest deficytowe. Do każdego lokalu gminy co roku dokładają 1-2 proc. jego wartości. W dużych miastach utrzymanie ich to jedna z największych pozycji w budżecie. W rezultacie samorządy zwlekają z remontami mieszkań w złym stanie technicznym, bo choć może one się do niczego nie nadają, to przynajmniej nie generują dodatkowych kosztów. W efekcie liczba zawieszonych przez gminy umów najmu spadła do historycznie najniższego poziomu

593 tys. w 2023 r., a kolejka gospodarstw domowych oczekujących na przydział mieszkania wciąż utrzymuje się powyżej 120 tys. – mówi ekonomista.

Skąd się biorą ceny mieszkań?

Ścieżka rozwoju flippingu w Polsce jest podobna do tej, jaką można było zaobserwować w innych krajach wysoko rozwiniętych. W USA na początku tego stulecia flipping był bardzo popularny, zwłaszcza w miastach atrakcyjnych inwestycyjnie, takich jak Las Vegas.

– Warto zwrócić uwagę, że flipping pojawia się w okresach szybkich wzrostów cen. W czasach równowagi rynkowej jest go stosunkowo mało. Reguła kciuka mówi, że nie więcej niż 5 proc. podaży mieszkań na rynku wtórnym powinny stanowić mieszkania po flippingu. Wówczas flipperzy pełnią zdrową funkcję oczyszczającą. Przywracają na rynek mieszkania z różnych powodów z niego wyłączone, np. ze względu na zły stan techniczny, nieuregulowane sprawy spadkowe czy służebności – tłumaczy Adam Czerniak.

Agata Twardoch przypomina jednak, że wzrost ceny mieszkań zaczął się na długo przed wzrostem inflacji, głównie za sprawą niskich stóp procentowych NBP i związanego z nimi luzowania polityki kredytowej banków.

– Mielśmy do czynienia z szybko rosnącym popytem napędzanym najpierw bardzo łagodnymi warunkami udzielania kredytów hipotecznych, a po roku wyhamowania rządowym programem dopłat do kredytów. Na to nakładała się wysoka aktywność inwestorów kupujących mieszkania na wynajem i spekulujących na wzrostach cen – dodaje Adam Czerniak.

Architektura wyboru

Według Joanny Erbel Polska potrzebuje poważnej polityki mieszkaniowej i poświęcenia większej uwagi bezpieczeństwu najmowi. Naprawa rynku potrwa lata, a w tym czasie Polacy muszą przeczekać gdzieś mieszkać. – Mam nadzieję, że odpowiedzią będzie tworzenie polityki nakierowanej na najem i jego dostępność. W ostatnich latach zmieniło się coś, co ekonomiści behawioralni nazywają architekturą wyboru. Chodzi o pewien kontekst, w którym podejmujemy nasze decyzje. Własność przestaje być

Drogim
księdzu Adamowi Bonieckiemu,
jego siostrze Marii Dąbrowskiej
i bratu Tadeuszowi Fredro-Bonieckiemu
oraz całej ich rodzinie

składamy wyrazy serdecznego współczucia
w związku ze śmiercią ich brata i wuja

ś.p. Stanisława Fredro-Bonieckiego

zmarłego po długiej i ciężkiej chorobie
15 marca 2024 roku w Warszawie,
w wieku 88 lat.

TYGODNIK POWSZECHNY, FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

atrakcyjna. W tak niestabilnym świecie branie kredytu na 30 lat przestaje być racjonalne – mówi ekspertka ds. mieszkaniowych.

– Miasta powinny wziąć na siebie rolę koordynacji nowej zabudowy, skupować grunty, przygotować masterplan i na jego podstawie uchwalić plan miejscowy. Dopiero wtedy można udostępniać grunty inwestorom, najlepiej w ramach koncesji lub dzierżawy. Powstająca zabudowa będzie wówczas stanowiła spójną całość i zapewni mieszkańcom dostęp do odpowiedniej przestrzeni publicznej. Takie działania mogą być wykonywane przez miejskie spółki celowe lub w szerokim publiczno-prywatnym partnerstwie. Można zadbać o interesy wszystkich, a przy dzierżawie gruntów dodatkowo zapewnić miastu długoletni przychód – podpowiada Agata Twardoch.

– Nie wierzę we współpracę państwa i deweloperów, by naprawić rynek mieszkaniowy. Z prostego powodu: deweloperzy są państwem w państwie. Jak prześledzimy historie spółek deweloperskich, to zobaczymy silne związki z politykami, również czynnymi. Wielu posłów w tej kadencji Sejmu to rentierzy – mówi Jan Śpiewak.

Wszystkie działania, które mogą zapobiegać spekulacjom, związane są jednak z ingerencją w prawo własności, na które Polacy są szczególnie wyczuleni.

– Najskuteczniejsze są te, w których miasto lub inny podmiot publiczny pozostaje właścicielem gruntów, a podmiot prywatny odpowiada jedynie za budowę mieszkań, na którą ma np. koncesję. Inne rozwiązania nakładają na właściciela gruntów obowiązki, choćby tzw. prowizje społeczne, w ramach których prywatni inwestorzy muszą przekazać do sektora mieszkań dostępnych pewną część swoich lokali – mówi Agata Twardoch.

Państwo może działać

Pojawienie się państwa na rynku mieszkaniowym może zatrzymać niekontrolowany wzrost czynszów. Gwarantowanie długiego komunalnego najmu w konkurencyjnych cenach ma szansę wywrzeć pozytywny wpływ na sektor prywatny, wprowadzając górną granicę opłacalności dyktowaną przez zainteresowanie najemców, którzy zyskają alternatywę dla drogich mieszkań. Państwo jako jedyny podmiot posiada również instrumenty, które

Rynek nieruchomości w Polsce to de facto raj podatkowy:

nie ma podatków adekwatnych do tego, co się dzieje, jest za to mnóstwo form ich unikania.

pozwalają reagować na patologie i nadużycia (również ze strony najemców).

– Celem działalności deweloperskiej jest zysk. Jeżeli jako społeczeństwo chcemy, żeby nie powstawał on na bazie publicznej szkody, musimy zastosować takie regulacje i rozwiązania prawne, które do tego doprowadzą – komentuje wykładowczyni Politechniki Śląskiej.

Ekspert SGH jako inspirację dla transformacji podaje takie kraje jak Dania, Francja czy Czechy, które źródeł rozwiązania problemu zaczęły szukać u podstaw myślenia o mieszkalnictwie. Cenne powinny być również doświadczenia Hiszpanii i Irlandii, które kilka dekad temu miały zbliżony rynek do tego, jaki jest obecnie w Polsce. – Odradzałbym natomiast zbytnie koncentrowanie się na doświadczeniach Wiednia czy Berlina, bo to miasta o zupełnie różnej od naszej historii i innych uwarunkowaniach rynkowych – przekonuje.

W stolicy Austrii ponad 60 proc. populacji korzysta z mieszkań społecznych i nie dotyczy to wyłącznie najuboższych obywateli. Lata rozwijania mieszkalnictwa w kierunku dostępności jako podstawowego prawa sprawiły, że kredyt hipoteczny stał się dla wiedeńczyków wyborem, a nie koniecznością. Wysokie kryterium dochodowe pozwala załapać się na program aż 80 proc. mieszkańców. Skopiowanie tego modelu w krótkim czasie w Polsce nie jest jednak możliwe, bo nie chodzi wyłącznie o wrzucenie na rynek dodatkowej puli mieszkań, ale o przemianą transformację rynku.

– Im to zajęło sto lat. Mieszkalnictwo, w przeciwieństwie do bankowości czy telekomunikacji, nie może się rozwijać zabici skokami, czyli z pominięciem pośrednich stadiów rozwoju. Nie powinniśmy koncentrować się wyłącznie na celu, ale także na drodze do niego i kosztach, ja-

kie trzeba ponieść, żeby go osiągnąć. Tej analizy w dyskursie publicznym bardzo brakuje – wyjaśnia ekonomista.

Jak pokazały ostatnie lata, w budżecie państwa da się znaleźć środki na realizację priorytetowych celów. To nie państwo buduje jednak mieszkania własnymi siłami. Urzędnicy mogą wyłącznie zlecić i nadzorować ich powstanie oraz dostępność na rynku.

Obecny kryzys może być natomiast szansą dla rozwoju prowincji. – Czekam na moment, kiedy z dużych miast zaczęną odpływać talenty do mniejszych. Kiedyś za wyborem dużego miasta stała choćby dobra edukacja na poziomie. Dzisiaj małe miejscowości mogą powalczyć o najlepszych nauczycieli i nauczycielki, albo o osoby pracujące w sektorze zdrowia, oferując im tańsze mieszkania – mówi Joanna Erbel. Pierwsze jaskółki zmian widać już na horyzoncie. Mniejsze miasta, np. Pleszew, Włocławek czy Chrzanów, zdały sobie sprawę, że polityka mieszkaniowa jest elementem dobrej jakości życia.

Cudzy kredyt

Niedawno do redakcji portalu Onet.pl wpłynął list czytelniczki, który zdecydowano się opublikować. „Od dwunastu lat spłacam wasze kredyty – te, które z trudem wyszarpaliście w banku i o które drżycie, gdy nie znajdziecie nikogo na wynajem przez miesiąc. Mieszkania na kredyt, do których wstawiacie obdrapane meble z OLX i starocie znalezione w czełusciach waszych piwnic, albo do których nie wstawiacie nic, bo wykończenie kuchni przeżarło wszystkie wasze zasoby finansowe (...), aby po zakończeniu umowy najmu przyglądać się im z lupą, bo każda najmniejsza rysa da wam możliwość odebrania mi kaucji, której wysokość jest wyższa niż wasz miesięczny zarobek. A o rysę na takim tanim paździerzku nietrudno” – pisze rozgoryczona 32-latką.

„Doszliśmy do granic absurdu, gdzie wynajem – który powinien być tańszą alternatywą kredytu – kosztuje dokładnie tyle samo co kredyt, a nawet więcej (...). Może i spłacam wasze kredyty, ale według banków swojego nie byłabym w stanie spłacić. Brzmi jak żart, co nie?” – puentuje kobieta.

Niestety, mało komu jest do śmiechu.

© SZYMON ŻYŚKO

Paradoks Kaczyńskiego

PAWEŁ MUSIAŁEK

Lider PiS, kandydując ponownie na prezesa tej partii, zamiast ochronić ją przed rozpadem, ów rozpad przyspieszy.

W WYWIADZIE DLA TYGODNIKA „Sieci” Jarosław Kaczyński oznajmił, że podczas najbliższego kongresu PiS wystartuje w wyborach na prezesa. Znając jego pozycję w środowisku, można to uznać za niemal automatyczne przedłużenie władzy Kaczyńskiego o kolejne lata. Wcześniej prezes mówił, że obecna kadencja jest jego ostatnią. Dlaczego zmienił zdanie? Nie chce, aby ktoś mu zarzucał, że jest dezerterem i zostawia partię w trudnym momencie – uzasadnia w rozmowie.

Wielu obserwatorów polskiej polityki od początku wątpiło w szczerość deklaracji o niekandydowaniu. Wiedzieli, że dla Kaczyńskiego polityka jest od lat wszystkim. Perspektywa odejścia na emeryturę w jego przypadku jawi się nie jako odpoczynek po żmudnej i niewdzięcznej pracy, ale rezygnacja z pasji. Coś takiego robi się jedynie z konieczności, nie z wolnej woli.

Są jednak powody, aby sądzić, że Kaczyński faktycznie planował ustąpienie, ale zmienił zdanie. Ważną rolę w tym procesie mogła odegrać kombinacja spadków sondażowych PiS i niedawny apel prof. Andrzeja Nowaka, domagający się właśnie przejścia Kaczyńskiego na emeryturę. Profesor to szanowana postać na polskiej prawicy, a jego słowa szeroko rezonowały w partyjnym otoczeniu. Bez wątplenia wiele osób podziela diagnozę i rekomendacje Nowaka, choć z oczywistych przyczyn nie mówi o tym głośno.

Poglądy pisowskiego aparatu są związane z nastrojami społecznymi. Ostatni sondaż United Surveys potwierdza, że nieco ponad 2/3 Polaków (w tym niemal 1/3 wyborców PiS) uważa, że prezes powinien odejść na emeryturę. Deklarację chęci kontynuacji swojej misji w takim momencie należy więc interpretować jako odpowiedź na tekst Nowaka i powstrzymanie niepożądanych ruchów tektonicznych we własnym ugrupowaniu.

Bijące serce obozu

Zwolennicy Kaczyńskiego jego deklarację przyjęli z ulgą. Nie tylko z uwagi na wiedzę, doświadczenie czy intelektualny format prezesa. Fundamentalnym założeniem dużej części prawicy jest to, że mimo swoich wad stanowi on spoiwo dla całego obozu.

Założenie, że cały prawicowy system „виси” na Kaczyńskim, wynika nie tylko z zarządzania metodą „dziel i rządź” samego prezesa, ale przede wszystkim ze strachu, mającego historyczne podłoże. Fundamentalnym doświadczeniem Kaczyńskiego i polityków jego generacji jest „rozbić dzielnicowe” lat 90., które symbolizował słynny Konwent św. Katarzyny. Na dwóch polityków prawicy przypadały wówczas trzy partie, a każdy czuł, że nosi buławę marszałkowską w plecaku. Oferta ideowa i programowa była wprawdzie wielobarwna, ale pozorna. W efekcie przerostu ambicji prawica była bowiem skłócona i trudno jej było myśleć o władzy.

Budując PiS, prezes chciał ugrupowania, które stroniłoby od „kanapowych” formacji lat 90. i federacji na glinianych nogach, jaką była AWS. Doświadczenie marginalizacji zrodziło w działaczach zgodę na model partii silnie scentralizowanej. W miarę upływu czasu Kaczyński uzyskał władzę absolutną. Niepokorni odpadali, ale nie było ich wielu. Zdecydo-



wana większość akceptowała wodzowski charakter partii. Model ten zresztą się sprawdzał: na przestrzeni ostatnich 20 lat PiS trzykrotnie wygrywał wybory. Strategiczna i komunikacyjna spójność pozwoliła zbudować duży i lojalny elektorat.

Zakład emerytalny

Nawet zwolennicy Kaczyńskiego zdają sobie jednak sprawę, że przedłużenie jego władzy stanowi duże obciążenie. Wszyscy mówią, że partia wymaga odświeżenia. Brak zmiany na pozycji lidera oznacza zachowanie *status quo* w innych obszarach, bo to przecież Kaczyński ma decydujące zdanie w każdej kluczowej kwestii.

Głównym problemem PiS nie jest tylko to, że prezes się starzeje i nie potrafi zidentyfikować poprawnie wszystkich bolączek partii. Kłopot również w tym, że otacza się politykami swojego lub niewiele młodszego pokolenia, niechętnymi zmianom i niepotrafiącymi sformułować atrakcyjnej narracji dla wyborców spoza pisowskich bastionów. Dużo racji ma prawicowy komentator Marcin Palade, powtarzając, że Kaczyński zrobił w PiS zakład emerytalny dla polityków Porozumienia Centrum. Zdolność prezesa do taktycznych manewrów (np. zmiana retoryki w kampanii samorządowej na pozytywną, symbolizowaną hasłem PiS



DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień są gośćmi Grzegorza Chłasty w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

Płock 101,9 FM



PIOTR NOWAK / PAP

Jarosław Kaczyński na konwencji samorządowej Prawa i Sprawiedliwości w Szeligach pod Warszawą. 2 marca 2024 r.

„na tak”) już nie wystarcza, zwłaszcza że Kaczyńskiemu coraz częściej zdarzają się emocjonalne wybuchy idące w poprzek tej strategii.

Utrzymanie Kaczyńskiego u władzy będzie więc cementować PiS i jego twardy elektorat, ale jednocześnie podtrzyma dystans tych, których partia mogłaby (od)zyskać. Pisowskie grzechy i faule spowodowały bowiem, że duża część wyborców z 2015 i 2019 r. się zniechęciła, a pierwsze miesiące po wyborach utwierdzają ją w dystansie, na co duży wpływ mają właśnie wypowiedzi samego Kaczyńskiego.

Aby zachęcić utraconych wyborców do powrotu, PiS musiałby przejść bardziej fundamentalną zmianę. A Kaczyński nie jest już do niej zdolny. Stanowiąc spoiwo obozu pisowskiego, staje się jednocześnie głównym blokującym poszerzenie elektoratu.

Okno możliwości

Niedługo odbędą się wybory samorządowe i europejskie. Jeśli nic nadzwyczajnego się nie wydarzy, PiS zanotuje w nich kolejną porażkę. Emocje antypisowskie są zbyt silne, nowy rząd jeszcze się nie opatrzył, a do tego udało mu się uzyskać środki z KPO. Będzie to istotne szczególnie w wyborach do Parlamentu Europejskiego.

Tak dochodzimy do kluczowej tezy. Utrzymanie Kaczyńskiego na fotelu prezesa może przyspieszyć dekompozycję prawicy. Dla coraz większej grupy polityków staje się bowiem jasne, że PiS z takim zwierzchnikiem nie tylko nie rokuje rozwoju, ale jest wręcz gwarancją stagnacji. W takiej zaś sytuacji coraz więcej osób (szczególnie młodsze pokolenia, które mają problem z przebicciem się do pisowskiego „coru”) będzie szukać alternatywy. Perspektywa lat w opozycji nie jest dla nich atrakcyjna.

Do niedawna wielu polityków niezadowolonych z sytuacji wewnętrznej w PiS akceptowało *status quo*, ponieważ było beneficjentami utrzymania władzy. Dziś tej rekompensaty już nie ma. Co więcej: sondażowe spadki i brak pomysłu na skuteczną opozycyjność zwiększają wątpliwości.

Ewentualnemu nowemu podmiotowi sprzyja kalendarz wyborczy. Już niedługo polska polityka będzie koncentrować się na wyborach prezydenckich. Na razie nie ma w PiS naturalnego kandydata mającego szanse na zwycięstwo. Ba: nie jest oczywiste, że jakkolwiek pisowski kandydat znajdzie się w drugiej turze.

Powtórka sytuacji z 2015 r., kiedy to startujący z pozycji „underdoga”, mało wówczas znany Andrzej Duda był w stanie

wygrać z Bronisławem Komorowskim, będzie trudna do powtórzenia. Po pierwsze, przy swoich słabościach Duda ma talenty „wiecowe”, niełatwe do odnalezienia w PiS. Po drugie, wygrana obecnego prezydenta była możliwa dzięki fatalnej kampanii Komorowskiego. Po trzecie wreszcie, porażka tego ostatniego wynikała ze zmęczenia po 8 latach rządów PO. Wybory prezydenckie w 2025 r. będą mieć miejsce po niespełna dwóch latach nowego rządu. PiS nie może liczyć na to, że społeczne zmęczenie władzą da wiatr w żagle jego kandydatury. Przeciwnie: okres burzliwej kohabitacji może skłaniać do tego, aby powierzyć całą władzę w ręce PO.

Niesprzyjające PiS okoliczności będą zachęcać do startu różnych kandydatów, dla których celem niekoniecznie będzie prezydentura, ale przede wszystkim zebranie kapitału do budowy nowego politycznego podmiotu. Taka ścieżka nie jest niczym nowym: w ostatnich wyborach przebył ją Szymon Hołownia, w poprzednich Paweł Kukiz. Postaci te łączy zdolność przyciągnięcia elektoratu określonego przez Jarosława Flisza jako TUP – tymczasowe ugrupowanie protestu. Chodzi o ludzi politycznie labilnych, którzy co wybory szukają czegoś nowego i dają premię nowym podmiotom.

Rozpoczęcie projektu partyjnego przez wybory prezydenckie, a nie parlamentarne, wydaje się zjawiskiem nieintuicyjnym. Dla wtajemniczonych jednak jest naturalne, a nawet bezalternatywne. Od lat jest oczywiste, że bariera wejścia nowych podmiotów w wyborach parlamentarnych jest wysoka z uwagi na rolę pieniędzy, medialnego wsparcia i dużego zespołu rozpoznawalnych polityków, w przeciwieństwie do wyborów prezydenckich, gdzie kluczowe są talenty jednego człowieka. Dlatego nie powinno dziwić, że skuteczny debiut w wyborach parlamentarnych bywa poprzedzony dobrym wynikiem w wyborach prezydenckich.

Czekając na nowego Kukiza

Duże zainteresowanie medialne (większe niż np. wyborami samorządowymi) w ostatnich tygodniach wzbudziły potencjalne kandydatury na prezydenta gen. Rajmunda Andrzejczaka, Krzysztofa Stanowskiego czy Doroty Gawryluk. Nieprzypadkowo: wiele osób wyczuwa, że jeśli PiS niczego nie zmieni, to wybory prezydenckie mogą być czynnikiem →

→ wpływającym na scenę partyjną. Już dawno na polskiej prawicy nie było tylu sygnałów oczekiwania na „Kukiza 2.0”.

Oczywiście sam popyt w polityce jest czynnikiem koniecznym, ale niewystarczającym, aby pojawiła się podaż. Niemniej PiS z Kaczyńskim na pokładzie będzie zwiększał oczekiwania i szansę pojawienia się nowego podmiotu. Jeśli tak się stanie, będzie to paradoks. Kluczowym celem wydłużenia prezesury Kaczyńskiego ma być bowiem zwarcie szeregów i uchronienie PiS przed dekompozycją. Tymczasem kolejna kadencja prezesa może ją przyspieszyć. Jeśli na bazie dobrego wyniku w wyborach prezydenckich pojawi się nowy podmiot, część obozu PiS odpłynie od Kaczyńskiego.

Dla uczciwości należy dodać, że PiS bez prezesa również nie dawałby gwarancji oczekiwanych zmian. Lider PiS od lat eliminował polityków intelektualnie suwerennych, którzy mieliby zdolność formułowania niebanalnych diagnoz. Opuszczenie statku przez Kaczyńskiego mogłoby niewiele zmienić, bo dziś zdecydowana większość partii powiela sposób myślenia lidera. Wymiana prezesa, np. na typowanego w kuluarach Przemysława Czarnka, nie byłaby zmianą jakościową. Jak wielu innych kandydatów, były minister edukacji ma wiele wad Kaczyńskiego, ale nie ma jego zalet. Ideologiczna wyrazistość i retoryczna sprawność to zdecydowanie za mało, aby przyciągnąć nowy

Aby zachęcić utraconych wyborców do powrotu,

PiS musiałby przejść fundamentalną zmianę.

A Kaczyński nie jest już do niej zdolny.

elektorat czy choćby naoliwić pisowską maszynę.

Szansa dla prawicy

Nowy prawicowy TUP byłby naturalnie groźny dla PiS. Z drugiej jednak strony dla samej prawicy jest to scenariusz być może optymalny.

Wielu stawia tezę, że jedynym sposobem na jej powrót do władzy jest podział prawicy na dwa obozy – radykalniejszy i łagodniejszy. Co ciekawe, taka konstrukcja już funkcjonowała, i to skutecznie. Obecność Polski Razem Jarosława Gowina jako skrzydła umiarkowanego oraz Solidarnej Polski Zbigniewa Ziobry jako skrzydła radykalnego, oraz dużego PiS między nimi, była receptą na sukces w 2015 i 2019 r. Późniejsze wyeliminowanie Gowina oraz „solpolizacja” PiS, będąca efektem starcia z Ziobrą, ograniczyły pluralizm i polityczną ofertę. Dziś jednak w partii Kaczyńskiego nie widać refleksji, że powrót do konstrukcji z 2015 r. jest niezbędny. A jeśli tak, to potencjalny ko-

alicjant musi przyjść spoza obozu Zjednoczonej Prawicy.

Taki podmiot mógłby być odpowiedzią na deficyt zdolności koalicyjnej PiS, choć jednocześnie zabrałby część jego elektoratu. Byłaby to sytuacja analogiczna do relacji Polski 2050 Hołowni i PO. Gdyby nie Hołownia, Tusk nie odzyskałby władzy, ponieważ jego partia nie byłaby w stanie przebić swojego „sufitu”, zawieszonego na wysokości 30 proc. poparcia. Trzecia Droga była więc niezbędnym podmiotem, który pozwolił zebrać głosy rozstrzygające o zwycięstwie koalicji 15 października.

PiS z Kaczyńskim również napotkał na barierę wzrostu, której sam nie będzie w stanie przeskoczyć. Partia jest niezdolna do fundamentalnych zmian, ponieważ nie wykształciła się w niej kultura dyskusji, w której mogą powstać prawdziwe, a nie propagandowe diagnozy i rozwiązania. Narracja PiS jest przekonująca tylko dla najwierniejszych, którzy mają ogromne zaufanie do Kaczyńskiego. Dla „letnich” prawicowców przekaz stał się nieakceptowalny.

Nastąpił więc głęboki rozjazd między „twardym” elektoratem a tym, który PiS chciałby pozyskać. Odzyskanie bardziej centrowych wyborców może się odbyć jedynie pośrednio – poprzez sojusz z podmiotem, który dla tego elektoratu będzie wiarygodny.

© PAWEŁ MUSIAŁEK

Autor jest prezesem Klubu Jagiellońskiego.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
 Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
 Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocui, Michał Okoński,
 Marek Rabiń, Krzysztof Story, Piotr Śmitowicz,
 Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
 Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
 Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz,
 Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik),
 Monika Ochędowska, Anita Piotrowska

Fotoedycja: Edward Augustyn,
 Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
 Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński,
 Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
 Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Klaudia Bieł, Katarzyna Domin, Sylwia Frotów,
 Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron,
 Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Marzena Cora, Mateusz Chmielewski,
 Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo,
 Olga Drenda, Eliza Kačka, Hanna Krall,
 Stanisław Mancewicz, Dorota Mastowska,
 Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik,
 Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
 Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejewska,
 Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
 Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
 Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula,
 Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
 ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska,
 Eliza Kačka, Piotr Kłotkowski, Małgorzata Kordowicz,
 Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
 Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka,
 Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
 Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
 Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak,
 Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica,
 o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
 Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski,
 Adam Róbiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek,
 kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński,
 Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
 Marcelina Zumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
 Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
 Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
 reklama@TygodnikPowszechny.pl
 promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



REKLAMA
 S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAJA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uzyskaniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

→ planowani – jako my uwidzieli wyżyj przy forsztelönku uznaniö w zakönie šlönskij regijönalnyj gödki we trzech warijantach”). Wielu to dziwi, tak jak 500 lat temu wielu dziwiło się, że ktoś próbuje pisać uczone książki już nie po łacinie, a po polsku.

Co rusz na deski teatralne trafiają spektakle po śląsku, firmy takie jak Ikea, Coca-Cola czy Tchibo po śląsku się reklamują. Wydaje się, że godka jest wszędzie: po śląsku można korzystać z telefonu Samsung, Facebooka, odkurzacza. Można iść do kina na film ze śląskim dubbingiem. Kultura śląskojęzyczna powoli staje się masowa: kryminał „Kömisorz Hanusik” Marcina Melona miał kilkanaście dodruków, a na spektakl „Cholonek” sprzedano ponad 120 tys. biletów. Kultura śląskojęzyczna od dawna miała swój rejestr wysoki i niski, krupniokowy, teraz coraz chętniej mości się w kulturze popularnej.

– Polski establishment lingwistyczny jednak za tym nie nadąża, nie jest świadomy, jak wiele zdarzyło się w ciągu ostatnich kilkunastu lat – mówi Jaroszewicz. – Językoznawcy po sześćdziesiątce w większości pozostają na pozycjach z lat 90.

– A młodszy?

– Oni w większości popierają uznanie śląskiego.

Nie ma ścisłych kryteriów, które pozwalają oddzielić dialekt od języka. Max Weinreich powiedział, że język to dialekt, który ma armię i flotę. Gdyby istniała Rzeczpospolita Śląska, łatwo przyznano by, że istnieje język śląski. Na naszych oczach uznano istnienie mołdawskiego czy czarnogórskiego – tylko dlatego, że powstały takie państwa. Godka jest tymczasem językiem bezdomnym.

– Przeciwnicy mówią, że śląski nie jest skodyfikowany – mówię Jaroszewiczowi.

– Jest skodyfikowany w zadowalającym stopniu, żeby się komunikować, pisać książki – odpowiada. – Jeśli ortografia gwary podhalańskiej jest skodyfikowana w zeru procentach, a polskiego w stu procentach, to w przypadku śląskiego mamy 90 procent. Teraz kodyfikujemy gramatykę i leksykę.

Językoznawca Artur Czesak zwracał kiedyś uwagę, że polszczyźnie też to trochę zajęło: jeśli ostatnia poważna reforma ortograficzna miała miejsce w 1936 r., to licząc od Reja polski kodyfikował się 400

lat. Poza tym kodyfikacja nie jest warunkiem istnienia języka: spośród 6-7 tysięcy istniejących języków tylko 300 opatrzone w gramatykę, słownik i reguły pisowni.

Polska przechodzi na śląski

Dziś uznanie śląszczyzny popierają wszystkie siły parlamentarne poza PiS i Konfederacją. W budżecie na bieżący rok przewidziano na walkę o godkę 2 mln zł – to pierwsze w dziejach środki na śląszczyznę. Uznanie śląskiego przełożyłoby się w kolejnym roku na 300-400 mln zł, środki niemal w całości poszłyby na edukację. Śląski byłby fakultatywnie nauczany w szkołach, będzie można po śląsku zdawać maturę, tu i tam mogą pojawić się też dwujęzyczne nazwy miejscowości (w województwie opolskim, gdzie są już nazwy po niemiecku, nawet trójjęzyczne).

W przeszłości do Sejmu trafiło kilka projektów ustawy o uznaniu śląskiego – wszystkie przepadły. Czasem śląszczyznę nawet przeceniano. W stanowisku rządu wobec poprzedniego projektu stało np.: „Uznawanie istnienia kolejnych dialektów jako języków regionalnych mogłoby w rezultacie doprowadzić do paradoksalnej sytuacji, w której społeczeństwo Rzeczypospolitej Polskiej składałoby się wyłącznie z osób posługujących się odrębnymi językami regionalnymi bez istnienia narodowego języka ogólnego”. Ślązacy odpowiadali sarkastycznie: „Wszyscy Polacy nie przejdą chyba na śląski”.

– Dlaczego wtedy się nie udawało, a teraz ma się udać? – pytam posłankę KO Monikę Rosę, która złożyła projekt.

– Bo w międzyczasie coś przepracowaliśmy. Po pierwsze, wiele zadziało się na samym Śląsku, a później weszło do polskiego głównego nurtu. Po drugie, latami rozmawialiśmy, przekonywaliśmy kolejnych polityków. Aż wreszcie powstała masa krytyczna.

– A podczas rozmów z posłami opozycji? Godka budzi u nich negatywne emocje, pojawia się mantra: separatyści, folksdojcz?

– Emocje były parę lat temu, ale teraz już ich nie ma. Dziś temat kojarzy się z prawami człowieka, edukacją. Rozumiem, że trzeba to załatwić.

Język śląski po wojnie się upolitycyzował. To język podejrzany, w którym knuli dziadkowie z Wehrmachtu. Obrósł stereotypami, którymi obrosli Ślązacy: że

jeśli dać im palec, wezmą całą rękę, że Górny Śląsk przyłączy się do Niemiec – nawet jeśli z nimi nie graniczy. Kaszubi są bezpieczniejsi, jest ich mniej, ich inteligencja nie pisze publicznie: „pierdol się, Polsko” jak w 2013 r. Szczepan Twardoch, a do tego znacznie częściej wpisują swoją kaszubskość w polskość – tymczasem śląska tożsamość jest najmocniejszą tożsamością etniczną konkurencyjną wobec polskiej.

– A jeśli prezydent zawetuje ustawę?

– Wówczas będziemy szukać głosów, żeby odrzucić weto.

– Skąd je weźmiecie?

– Jako że idą wybory samorządowe, PiS może nie wprowadzić dyscypliny i część posłów poprze nasz projekt. Na prawicy też są zwolennicy godki – tłumaczy Rosa. – Jeśli jednak przed głosowaniem dojdzie do kolejnej eskalacji związanej np. z Pegasusem czy z Kamińskim i Wąsikiem, szanse będą mniejsze – śląski jest zakładnikiem bieżącej polityki.

Habitusowy tatuaż

Ale z tymi Ajschylosami i Tolkienami to nie takie proste. W szkole nie będzie nauczany śląski, którym się na co dzień posługujemy.

Lekcje śląskiego to szansa na zasypanie dziury, która zionie między śląszczyzną wysoką, literacką, a tym, jak się między sobą *godo* – ten ostatni wariant nazwiemy *po naszymu*. Deklarowanie posługiwania się śląszczyzną to często habitusowy tatuaż, deklaracja tożsamościowa. Wielu deklarujących posługuje się mieszkanką śląskiego i polskiego, która za nic ma śląską gramatykę, wystarczy jej odrobina fleksji i garść leksyki. Takie rozdwojenie wykształciło się też w innych miejscach, gdzie długi czas żyły obok siebie dwa podobne języki, spośród których jeden był uprzywilejowany, np. w Ukrainie wywar z rosyjskiego i ukraińskiego nazwano surżykiem, a w Białorusi połączenie białoruskiego i rosyjskiego trasianką. W Ukrainie surżyk coraz bardziej ustępuje miejsca ukraińskiemu, ale na Śląsku najpewniej pozostaniemy z dwoma wariantami. Dalej będziemy mówić *po naszymu*, a nauka w szkole da młodym coś, czego nie mają starsze pokolenia: bierną znajomość śląszczyzny, umiejętność pisanie i czytania. Dziś bowiem większość Ślązaków to analfabeci wła-



ARKADIUSZ GOLA

Wejście do bramy podwórka przy ulicy Mariackiej w Katowicach. Październik 2022 r.

snego języka. Potrafimy mówić po śląsku, po mówieniu przyjdzie czas na pisanie, a po pisaniu – może na myślenie.

To walka z czasem. Śląski szybko się polonizuje, spada liczba osób, które wynoszą śląszczyznę z domu. Np. taki ja – nie poznałem godki w dzieciństwie, choć jestem raptem drugim pokoleniem w rodzinie, dla którego nie był to pierwszy język. Uczyłem się go już w dorosłości, na komercyjnym kursie. A gdy próbowałem potem po śląsku mówić, wielokrotnie ze mnie kpiono. Uczyłem się godki, żeby zostać zaakceptowanym przez swoje plemię, a to mnie odrzucało, na ogół wyżej ceniąc ciężki akcent niż bogatą leksykę. Gdy przy piwie sięgałem po idiomy z podręczników, zwracano mi uwagę, że nikt tak nie mówi. Czułem wtedy, że śląskiego nauczyłem się „za dobrze”.

To wielkie wyzwanie stojące przed Ślązakami – zanim państwo uzna śląski za język, musimy uznać go sami w sobie. Gdyby tymczasem zapytać, czy śląski jest językiem, nie posłów, a śląskie społeczeństwo, wynik mógłby już nie być taki pomyślny. Podejrzewam, że Ślązacy w większości są agnastykami swojego języka. A spośród tych, którzy w jego istnie-

nie wierzą, jest wielu wierzących, ale nie praktykujących.

Disco-hanysco

– Pisałeś kiedyś, że mówienie po polsku czy niemiecku to dla ciebie jak popis brzechomówstwa: wydobywają się dźwięki, ale rytm serca nie pokrywa się z brzmieniem. I dopiero mówiąc po śląsku twoje „doświadczenie spotyka się ze słowami i myślami”. Co zyskamy na uznaniu śląskiego? – pytam prof. Zbigniewa Kadłubka. To autor przełomowych, pisanych po śląsku „Listów z Rzymu”, przekładu „Prometeusza w okowach”, tłumaczący właśnie „Hamleta”, który po śląsku będzie wystawiony w Teatrze Śląskim.

– Idę ostatnio po Tauzenie, para przede mną rozmawia po śląsku. Zbliżam się, a oni milkną. Mijam ich i po chwili znów słyszę śląski. Chciałbym podejść i powiedzieć: „Jo tyż godom!”. Może gdy uznają śląski, ta para już nie zamilknie? – mówi.

– A dlaczego wówczas zamilkła?

– Wśród Ślązaków wciąż jest dużo lęku i wstydu. Ale nie jest tak, że gdy nas uznają, wstąpimy do nieba języka śląskiego. Chcemy być na równych prawach ze swoimi emocjami. W literackim polskim

wielu emocji nie wyrażę. Język otwiera serce. Język to kwestia estetyczna, ale też etyczna. My się w swoim języku stajemy lepszymi ludźmi – mówi Kadłubek. – Ania ochrzania mnie, że kupuję za dużo butelek, ale ja mam małą piekarnię, gdzie sprzedawczyni mówi po śląsku i ja tak lubię tam przychodzić i mówić: „Trzi żymły”.

– Bo „trzi” lepiej się wymawia niż „dwie”.

– Tak. Wysłaszczając się tracę część siebie.

Ja też czuję się lepszym człowiekiem po śląsku niż po polsku. Trudno to wyjaśnić. I wiem, że kluczowe jest wyzbycie się wstydu, nad czym sam pracuję. Jeśli śląski nie będzie dla ludzi atrakcyjny, możemy go pouznawać, ale co z tego, skoro nikt się go nie będzie chciał uczyć. Wielu Ślązaków wciąż widzi w śląszczyźnie to, co widzi wielu Polaków – gwarę nadającą się jedynie do prostych rozmów.

Ślązacy po wojnie musieli przyjąć barwy ochronne i w sferze publicznej zmieścić śląskość w etnograficznym gorsze Barbórki, wulgarnych żartów i disco-hanysco. A gdy przyszła wolność, wielu zapomniało, że tylko udawali. Uznanie godki przez parlament da coś jeszcze: prestiż.



→ O to, czy uznanie godki to też kwestia etyczna, pytam Marcina Musiała – był on autorem projektu ustawy, który Monika Rosa składała w Sejmie w latach 2018 i 2020.

– Śląski to pograniczne dzikie zwierzę, które zostało zranione przez czas, politykę, globalizację, i którego rany winno się opatrzyć z pobudek humanitarnych i etycznych – odpowiada. – Bliskie mi jest myślenie ekolingwistyczne, widzące języki jako część przyrody i ukazujące zagrożenie, które wywołuje unifikacja świata.

W wierszu „Ostatni sen Tevfika Esenca” opisał on ostatniego użytkownika języka ubyskiego: „Beztōz gibko siodōmy do roboty, dykcjōnorz bydzie arkōm, na kiero wleżōm słowa-zwirynta”. I dalej: „Kožōm gōdać, już niy po naszymu, już ino po mojemu, chcōm mie słuchać, po jakiyemu tak niyskoro”.

Rzeczywiście, XXI wiek to potop dla różnorodności. Arką dla Ślązaków jest ich język, a dla języka państwo jest kropłówką – na szczęście jeszcze nie defibrylatorem.

Następnie mniejszość

Gdy śląszczyzna zostanie uznana, Ślązacy stracą nimb dyskryminowanych buntowników. Romantyzm zmieni się w pozytywizm i na jaw wyjdzie, jak się przez te dekady przygotowywaliśmy.

Nie raz słyszałem, że może i lepiej, żeby prezydent godkę zawetował. Twierdzenia, że język to kęs, którym się zadławimy – że do września 2025 r., gdy śląski miałby wejść do szkół, nie zdążymy przygotować nauczycieli, podręczników i podstawy programowej. Jak zawetuje – mówi się – to popracujemy jeszcze trochę, za dwa lata zmieni się prezydent, uzna godkę, a my będziemy już gotowi.

– Ale śląski w szkołach nie będzie tylko kursem językowym. To będzie edukacja regionalna z nauką języka – Rosa tłumaczy, dlaczego uznać godkę należy niezwłocznie. – Rozmawiałam o tym z ministrami Sienkiewiczem i Nowacką. Zależy im na tym, żeby w całej Polsce zatroszczyć się o edukację regionalną. Śląsk to początek.

W poprzedniej dekadzie emocje wielu Ślązaków – kombinacja dumy i wstydu, poczucie przywidy, chęć obrony swojej kultury – wyrażały się w postulacie autonomii. Autonomia kilka lat temu trafiła do lamusa, dziś na sztandarach jest język,

ZE ZBIORÓW MALGORZATY KAMIŃSKIEJ-GOLI I ARKADIUSZA GOLI



Franciszek Kurzeja „Śląska rodzina”, rzeźba w węglu.

Rozgrzewka

Walka o jak najszybsze uznanie śląskiego to walka o jego przetrwanie, a dziś przetrwanie śląskiego to warunek przetrwania śląskiej odrębności. Śląskowi grozi „wielkopolonizacja” – na przestrzeni kilku pokoleń Śląsk może rozpuścić swoją wyjątkowość w polskości i podobnie jak Wielkopolska pozostać jedynie z nieco bluźnierczą pamięcią i lokalną gwarą. Dziś język to główna cecha odróżniająca Ślązaków od Polaków, a tożsamości, coż począć, opierają się na odróżnianiu się.

Alte uznanie śląszczyzny jest ważne również dla Polaków. Polska w latach 1939-1948 przeszła rewolucję demograficzną – z jednego z najbardziej wielonarodowościowych, wielokonfesyjnych i wielojęzycznych społeczeństw Europy stała się jednym z najbardziej jednolitych społeczeństw świata. Dyskusja o języku i mniejszości śląskiej to element trawienia tej rewolucji. Ślązacy swoim istnieniem zadają pytania fundamentalne dla przeżywania polskości, np. czy można być niepolskojęzycznym obywatelem Polski? Czy naród polski ma być wspólnotą etniczną, czy obywatelską? Są zębem, który choć boli, to nie sposób nie trykać go językiem. Ślązacy są wyzwaniem dla polskości, choć wyzwaniem łatwym – rozgrzewką przed integracją Ukraińców, a następnie kolejnych mniejszości.

– Gdyby ktoś powiedział ci 30 lat temu, że znajdziemy się w miejscu, w którym jako Ślązacy jesteśmy dziś, uwierzyłbyś? – pytam Kadłubka.

– To przerosło nasze, na pewno moje marzenia. Trwa śląska hossa, ale Ślązacy nie są ludźmi hossy. Mamy szpicę, fundament musimy dopiero położyć – mówi profesor. – Poza tym prawo się zmienia: może teraz dadzą nam język, a za cztery lata odbiorą? Pracujemy, a pracować potrafimy, ba, śpieszymy się nawet. Przed nami cudowna przygoda.

© ZBIGNIEW ROKITA

Autor jest reporterem i dramaturgiem, laureat nagrody Nike, autor książek, m.in. „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku” i „Odrzania. Podróż po Ziemiach Odzyskanych”. Stały współpracownik „TP”.

Autonomia trafiła do lamusa:

dzisiaj na sztandarach
jest język, a po języku
przyjdzie czas
na uznanie Ślązaków
za mniejszość etniczną.

W Polsce narodowość śląską
deklaruje blisko
600 tysięcy osób, a państwo
ignoruje ich istnienie.

a po języku przyjdzie czas na uznanie Ślązaków za mniejszość etniczną. W Polsce narodowość śląską deklaruje blisko 600 tysięcy osób, ale państwo ignoruje ich istnienie.

– A dlaczego nie upomnieć się od razu o uznanie i języka, i mniejszości?

– Język przepracowaliśmy. U większości społeczeństwa i polityków nie budzi on już kontrowersji – mówi Rosa.

– A mniejszość?

– Jest zupełnie nie przepracowana, nawet na Śląsku ludzie nie myślą, że możemy być uznani za mniejszość etniczną. Jasne, możemy romantycznie złożyć ustawę o mniejszości i romantycznie ją przegrać. Lepiej uznać język, zacząć działać, a później ośwoić ludzi z kolejnym tematem i za rok-dwa spróbować z mniejszością.

– To będzie kolejny cel?

– Tak.

TOMASZ

Stawiszyński: Nieuzgadnialne



KWESTIA DOPUSZCZALNOŚCI ABORCJI JEST jednym z tych klasycznych sporów, które – niezależnie od tego, ile się po jednej lub drugiej stronie przedstawi argumentów – pozostaną nierozstrzygnięte. Po prostu nie zgodzimy się, nie przekonamy nawzajem do swoich stanowisk, nie wypracujemy konsensusu, najwyżej kompromis.

Wiem oczywiście, co usłyszę zaraz w odpowiedzi od tych, dla których wszystko jest tu właśnie stuprocentowo rozstrzygnięte. Od zwolenników pełnej dopuszczalności usłyszę mianowicie, że aborcja to zabieg medyczny jak każdy inny, choćby wyrwanie zęba. A nikt przecież w ekstrakcji trzonowca nie dostrzega etycznych powikłań. Od zwolenników pełnego zakazu z kolei: że aborcja to zawsze i wszędzie morderstwo. A zygota pod każdym względem – moralnie, prawnie, biologicznie i metafizycznie – równa się rozwiniętej jednostce ludzkiej.

Cóż, nie zgadzam się ani z jednym, ani z drugim poglądem. Aborcja tym się różni od zwykłego zabiegu medycznego, że polega na zniwelowaniu możliwości pojawienia się na świecie konkretnego człowieka. Ktoś by zaistniał – powstało już bowiem osobne DNA, czyli wzór, wedle którego to istnienie mogłoby się dalej rozwijać w ściśle określonym kierunku – ale nie zaistnieje, ponieważ zostało to intencjonalnie udaremnione. Zarazem aborcja nie jest tym samym, co zabicie człowieka już, by tak rzec, aktualnego, a nie znajdującego się dopiero w stanie potencjalności. W moralności, nauce, obyczajowości, prawie, a także języku – słowem tam, gdzie badamy oraz decydujemy, jaki jest świat i co w związku z tym powinniśmy czynić – występują osobne kategorie i pojęcia do opisywania bytów w różnych fazach i stadiach rozwoju. Inaczej więc nazywamy i traktujemy jajko, a inaczej kure, inaczej nasiono, a inaczej wyrosłe zeń drzewo, inaczej nitkę kwasu dezoksyrybonukleinowego, a inaczej zbudowane wedle informacji zawartej w tej nitce ciało. Są to odmienne realności, choć jest pomiędzy nimi kontinuum, odmienne są także słowa, których używamy do ich oznaczania, oraz normy postępowania, które wobec nich przyjmujemy.

Ten spór jest natomiast nierozstrzygalny, bo jest w istocie religijny. A sporów religijnych rozstrzygać się nie da. Brak w nich obiektywnych kryteriów, czyli takich, których zastosowanie gwarantuje każdemu osiągnięcie tych samych wyników. Wbrew zatem temu, jak często opisuje się strukturę tego sporu, nie jest to ani konflikt „obrońców życia” z „mordercami”, ani uprzywilejowanych z nieuprzywilejowanymi, ani starych z mło-

dymi, ani też mężczyzn z kobietami. Nie działa tutaj żaden popularny format wojen tożsamościowych, które zdecydowanie zbyt często służą nam dzisiaj za poręczne narzędzia (nie)rozumienia zjawisk społecznych i kulturowych. Kto zechce zerknąć choćby w badania opinii publicznej w tej sprawie – przeprowadzane w Polsce od lat przez najrozmaitsze ośrodki – ten rychło się o tym przekona.

Nie jest więc wcale tak, że liberalizacji prawa aborcyjnego w Polsce domagają się w większości kobiety, a przeciwni są temu w większości mężczyźni. Nie jest też tak, że starzy chcą rygoryzmu, a młodzi odwrotnie. Nie działa to również w przypadku biednych i bogatych, wykształconych i niewykształconych. Jedyną realną osią wyznaczającą stosunek do legalności aborcji w Polsce są przekonania i praktyki religijne. Tutaj tkwi clou, a nie w płci, wieku albo klasie społecznej. Tak się skądinąd rzeczy mają od wielu lat, tyle że niespecjalnie skłonni jesteśmy sami przed sobą to przyznać. Wolimy obdarzać się niewybrednymi epitetami albo też stosować we wzajemnych perswazjach takie teoretyczne ramy, które wprawdzie ogóle nie pasują do realiów, ale za to pozwalają łatwo zdeprecjonować oponenta.

Realia zaś wyglądają, moim zdaniem, następująco. Pomiedzy przekonaniem, że dawcą i dysponentem każdego ludzkiego życia od zapłodnienia do śmierci jest kochający Stwórca wszechświata – i że powstanie nowego DNA równoznaczne jest z powstaniem nieśmiertelnej duszy – a przekonaniem, że jesteśmy tu sami, wydani na pastwę biologii, przypadku i żywiołów, nie ma i nie może być zgody. Podobnie głębokiego, fundamentalnego przeświadczenia, że wszystko ma sens i wszystko jest po coś – a zwłaszcza każde ludzkie życie – nie da się uspołnić z przeświadczeniem, że sens i cel musimy nadawać życiu sami, ponieważ nikt tego za nas nie zrobił i nigdy nie zrobi. Nie sposób również połączyć wiary, że nie ma takich okoliczności, które by usprawiedliwiały zapobieganie ludzkiemu istnieniu, bo poczyną się ono bez wyjątku z woli dobrego Boga (ergo jest dobre), z poglądem, że bywają sytuacje, w których nieistnienie jest od istnienia znacząco lepsze.

Powtórzę – nie da się tego uzgodnić, bo nie da się tego ustalić. Da się uzgodnić wyłącznie to, na podstawie jakich ustaleń będziemy modelować przestrzeń społeczną, w której żyją razem ludzie o częściowo nieuzgadnialnych przekonaniach. Czy będziemy ją modelować, opierając się właśnie na tych nieuzgadnialnych przekonaniach – a zatem, ostatecznie, siłą, jest to bowiem w takich okolicznościach jedyna metoda argumentacji? Czy jednak opierając się na przekonaniach wypracowanych wedle reguł racjonalności i w kontakcie z empirią, co daje gwarancję przynajmniej fragmentarycznego konsensusu? Na to pytanie – jak sądzę – odpowiedź jest jednoznaczna. Przynajmniej w świeckim państwie o ustroju demokratycznym, w trzeciej dekadzie XXI wieku.

Ale oczywiście zaraz znajdą się tacy, którzy się ze mną wcale nie zechcą zgodzić. Przy czym sformułowanie „nie zechcą” jest tutaj, niestety, kluczowe. ©

WIARA

RÓWNANIE OSTATECZNE

KS. MICHAŁ HELLER, KOSMOLOG:

Chciałem kiedyś napisać hymn, w którym Boga by błogosławiły nie wody podniebne i ptaki niebieskie, tylko gromady galaktyk, promieniowanie, pierwotna plazma.

ŁUKASZ KWIATEK: Czym teraz zajmowałby się Ksiądz Profesor, gdybyśmy się nie wprostili?

KS. MICHAŁ HELLER: Właśnie wróciłem z kościoła i skończyłem śniadanie, teraz czytałbym przez 20 minut lekką książkę. Potem zabrałbym się za ćwiczenia z matematyki – taka gimnastyka, żeby zapobiegać alzheimerowi. Robię zadania z klasycznej mechaniki. Takie proste: nie trzeba dużo wiedzieć o fizyce, tylko trochę pomyśleć. Biorę je z książki, mogę wam pokazać, ale mi wstyd, bo są w niej rozwiązania podane.

TOMASZ MILLER: Ja chętnie zerknę. O, ale to nie wygląda prosto. Równania różniczkowe

drugiego stopnia. „Ciało porusza się po krzywej, której długość opisana jest funkcją czasu $\delta(t) = 5te^{2t}$. Wektor przyspieszenia tworzy ze styczną do toru stały kąt o wartości $\alpha = \pi / 3$. Znaleźć: a) wartość prędkości; b) przyspieszenie styczne i normalne; c) wartość przyspieszenia; d) promień krzywizny toru jako funkcję czasu”.

Siedzę nad tym z godzinę, tyle zajmuje jedno zadanie. Jak się uda szybko, to dobrze. A jeśli trafię na równanie, z którego policzeniem mam kłopot, to wychodzi dłużej, bo trudno się oderwać. Jednak staram się robić przerwę, dla dyscypliny.

ŁK: Brzmi to wyczerpująco.

Ale jest frajda, choć umiarkowana. Jeśli mam jakiś bieżący artykuł matematyczny do przygotowania, to już nie robię zadań rachunkowych, tylko zabieram się za to, co potrzeba do tej publikacji. To daje większą frajdę, bo wtedy w matematyce więcej się dzieje.

TM: W swoich książkach wspomina Ksiądz Profesor czasem Boecjusza, który siedział w więzieniu i pisał traktaty o pocieszeniu, jakie daje mu filozofia. Matematyka też może dawać takie pocieszenie, zwłaszcza kiedy w świecie tyle smutnego się dzieje?



GRAŻYNA MAKARA

Nigdy mi to skojarzenie do głowy nie przyszło. Może dlatego, że nie siedzę w więzieniu. Mnie matematyka raczej daje przyjemność. To prawda, że dość masochistyczną, bo ona też wyczerpuje. Ale z drugiej strony świat matematyki jest piękny.

Nawet jak się pracuje nad zwyczajnym zagadnieniem z kinematyki, to już samo wynikanie bardzo cieszy – że ono nie jest dowolne. Rozwiązanie jest właśnie takie, jakie być powinno. To daje pewien oddech po tym świecie zagmatwanym, czasem głupim, czasem męczącym.

Matematyka ma w sobie coś z przejrzystości kryształu. Przy czym kryształ jest czymś pięknym dla oka, a w niej te wszystkie szlify i rzeźbienia mają po-

stać wynikań. W kryształach można śledzić, jak różne romby czy trójkąty zachodzą na siebie i załamują światło. Ze strukturą matematyki jest podobnie. Co więcej, matematyka to kryształ, który żyje. Jej struktury są dynamiczne, wchodzą ze sobą w kontakt. Jest w niej zatem także coś ze sztuki.

TM: A czy nie jest przytłaczająca? Matematyka ma tak wiele działów, a w niej tyle różnych obiektów, które ciągle odkrywamy – i pewnie nigdy nie poznamy wszystkich.

Takie uczucie często mi towarzyszyło. To uczucie nieskończoności. Ono jest przytłaczające i uczy pokory. Czasem, gdy o tym myślałem, to musiałem sobie

zakazać dalszego myślenia, bo już za bardzo przytłaczało.

TM: Można się poczuć jak nad przepaścią – człowiek patrzy w te wszystkie abstrakcyjne przestrzenie, a one patrzą w niego.

I trzeba uważać, bo można wpaść w zapętlenie. Matematyka jest niebezpieczna. Pewnie dlatego wśród matematyków jest sporo dziwaków. Za bardzo żyją światem matematycznym i nie widzą tego świata naokoło.

ŁK: Ksiądz Profesor przeżył kiedyś takie doświadczenie: zapomniał o świecie, pochłonięty przez problem matematyczny czy fizyczny? ➔

→ Nie potrafię odpowiedzieć uczciwie, bo nie pamiętam. Być może przeżyłem, ale mam, jak każdy, wbudowane mechanizmy obronne. Najważniejszym jest zmęczenie. Jak ono przychodzi, to trzeba zrobić przerwę. Dochodzą też obowiązki – u mnie kapłańskie i rodzinne. A rodzinę miałem przecież dużą. Teraz już mieszkam sam, ale wcześniej żyli tu także rodzice, Tola – moja przyrodnia siostra, która była niepełnosprawna, a z Krakowa często przyjeżdżała druga siostra, Baśka, ze swoimi dziećmi.

ŁK: A jaką książkę czytałby Ksiądz Profesor rano, przed zajęciem się matematyką?

„Mity, modele, paradygmaty” Iana Barboura. Poprzedni raz czytałem ją 30 lat temu, ale mam powód, by do niej wrócić. Po napisaniu ostatniej książki – tej o Koperniku, sprowokowanej rocznicą – chyba pierwszy raz w życiu nie miałem w planie następnej. Zabrakło mi pomysłów, a może mi się nawet już nie chciało. Ale jednak mnie to gnębiło, że nie mam pomysłu. Długo z tym chodziłem i parę dni temu mnie olśniło.

Chciałem, żeby to była książka pożyteczna, ale jednak taka, która nie wymaga za dużo studiowania źródeł, bo na to już nie mam czasu – zostało mi może parę lat, i to jak dobrze pójdzie. Uznałem więc, że napiszę o problemach nauka–wiara, wspominając także ludzi, którzy się tym problemem zajmowali i których znałem.

Pierwszy rozdział będzie poświęcony Barbourowi, bo on w latach 60. i 70. zrobił z relacji nauki i religii dyscyplinę akademicką. To był klasyczny okres tego zagadnienia. Wtedy odbywały się sympozja watykańskie, w tamtejszym obserwatorium zaczął działać o. George Coyne. Ten okres trwał mniej więcej do końca stulecia. Gdy Ernan MacMullin, ważny filozof zajmujący się tym tematem, udzielił pod koniec życia wywiadu, to powiedział, że problem nauki i religii został zamknięty. Że wszystkie ważne tematy zostały w nim omówione i gdyby zgłosił się do niego doktorant, który chciałby pisać pracę o nauce i religii, to nie miałby już mu czego zaproponować.

TM: Ksiądz Profesor się z tym zgadza?

Myślę, że nigdy nie będzie tak, że problem relacji nauka–religia jest wyczer-

pany, każde pokolenie musi się z nim od nowa zmierzyć. Poza tym pojawiają się nowe obszary – dopiero niedawno wyszło na jaw, jak ważnym obszarem dla tych zagadnień będą neuronauka czy sztuczna inteligencja. Temat nie jest więc zamknięty, ale pewien okres tak. I pewien styl uprawiania tej refleksji.

W latach 50. i 60. stosunek do religii kształtował się pod wpływem pozytywnego wiedeńskiego, dominowało przekonanie, że religia nie ma sensu, bo jej twierdzeń nie da się sprawdzić eksperymentalnie. U wierzących naukowców i filozofów pojawiła się więc potrzeba apologetyki religii. Dla mnie to też wtedy było ważne, bo sam chciałem sobie pewne rzeczy poukładać.

ŁK: Gdy Wy, kosmologzy – o Tomku też mówię, bo przecież należy do współpracowników Księdza Profesora – tworzyacie swoje matematyczne modele wszechświata, to rozwiązujecie pewne równania. Ciekawi mnie, skąd wiecie, że wszechświat powinien się podporządkować tym równaniom.

Gdy uprawiam kosmologię, to mnie nie interesuje, czy wszechświat się do tego stosuje, tylko co wynika z rozważanego modelu. To czysta matematyka. A o tym, jak faktycznie zachowywał się wszechświat, zdecydowały warunki początkowe, czyli specyfika Wielkiego Wybuchu. Ją też się już zresztą matematycznie bada.

TM: Ja może zadam to samo pytanie słowami noblisty Eugene’a Wignera, który napisał w latach 60. słynny esej o „niepojętej skuteczności matematyki w naukach przyrodniczych”. Ta skuteczność matematyki jest aż niepojęta? Wigner zakończył swój artykuł słowami, że to „dar, którego nie rozumiemy i na który nie zasługujemy”.

Zgadzam się z Wignerem, to zresztą nie tylko jego opinia. Einstein mówił w podobnym tonie, że zrozumiałość świata jest jego najbardziej niezrozumiałą cechą. Jak wiecie, dla mnie to pytanie ociera się o teologię.

ŁK: To znaczy, że nauka, a szczególnie matematyka, może być drogą do transcendencji. Czy z tego powodu dla Księdza Profesora uprawianie

matematyki jest rodzajem modlitwy? Albo choć ją przypomina?

Myślę, że bywa modlitwą. Zwłaszcza jak to sobie uświadamiam. Jak sobie nie uświadamiam, to pewnie też może nią być – skoro wszystko może być modlitwą. Hugo Steinhaus pisał – w innym kontekście, ale można go tu przywołać – że „między duchem a materią pośredniczy matematyka”.

TM: Przypomina mi się wiersz Księdza Profesora, który dotyczył poszukiwanej przez fizyków „teorii wszystkiego”. Była tam prośba do Boga, żeby dał nam modlić się do siebie tym równaniem „ostatecznym”. Czyli pozwolił nam zrozumieć świat, ale też dzięki temu do siebie zbliżyć.

Skoro poruszacie takie modlitewno-intymne sprawy, to przyznam, że miałem ochotę napisać jeszcze jeden wiersz o modlitwie. W brewiarzu jest pewien hymn, który powtarza się prawie co niedzielę, zaczerpnięty z Księgi Daniela. Strasznie monotony – to powtarzające się wyliczenia: błogosławcie Pana gwiazdy, które są na niebie. Wody, które są pod niebem. Wody, które są nad niebem. Błogosławcie Pana ptaki niebieskie, ryby. Wszystko wylicza mniej więcej wedle tej chronologii z Księgi Rodzaju, zgodnie z którą Bóg miał stworzyć świat.

Kiedys odmawianie tego hymnu mnie męczyło, bo wydawało mi się, że to taka banalna wyliczanka. Wolałbym, żeby tam były galaktyki, gromady galaktyk, żeby było promieniowanie, jakaś pierwotna plazma. Żeby to błogosławiło Pana. Taki hymn mógłby być niesamowity. Wszystkie wszechświaty, błogosławcie Pana! Przyszło mi do głowy, żeby właśnie coś takiego napisać.

Ale z czasem polubiłem oryginalną wersję, bo uświadomiłem sobie, że to jest starożytny obraz świata. Zapis tego, jak ludzie myśleli o wszystkim, co ich otacza. To prosty obraz, ale przecież pod nim i tak kryje się nieskończoność wszechświata. Modlitwie nie ujmuję to, że ten starożytny wszechświat był mniejszy i prostszy niż nasz.

TM: Nasz obraz świata zmieniał się często. Nawet w życiu Księdza Profesora nastąpiła więcej niż jedna rewolucja w kosmologii.



ANNA KACZMARZ / POLSKA PRESS / EAST NEWS

KS. PROF. MICHAŁ HELLER (ur. 1936 r.) jest kosmologiem i filozofem. W dzieciństwie wraz z rodziną został wysiedlony na Syberię. Opublikował przeszło tysiąc artykułów naukowych, popularnonaukowych i esejów, a także ponad 80 książek. Wyróżniony wieloma nagrodami, m.in. Nagrodą Templetona w 2008 r., którą przeznaczył na ufundowanie w Krakowie Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych. Wieloletni autor „TP”.

Na zdjęciu podczas wykładu w Auditorium Maximum UJ na otwarcie Światowego Kongresu Kopernikańskiego. Kraków, maj 2023 r.

Na studiach nauczyliśmy się z podręczników do astronomii, w których pojawiały się tylko najbliższe ciała niebieskie. Nawet Mars był tylko punkcikiem na niebie, trochę czerwienizym niż inne. A dzisiaj? Znamy już całą geologię Marsa. Mamy obrazy bardzo dalekich galaktyk, a na początku XX wieku myślano, że wszechświat kończy się na tym, co znamy jako Drogę Mleczną. Astronomia się więc ogromnie zmieniła, nikt już nie jest w stanie sam śledzić wszystkich spływających danych i doniesień.

Kosmologia zmieniła się nawet bardziej. O teorii Wielkiego Wybuchu w połowie XX wieku myślano tak, jak my dzisiaj myślimy o wieloświecie. Paru fanatyków się nią zajmowało, reszta uważała, że to bez sensu, bo brakuje pomiarów i nie można niczego zweryfikować. Mój profesor odradzał mi nawet zajmowanie się kosmologią – mówił, że są tylko trzy niewielkie efekty empiryczne potwierdzające ogólną teorię względności Einsteina. A żeby te trzy efekty opanować, to trzeba poznać ogromną matematykę, która do czego innego jest niepotrzebna, tylko do tych trzech efektów.

Kończyłem studia magisterskie i zaczynałem myśleć o doktoracie około 1965 r., kiedy odkryto kosmiczne promieniowanie tła, które niesie sygnał o wczesnej historii wszechświata. Wtedy kosmologia zaczęła się na dobre. Obserwowałem na żywo, jak ona staje się porządną nauką empiryczną.

ŁK: A co myślano o historii wszechświata, zanim przebiła się teoria Wielkiego Wybuchu?

Wiadomo było, że wszechświat się rozszerza, bo to już ustalił Edwin Hubble na początku XX wieku, ale obowiązywała tzw. teoria stanu stacjonarnego. Kosmologowie uważali, że nie zmienia się gęstość wszechświata, bo ciągle powstają w nim nowe cząstki. Taki wszechświat nie miał więc początku.

ŁK: Zaraz, te cząstki brały się znikąd? I kosmologom to nie przeszkadzało?

Twierdzono, że znikąd i to faktycznie przeszkadzało, ale wszyscy uważali, że stoimy przed dylematem. Albo uznamy Wielki Wybuch, który też wziął się znikąd, albo zgodzimy się, jak mawiał Fred Hoyle, zwolennik wszechświata stacjonarnego, na wiele „małych wybuchów”, które zachodzą bez przerwy – czyli powstawanie nowych cząstek. Jednym się podobało jedno rozwiązanie, innym – drugie.

Sam się tym trochę zajmowałem. Moja pierwsza praca naukowa ukazała się chyba w 1966 r., po zjeździe w Szczyrku. Organizowała go bodaj Politechnika Gliwicka, było wielu inżynierów. Mnie zaprosił mój kolega szkolny, Zygmunt Kolenda, który pracował już wtedy w AGH, a od dawna jest profesorem. Wybraliśmy temat śmierci cieplnej wszechświata, bo to zagadnienie z termodynamiki, czyli czegoś znanego inżynierom. Scenariusz

śmierci cieplnej wszechświata głosi, że będzie się on rozszerzał tak długo, aż osiągnie stan maksymalnej entropii, w którym zamiera wszelka aktywność. Kluczową kwestią w tych rozważaniach było to, czy wszechświat jest układem zamkniętym, czy nie.

ŁK: Chodzi o taki układ, który nie wymienia energii z otoczeniem? W przypadku wszechświata chyba trudno w ogóle mówić o jakimś „otoczeniu”.

To prawda, były o to spory, czy można, czy nie. Myśmy rozważali ten problem w kontekście dwóch modeli: wszechświata stacjonarnego i Wielkiego Wybuchu. Mówiliśmy, że w pierwszym nie ma śmierci cieplnej, ale w drugim może się pojawić, jeśli gęstość materii będzie miała pewną wartość. Referat się spodobał, opublikowaliśmy go później w rocznikach filozoficznych KUL-u. Zygmunt miał po nim wielkie problemy, mało z pracy nie wyleciał, bo wydał coś na takiej reakcyjnej uczelni.

A myśmy nawet nie mieli racji w tym artykule. Wtedy nie wiedziałem, choć powinienem był wiedzieć, że problem śmierci cieplnej był już dokładniej zbadał Richard Tolman w latach 30. napisał gruby podręcznik do termodynamiki kosmologicznej. Zauważył, że jeśli weźmiemy pod uwagę zjawisko tarcia, to scenariusze ewolucji wszechświata ulegają drastycznym zmianom.



→ Z 10 lat po tym zjeździe wróciliśmy w naszej grupie kosmologicznej do tego problemu i zauważyliśmy, że można rozważyć jeszcze drugi rodzaj tarcia, który może pojawić się przy rozszerzaniu wszechświata. Inżynierowie wiedzą o tym, bo coś takiego pojawia się przy wybuchach. I gdyby odpowiednio dobrać współczynnik tego drugiego tarcia, to otrzyma się wszechświat stacjonarny, jak z modelu Hoyle'a – bo na skutek tego tarcia drugiego typu nastąpi produkcja cząstek. Pokazaliśmy więc, że cząstki we wszechświecie nie muszą się brać znikąd, więc model Hoyle'a był źle interpretowany. Te prace jednak przeszły bez echa.

ŁK: Bardziej znany jest inny model kosmologiczny, nad którym Ksiądz Profesor pracował. Ten opisany w książce „Początek jest wszędzie”.

Lubię ten model. Pewnie dlatego, że jest nasz. Ale estetycznie też mi się podoba. Choć nie upieram się, że wszechświat musi być taki, jaki wylania się z tego modelu.

Wynika z niego, że w najgłębszej warstwie, kwantowo-grawitacyjnej, nie ma pojęcia czasu. Wówczas rozmywa się pytanie o początek świata. Ten początek jest, jak w tytule książki, wszędzie. To nie było bardzo oryginalne, bo wielu ludzi twierdzi, że w najgłębszej fundamentalnej warstwie nie ma czasu. Tylko myśmy z tego wyciągnęli pewne wnioski dotyczące Wielkiego Wybuchu.

ŁK: Ten model dalej jest rozwijany?

Nie, ale mam czasem pokusę, by do niego wrócić. Nasza grupa matematyczna trochę ewoluowała w naturalny

sposób. Widzę kilka możliwości, jak można by go rozbudować. Przede wszystkim o kwanty. Ale pracujemy teraz nad innym pomysłem, dotyczącym supersymetrii.

TM: Te dwa modele są zresztą podobne.

To prawda. Mamy taki cień idei, którą sprawdzamy. Opowiem pokrótce. W fizyce są dwa rodzaje cząstek: fermiony, czyli cząstki budujące materię, i bozony – cząstki przenoszące oddziaływania. Fizycy poszukiwali symetrii, która przeprowadzała bozony w fermiony. Jeszcze w zeszłym wieku znaleziono taką symetrię – tzw. supersymetrię. Pamiętam, że jak to wymyślono, to była straszna sensacja. Byłem na szkole fizycznej w Erice na Sycylii. Tam co drugi referat był o supersymetrii. W tej teorii połączono dwa rodzaje symetrii, zupełnie różnych, w jedną strukturę matematyczną.

Myśmy teraz opracowali pewien uproszczony model wszechświata z tą supersymetrią. Chcieliśmy zobaczyć, jak w tym modelu wygląda kwestia osobliwości początkowej. Jak się wydaje, w modelu tym niektóre pola mogą „przeżyć” zetknięcie z osobliwością.

ŁK: Osobliwość początkowa to Wielki Wybuch. Jeśli coś „przechodzi” przez taką osobliwość, to trafia do poprzedniej ery istnienia wszechświata? O czymś takim mówią np. Roger Penrose i Krzysztof Meissner.

Mnie się wydawało, że te modele będą dość podobne, ale rozmawiałem z Krzysiem i chyba wyjdą większe różnice.

Penrose zawsze był moim naukowym idolem i lubię jego koncepcję, choć w niej jest trochę sztucznych założeń. Np. że wszechświat w pobliżu osobliwości musi być bezmasowy, dzięki czemu wszystkie cząstki muszą poruszać się z prędkością światła, a to jest dyskusyjna sprawa. Ale model jest matematycznie bardzo elegancki. Penrose uznał, że krzywe, wzdłuż których porusza się światło, są wyróżnione w czasoprzestrzeni. Stanowią taką pajęczynę, na której nałożona jest reszta struktur. Ten pomysł całe życie konsekwentnie rozwijał. Widzi w nim różne braki, ale trochę macha na nie rękami. Nie ma w tym jednak nic złego. Wydaje mi się jasne, że wszechświat jest daleko bardziej skomplikowany niż nasze obecne modele. A wiele z tego, czym się dzisiaj zajmujemy, czeka ten sam los, jaki spotkał teorie wirów eteru, którą fizycy rozwijali w XIX wieku. Z fizyki zniknęła, ale powstała z niej matematyczna teoria węzłów.

TM: Co Ksiądz Profesor uważa za swój najważniejszy wkład do nauki? Jeszcze go nie osiągnąłem.

TM: A z dotychczasowych dokonań? I w jakiej dziedzinie?

To chyba w filozofii nauki. Takie kwestie jak hipoteza matematyczności świata – moja odpowiedź na pytanie, dlaczego świat daje się badać – może zostaną podjęte przez następców. Spopularyzowałem też pewne podejście do nauki. Nie jest to dla mnie osobiście bardzo drogie, ale może być cenne, bo wydaje mi się, że coś z tego zostanie. Nie przywiązuję za to wielkiej wagi do moich matematycznych „osiągnięć”. Patrząc wstecz, one raczej odgrywały rolę służebną. Żeby móc się zajmować filozofią nauki, trzeba tej nauki trochę samemu doświadczyć.

TM: Mężczy Księdza Profesora to, że nie wiadomo, który model kosmologiczny jest poprawny?

Nie, ja lubię nie wiedzieć. Jeśli nie wiemy, to istnieje więcej możliwości – i to jest ciekawe. Dopóki nie mamy narzędzia, żeby coś rozstrzygnąć, to lepiej nie wiedzieć.

©© Rozmawiali TOMASZ MILLER

i ŁUKASZ KWIATEK

Msze św. w intencji

ś.†P.

ks. Mieszka Turka

katechety, duszpasterza krakowskiej inteligencji

związanego z „Tygodnikiem Powszechnym”,

zostaną odprawione w kościele św. Anny w Krakowie

w stulecie urodzin: 23 marca o godz. 19.30

w 75. rocznicę święceń kapłańskich: 10 kwietnia o godz. 19.30

O CZYM ZAWIADAMIAJĄ
PRZYJACIELE

POŻEGNANIE

Rodzić po katolicku

PAULINA MODEL

Kultura okołoporodowa młodych katoliczek pokazuje, jakich praktyk na styku duchowości i cielesności kobiety nie znajdują w Kościele. To dlatego wyszarpują zębom czasu stare rytuały i stwarzają nowe.

LUCJĘ CZEKAŁ PIERWSZY PORÓD. CHCIAŁA się do niego przygotować jak najlepiej, kompleksowo: – Skoro chodzę do ginekologa, fizjoterapeuty, dbam o ciało, to chcę zadbać także o duchową stronę ciąży i narodzin małego człowieka – opowiada.

– Poród to wydarzenie graniczne, między życiem a śmiercią. Byłam do spowiedzi przed. Bałam się – dodaje Jagoda.

– W obu ciążach lekarze bali się komplikacji, choć badania tego nie potwierdzały. Bez wiary, że Bóg chce, bym urodziła właśnie tak, naturalnie, nie dałabym rady – mówi Mira.

– Wyniki badań sugerują, że włączenie praktyk religijnych w proces przygotowania do porodu skutkuje skróceniem czasu jego trwania i zmniejszeniem odczuwanego w trakcie bólu u pierworódek – komentuje Alicja Neumann-Karpińska, badaczka zajmująca się transformującym potencjałem doświadczeń rodzicielskich.

Spróbujmy przejść z bohaterkami tego tekstu drogę w macierzyństwo.

Rekolekcje

Od koleżanek Łucja usłyszała o rekolekcjach „Poród może być piękny”, organizowanych przez Fundację Filome, prowadzoną przez autorkę książki „Cesarzowa rodzi w domu” Annę Powideł. Postanowiła spróbować. Zanim się zaczęły, dostała maila przygotowującego organizację i duchowo.

„Droga Niewiasto (...). Rekolekcje są spotkaniem wyjątkowo kobiecym – za-



Położna Volha Kuśmierska z córką. Białoruś 2021 r.

leży nam na utrzymaniu świątecznej atmosfery. (...) Dlatego proszę o zabranie na rekolekcje kobiecych strojów – niech nasze ubrania kwitną sukienkami, spódnicami, kwiatami, ozdobami – kto jak czuje. Pamiętajmy, aby zachować jednocześnie skromność i prostotę (bezwzględnie zakryte ramiona, kolana i dekolty)”.

Zapaliło jej to żółtą lampkę, bo kwiatki nie definiują dla niej kobiecości, a sukienki za kolano skróciły się podczas ciąży do niedopuszczalnej długości. Niemniej: pojechała. Wróciła z mieszanymi uczuciami: – Były wartościowe prelekcje, czas modlitwy, krąg kobiet. Wszystko prowadziły matki dla matek – fantastycznie. Skręcało mnie jednak, gdy słyszałam teksty w stylu, że robienie USG szkodzi dziecku, a poza tym jest wyrazem naszej niewiary w doskonały plan Stwórcy dla nas i naszego maleństwa. *Vibe* porodu domowego był mocny, ale bez presji. Słyszałam wiele pięknych historii rodzenia we własnym zaciszu, gdzie jesteś królową.

Szkoły

Wanda i Adam Ekielscy od ponad 30 lat prowadzą w Łomiankach Dom Narodzin Świętej Rodziny. Najpierw sami zdecydowali się na poród rodzinny (w PRL kobiety rodziły bez osób towarzyszących, nierzadko na salach wieloosobowych) i to doświadczenie ukierunkowało ich późniejsze życie. „Święta Rodzina – Józef, Maryja i mały Jezus przed urodzeniem, nie mieli gdzie podziąć się w czasie, gdy »nadszedł dla Maryi czas rozwiązania«.

Oni są gospodarzami Domu Narodzin i zapraszają tych, którzy wybiorą to miejsce do porodu naturalnego” – piszą.

Ekielscy organizują też szkołę rodzenia. Uczyli się od prof. Włodzimierza Fijałkowskiego – lekarza, członka Papieskiej Akademii „Pro Vita”, pioniera bardziej humanistycznego położnictwa, po tym jak rodzące wyprowadzono z domów do szpitali (wynalazek porodu w sterylnym środowisku, na plecach, to stosunkowo późna rzecz). Motywacją do zapewnienia kobietom godnych warunków były dla Fijałkowskiego wartości chrześcijańskie. Stanowił wzór dla Ekielskich, od nich zaś filozofii położnictwa uczyła się m.in. Weronika Kosińska, która prowadzi Boską Szkołę Rodzenia. Zapraszając, pisze: „Jesteś stworzona, aby rodzić! Dwie komórki i Iskra Życia, aby mógł powstać nowy człowiek, niezwykła tajemnica, Boży dar! W Twoim ciele rozwija się życie, jesteś więc Sanktuarium Życia. (...) oprócz merytorycznych treści i najnowszej wiedzy przekazanej w przystępny sposób poruszam duchowy aspekt przygotowania do porodu, bo Ten, który życie daje, chętnie pomaga w trudach rodzenia. Zaproszenie Boga do porodu to ogromne wsparcie Nieba!”.

Kurs online „Wiara czyni poród” oferuje z kolei Joanna Kurek. „To przygotowanie kobiety do zaufania sobie, swojemu ciału i swojemu Bogu, że dobrze wymyślił proces rodzenia. Poród jest okazją do doświadczenia Bożej siły w Tobie (!) jako kobiety rodzącej” – pisze.

Ceremonie

⇒ Sposobów na znalezienie wsparcia jest więcej. „Ceremonia błogosławieństwa przed porodem, ceremonia przywitania dziecka w rodzinie, chrzciny, wywód, Święto Narodzin Mamy, otulanie poporodowe – to dostępne dzisiaj okółporodowe rytuały” – wylicza Volha Kuśmierska w książce „Sztuka położu”. Jest położną i doułą, która skupia się na opiece poporodowej. „Generalnie po porodzie mama przestaje budzić zainteresowanie i cała uwaga otoczenia skupiona jest na maluszk” – tłumaczy.

Propagowane przez nią *mother blessing* (ceremonia błogosławieństwa matki) to, najprościej mówiąc, „ochrzczony” *baby shower* – świecki rytuał przejścia zaanektowany przez katolicki. Poza zmianą nazwy chodzi właśnie o zmianę akcentów: z dziecka na matkę. To ona ma być w centrum. Na takie spotkanie przedporodowe mogą składać się różne elementy: zawsze jest poczęstunek, często krąg kobiet i wspólne tworzenie czegoś dla kobiety w stanie błogosławionym (ważne: nie „przyszłej mamy” – ona już nią jest), przygotowywanie herbatki porodowej (czyli wrzucanie do wielkiej misy różnych ziół przez uczestniczki), prezenty. Wszystko wieńczy modlitwa za mającą urodzić. Nierzadko dostaje ona świecę, którą zapali, gdy zacznie się akcja. Jej przyjaciółki otrzymują mniejsze wersje, które również zapalą, łącząc się w modlitwie.

Zawodowo organizacją *mother blessing* zajmuje się Jagoda Haberka w swoim projekcie *Femme Passage*. Poza rytuałem dla mam oferuje też np. animację spotkania pierwszoksiężycowego (przy okazji pierwszej menstruacji) czy kręgu opowieści porodowych.

Porody

Niezależnie od tego, gdzie się rodzi, można do tego momentu włączać religijne komponenty. I niekoniecznie mowa tylko o modlitwie.

Katolickie mamy sięgają np. po karty afirmacji porodowych stworzone przez wspomnianą już Vollę Kuśmierską. Na pastelowych prostokątach z jednej strony znajdują tekst z Pisma Świętego, a z drugiej zdanie, które ma wspierać w porodzie. I tak: po stronie biblijnej przeczytają np. słowa: „Czy ja, otwierając łono, nie pozwolę urodzić – mówi Pan” (Iz 66, 9) lub „Linia bioder jest jak kolia, jak dzieło rąk

mistrza” (Pnp 7, 2). Z kolei na stronach z afirmacjami znajdują rady: „Potrzebujesz poczucia bezpieczeństwa. Idź tam, gdzie pragniesz, rozluźnij się w Duchu Świętym” oraz „Ofiaruj kolejny skurcz w wybranej intencji. Niech ten trud nie będzie daremny”.

– Przy ostatnim porodzie korzystałam z kart Volhy Kuśmierskiej i ta z ofiarowywaniem skurczy w danej intencji bardzo mi pomogła – wspomina Mira.

Beata Meinguer-Jedlińska, hipnodoula oferująca kobietom zestaw technik relaksacyjnych umożliwiających łatwiejsze przejście przez poród, relacjonuje z kolei: – Spotkałam kobiety, które postrzegając hipnoporód jako zagrożenie duchowe, nie zdecydowały się na użycie tych technik. Ale poznałam też osoby głęboko wierzące, które tworzyły afirmacje kierowane do Maryi. Ich medytacja była równocześnie modlitwą, a po porodzie doceniały boską rękę w tym przeżyciu.

Inną pomoc stanowią olejki eteryczne. Tylko nie takie, które można kupić w drogerii, ale dostępne u konsultantek nawet za kilkaset złotych. Sam w sobie ten biznes nie jest związany z religią *per se*, ale zawiera element świadectwa („olejki wyleczyły mnie z...”). Warsztaty olejkowe bywają zresztą elementem świeckich szkół rodzenia, umożliwiającym zaznajomienie się z jedną z niemedycznych metod łagodzenia bólu porodowego.

Patronki

Wydawałoby się, że kobiety w ciąży powinny zwracać się przede wszystkim ku najbardziej chyba znanej matce świata – Maryi. Jednak badania Alicji Neumann-Karpińskiej pokazały, że nie zawsze tak jest. Część kobiet wybiera bardziej „prziemne” święte, czasem nieuznawane jeszcze przez Kościół. Maryja bywa zbyt daleka od ich doświadczenia, skoro często spotykają się z interpretacją, że narodziny Jezusa były bezbolesne.

Dorota: – W chwili największego strachu i bólu podczas porodów prosiłam o wstawiennictwo znajomą matkę, turbodzielną, cholernie mądrą i fajną dziewczynę, która zmarła po piątym porodzie, w opinii świętości zresztą. Jakoś w ogóle nie przyszło mi do głowy, żeby mieszać w to bezpośrednio Boga, Jezusa czy Maryję. Macierzyństwo Maryi było dla mnie zawsze jakieś takie... bezcielesne? Wzniosłe, oderwane od fizjologii i ludzkich emo-



cji. Kierowałam modlitwę do Magdy, bo ona wiedziała, jak to jest. Wierzyłam, że pomoże załatwić dla mnie wsparcie z góry.

Część mam prosi jednak o wstawiennictwo Maryję Rozwiązującą Węzły. – Przy pierwszej ciąży modliłam się codziennie na różańcu, wtedy szczególnie bliska była mi Maryja z jej pokreconą historią okółporodową – opowiada Mira. – Przecierałam szlaki i jako matka, i jako matka dziecka z niepełnosprawnością. Musiałam wsłuchać się w siebie i usłyszeć, co dla mnie i dla dziecka dobre; czas z różańcem bardzo pomógł i w rozeznanii, i w nabraniu większej sprawczości.

Jedna z moich rozmówczyń wspomina z kolei, że nosiła w ciąży – przy sobie lub na sobie – szkaplerz, który dostała od przyjaciółki. – Ona nosiła go przede mną – opowiada. – To mi dawało poczucie łączności, więzi z nią i z innymi matkami, które przez to przeszły przede mną, bycia zaopiekowaną i wspieraną.

Ale są i takie mamy, które nie odnajdują się w dostępnych formach pobożności: – Gdy w drugiej ciąży na patologii czekałam, aż wezmą mnie na wywołanie, szukałam jakichś modlitw o szczęśliwy poród i miałam wrażenie, że są spisane tak dalekim mi językiem, że nie potrafię sobie tym wyrazić. W końcu wpadłam na pomysł, by napisać własne – mówi Rut.

Oddziały

Przyjmijmy, że katolicka mama urodziła w szpitalu: tym, co może ją tu spotkać, jest wizyta kapelana.



Kobiety, z którymi rozmawiałam, opowiadały, że albo księdza nie widziały, albo przemykał szybko, zawstydzony kobiecą cielesnością. One same również były spezione niedopiętymi po karmieniu kożuszami. Albo... wręcz przeciwnie: – Przyjmowałam komunię z gołym tyłkiem i dzieckiem na piersi. To ja byłam u siebie – mówi Olga.

– Księża na oddziale poporodowym to nieporozumienie. Biusty na wierzchu, obolałe krocza, maluchy ledwo co uśpione albo drące się wniebogłosy, a ci ledwo powstrzymują focha, gdy się ich prosi, żeby przyszli za kwadrans, bo właśnie przystawiłam do piersi – wspomina jednak Dorota. Ubolewa, że skoro nie ma diakonis, to na oddziały położnicze nie przychodzą z komunią siostry zakonne.

Potencjalnie mogłyby to być też świeckie szafarki Eucharystii, jednak te można spotkać tylko w archidiecezji łódzkiej. Nawet świeccy szafarze czy diakoni stali, mający doświadczenie ojcostwa, prawdopodobnie sprawdziliby się lepiej, ale i oni nie wszędzie są.

Wywody

Wywód to błogosławieństwo dla położnicy, niejako wprowadzające ją z powrotem do kościoła: z kruchty lub zakrystii kapłan wiedzie ją do ołtarza. Jest pokłosiem żydowskiego rytualnego oczyszczenia, znanego choćby z historii Marii i Józefa przynoszących Pierworodnego do Świątyni.

*Warsztaty
otulania
poporodowego
w Domu
Narodzin
Św. Rodziny
w Łomiankach,
2022 r.*



ARCHIWUM PRYWATNE VOLHI KUŚMIERSKIEJ X3

Jest to trochę kłopotliwe. Można bowiem bronić nieczystości rytualnej w starożytnym Izraelu jako mającej zamyśle praktyczny: zetknięcie młodej matki i nowo narodzonego dziecka z obcymi mogło być zabójcze przez kontakt z patogenami. Kilkutygodniowy odpoczynek jest zwyczajnie wskazany, pomaga też uporać się z trudnymi emocjami. Ale dziś nie sposób przejść obojętnie obok konceptu, w którym bycie kobietą i wynikające z tego wydanie na świat dziecka jest nieczyste.

„W Kościele katolickim, inaczej niż w judaizmie, poród nie jest okolicznością kalającą, więc młoda matka nie potrzebuje oczyszczenia. (...) Jest za to wiele o boleści zmienionej w radość” – pisze więc w artykule „Połóg po katolicku” Marzena Boruta, doula z Fundacji Makatka. Opisuje własny rytuał: „Kapłan wyszedł mi naprzeciw i przywitał w drzwiach kościoła, podobnie jak biskupi na znak szacunku wychodzili naprzeciw królom

i dostojnikom, mającym pełnić uroczystą funkcję w celebracjach. »Pan niech będzie z tobą i niech ci wynagrodzi wszystkie trudy macierzyństwa« – usłyszałam u progu świątyni. Dostałam zapaloną świecę i popłynęły kolejne słowa błogosławieństw”. Boruta komentuje: „Był to moment, kiedy poczułam się w idealnym miejscu i czasie, dokładnie tam, gdzie miałam być, taki macierzyński moment pełni”.

Warto odnotować, że Rytuał rzymski z adaptacjami dla Kościoła w Polsce z 1963 r. podaje dwie formy wywodu: dla niewiast po porodzie, których dziecko żyje, oraz dla tych, których maleństwo zmarło. Błogosławieństwo obejmuje wszystkie.

Otulania

Otulanie, cerrada, zamykanie kości – to różne nazwy rytuałów zamykających połów, pochodzących z krajów słowiańskich, Meksyku czy Maghrebu. ➔

→ Różnią się między sobą: np. otulanie wykonuje się przy pomocy prześcieradeł, a do cerrady używa się specjalnych szali. Czasem elementem będzie domowe SPA albo posiłek czy kakao. Wspólny jest masaż i okrycie ciała młodej mamy materiałem. W trakcie takiego rytuału domyka się pewien etap. Niekoniecznie połóg, ale np. zakończenie karmienia piersią.

Otulanie znalazło się w Polsce za sprawą wspomnianej już Volhy Kuśmierskiej. Nie zawsze musi przebiegać z nawiązaniem do wiary, choć Anna Powideł zachęca, żeby przed ceremonią modlić się za wydarzenie i otulającą, a w jej dniu przyjąć komunię.

Kuśmierska przyznaje, że nieraz była mylona z „szamanką” czy „babką szep-tuchą”, choć otulanie jest „bardziej nowoczesne i świeckie”. A wskazując na wspomnianą wielość rytuałów poporodowych, wskazuje, że w zależności od tego, który wybierzemy, akcent może być położony bardziej na „aspekt psychologiczny, osteopatyczny, a nawet w duchu nowoczesnego szamanizmu. Dlatego tak ważne jest, żeby znaleźć »swoją« kobietę otulającą”.

Zupy

Nieformalną praktyką, na jaką mogą liczyć wierzące mamy, jest wsparcie ze strony rodziny, przyjaciół i wspólnoty.

Gdy urodziła Iza, to po najbliższej mszy jedna z jej przyjaciółek dołączyła do ogłoszeń parafialnych. Podzieliła się radością nowego życia, a potem puściła po kościele listę-kalendarz, na której każdy chętny mógł wpisać, w jaki dzień ugotuje obiad dla pięcioosobowej rodziny, teraz z niemowlęciem na pokładzie.

Po porodzie Justyny jedna z jej przyjaciółek założyła wspólną konwersację dla

uczestniczek *mother blessing*. Zachęciła je do dalszego wspierania młodej matki. Mogła to być np. zawekowana zupa. Coś, co konkretnie pomoże, ale da też Justynie poczucie, że nie jest sama.

Pieluchy

A co dalej, z małym dzieckiem w kościele? W kilku jezuickich parafiach są tzw. akwaria: kaplice boczne, odseparowane od reszty świątyni szybą. Pozwalają rodzicom chodzić do kościoła z dziećmi, a innym uczestnikom liturgii ograniczyć nieco dźwięki małych chrześcijan.

Inną rzeczywistość opisywała Katarzyna Zarosa w liście matki-katoliczki do abp. Marka Jędraszewskiego: „Słuchałam dziś listu Księdza Arcybiskupa, siedząc w jednym z krakowskich kościołów, w którym nie ma ogólnodostępnej toalety dla wiernych. Przewijak czy zapasowe pampersy pozostawiam już w sferze marzeń. Jak mi nie mam, Ksiądz Arcybiskup nie miał nigdy przyjemności uczestniczyć w Eucharystii w zaawansowanej ciąży, jako opiekun niemowlęcia czy też świeżo odpieluchowanego dwulatka”. Dalej padają słowa o karcących spojrzeniach i słowach współwyznawców na „dzieci zachowujące się jak dzieci”, pojawia się też pomysł przeznaczenia salki parafialnej na klub rodzica, otwarty w ciągu tygodnia.

Sprawczość

Opisane tu zjawiska są udziałem niewielkiej liczby katoliczek. Część występuje razem (np. rekolekcje, olejki, poród domowy), a kobiety sięgające po nie łączą podobne poglądy. Inne stają się pojedynczymi doświadczeniami różniących się między sobą katoliczek (od tradycyjnolistek po progresistki), które łączą wiara i macierzyństwo.

Widać z nich, jak kobiety odzyskują sprawczość na dostępnym sobie polu: we własnych domach, w internecie, w wynajętych ośrodkach rekolekcyjnych. Spotykają się, dzielą się wiedzą, wiarą i posiłkiem. Wyszarpują zębom czasu stare rytuały, stwarzają nowe.

„To, co z zewnątrz, z perspektywy świeckiej, wygląda po prostu na konserwatywny projekt reprodukcji wzoru »kobiecej kobiecości«, może być także formą oporu wobec funkcjonujących lokalnie religijnych modeli kobiecości” – zauważa socjolożka religii Anna Szwed. Własne przestrzenie katoliczek, *offline* i (szczególnie) *online*, „charakteryzują się znaczną autonomią”. Kobiety stają się w nich ekspertkami dla siebie nawzajem. Zyskują podmiotowość.

Katolicka kultura okołoporodowa mówi o tym, jakich praktyk na przecięciu duchowości i cielesności kobiety nie znalazły w Kościele, więc stworzyły sobie same (albo sięgnęły do rezerwuaru rodzimych lub obcych zwyczajów). Pokazuje punkty, w których następuje spotkanie katolickiego i alternatywnego macierzyństwa – tego, które zwraca się ku naturze. Bywa, że w ramach tego dyskursu wiara łączy się z medycyną niekonwencjonalną. Oczywiście olejki czy kursy są ofertą dla kobiet z kapitałem finansowym.

Jest to więc kontrkulturowa opowieść o ucieśnionej religii, kreatywności, odzyskiwaniu sprawczości, kapitale i kompetencjach. Ale też o potrzebie chrześcijaństwa bliskiego skórze, bezpiecznej wspólnoty i swojego miejsca. W, dzięki i pomimo instytucji kościelnej.

© PAULINA MODEL

Imiona bohaterek zostały zmienione.

Sąd Rejonowy w Mińsku Mazowieckim w I Wydziale Cywilnym postanowieniem z dnia 1 czerwca 2023 r. w sprawie sygn. akt I Ns 1066/22 zezwolił Powiatowi Mińskiemu na złożenie do depozytu sądowego kwoty 10 033 zł (dziesięć tysięcy trzydzieści trzy złote) tytułem odszkodowania na rzecz Feliksa Kościesza za przejęte na rzecz Powiatu Mińskiego nieruchomości położone w obrębie Rudnik, gmina Cegłów, powiat miński oznaczone w ewidencji gruntów i budynków numerem 78/1 o powierzchni 0,0039 ha i numerem 79/1 o powierzchni 0,0029 ha.

Sąd wzywa spadkobierców po zmarłym Feliksie Kościeszu do odbioru depozytu w terminie dziesięciu lat od dnia ukazania się tego ogłoszenia pod rygorem orzeczenia przejścia depozytu na rzecz Skarbu Państwa.

W Sądzie Rejonowym w Słubicach pod sygn. akt I Ns 466/22 wszczęte zostało postępowanie z wniosku Doroty Zmaczyńskiej o nabycie przez zasiedzenie przez Dorotę Zmaczyńską, Zbigniewa Grochocińskiego i Marka Grochocińskiego w udziałach po 1/3 prawa własności nieruchomości, stanowiącej działkę o numerze 195 (poprzednio 58/9) o powierzchni 0,0776 ha (poprzednio 0,0792 ha), zabudowanej budynkiem mieszkalnym o kubaturze 449 m³ i powierzchni ok. 120 m², położonej w Słubicach przy ul. Witosa 18 (dawniej ul. Nowotki 18), dla której Sąd Rejonowy w Słubicach V Wydział Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą o numerze GW1 S/00001553/3.



Moment wyboru abp. Tadeusza Wojdy na przewodniczącego KEP. Warszawa, 14 marca 2024 r.

Wybór korporacji

KS. JACEK PRUSAK SJ, PSYCHOTERAPEUTA, PUBLICYSTA:

Biskupi na zebraniu plenarnym nie patrzą na siebie jak na wspólnotę modlitewną. Wybierają nie duszpasterza, tylko zarządcę. W ogóle nie biorą pod uwagę kontekstu duszpasterskiego.

MACIEJ MÜLLER: Biskupi wybrali – abp Tadeusz Wojda z Gdańska został nowym przewodniczącym Konferencji Episkopatu Polski, jego zastępcą będzie abp Józef Kupny z Wrocławia. Jaka wizja elektorów za tym stała?

KS. JACEK PRUSAK SJ: Biskupi ewidentnie nie chcieli żadnej nowej epoki. Z ich perspektywy „nowe otwarcie” byłoby czymś wymuszonym czynnikami zewnętrznymi, naciskiem medialnym itp. Ten wybór trzeba odczytać jako mocną aprobatę dla dotychczasowej linii, którą firmowali arcybiskupi Stanisław Gądecki i Marek Jędraszewski. To linia zachowaw-

cza. Biskupi wybrali przewodniczących, którzy mają zadbać o ich własne interesy.

Jak widać, presja społeczna nie wpływa na wybór biskupów tak, jak byśmy chcieli my – dziennikarze, komentatorzy. Medialnie kreowani kandydaci przepadli. Dwaj wybrani hierarchowie nie są specjalnie znani, co mogło być odbierane przez głosujących pozytywnie: bo nie będą mieli parcia na szkło.

Czyli paradoksalnie można powiedzieć, że biskupi wykazali pewną niezależność.

KAI przed wyborami przeprowadził ankietę wśród katolików zaangażowanych

w życie Kościoła, pytając o zadania stojące przed nowym kierownictwem Episkopatu i o to, jakich cech będzie potrzebował nowy przywódca. Odpowiedzi na tę ankietę, a także inne medialne publikacje mocno sugerowały, jacy kandydaci byłiby najbardziej potrzebni z punktu widzenia świeckich: ludzie o otwartych horyzontach, posiadający wrażliwość papieża Franciszka, walczący z patologiami trawiącymi Kościół, w tym z pedofilią duchowieństwa i jej tuszowaniem. Ale to nic nie dało – biskupi wybrali przedstawicieli z zupełnie innego klucza.

Kim jest arcybiskup Wojda?

Problem w tym, że niezbyt wiele można o nim powiedzieć. Był metropolitą białostockim, po czym trafił do Gdańska, trudnej diecezji, w której musi porządkować sytuację po rządach abp. Sławoja Leszka Głódzia. Zakładam, że wybór biskupów wiąże się z ich pozytywną oceną działań abp. Wojdy w Gdańsku. Uznali, że poradzi sobie z trudnymi wyzwaniami jako szef episkopatu. Z drugiej strony wiemy też, że abp Wojda wypowiadał się w kontrowersyjny sposób...



Abp Tadeusz Wojda ma głos

Z WYPOWIEDZI nowego przewodniczącego episkopatu abp. Tadeusza Wojdy najszerzym echem odbiła się jego odezwa wydana przed marszem równości w Białymstoku (20 lipca 2019 r.). Ówczesny metropolita białostocki stwierdził, że „marsz, chociaż zakłada przeciwdziałanie domniemanej dyskryminacji wspomnianych środowisk, w rzeczywistości sprzyja dyskryminacji innych – tych, których sumienie jest wyczulone na dobro społeczne, chrześcijańskie i obyczajowe, a także jest miejscem obrażania i robienia parodii z treści, które są dla wierzących najwyższą wartością”. Wówczas nazywał wydarzenie inicjatywą

„obcą podlaskiej ziemi i społeczności, która mocno jest zakorzeniona w Bogu i ma na uwadze dobro społeczeństwa i dzieci” i wzywał: „Powtarzamy za kardynałem Stefanem Wyszyńskim: »Non possumus« – nie możemy się na to zgodzić”. Najwyraźniej ośmielone tą odezwą nacjonalistyczne bojówki zaatakowały białostocki marsz.

W HOMILII wygłoszonej podczas mszy odprawionej 29 marca 2020 r. w Białymstoku mówił: „Cuchniemy grzechem. Kiedy w nas nie ma życia Bożego, cuchniemy grzechem. Jakże wiele tych grzechów. Cuchniemy grzechem nieposłuszeństwa, niemoralnego

życia, nieustannych kłótni. Cuchniemy grzechem pedofilii. Cuchniemy grzechem homoseksualizmu. Cuchniemy grzechem LGBT (...), ale mimo to Jezus nas kocha i chce nas wyprowadzić do nowego życia”. Kontekstem homilii była Ewangelia o wskrzeszeniu Łazarza.

ARCHIDIECEZJĘ GDAŃSKĄ

abp Wojda objął po abp. Głodziu – ukaranym przez Watykan za tuszowanie przestępstw księży wykorzystujących seksualnie osoby małoletnie. Nowy metropolita zaraz po objęciu urzędu zapowiadał zdecydowane działania wspierające osoby pokrzywdzone. Jak dotąd, trudno dotrzeć do informacji o takich działaniach. Wiadomo natomiast o jego odmowie wsparcia budowy pomnika upamiętniającego ofiary molestowania.

PO WYBORZE

na przewodniczącego KEP w jednej z pierwszych wypowiedzi oświadczył: „tworzenie Kościoła synodalnego jest naszym najpilniejszym wyzwaniem”.

©© PIOTR SIKORA

potem został biskupem. Minimalne doświadczenie duszpasterskie, spore urzędnicze.

Biskupi na zebraniu plenarnym nie patrzą na siebie jak na wspólnotę modlitewną. Wybierają nie duszpasterza, tylko zarządcę. W ogóle nie biorą pod uwagę kontekstu duszpasterskiego. Wybór szefa episkopatu to wybór korporacyjny: to jest osoba „dla nich”. Biskupi nie szukają duszpasterza „dla nas”, na dole, tylko sprawnego administratora dla siebie. Który będzie umiał ich reprezentować, a przy tym utrzymać pewną linię. A do relacji ze światem zewnętrznym biskupi wydelegowali prymasa abp. Wojciecha Polaka.

Co w ogóle może szef Konferencji Episkopatu? Na ile wyznacza kurs dla Kościoła krajowego?

Moim zdaniem nie wyznacza żadnego kursu. To jest w tej chwili funkcja raczej reprezentacyjna – potrzebna na różne uroczystości i do prowadzenia negocjacji na linii Kościół-państwo. To nie są czasy prymasa Wyszyńskiego, hierarchii o ogromnym autorytecie, z posłuchem u reszty biskupów. Odnoszę wrażenie, że my tutaj, „na dole”, ciągle tęsknimy za takim charyzmatycznym liderem – tymczasem biskupi dobrze wiedzą, że nowego Wyszyńskiego nie będzie. Ewidentnie sami w swoim gronie nie widzą takiej osoby. A gdyby nawet taka się znalazła, to by się jej bali i z pewnością nie wybrali na funkcję kierowniczą.

Spekulowano, że jakieś szanse na zmianę przyniosłby wybór abp. Adriana Galbasa z Katowic.

Tylko że on jest ordynariuszem dopiero od roku, poza tym sądzę, że dla pozostałych biskupów jest zbyt profranciszkowy, uczestniczył przecież w Synodzie o synodalności, i nie przeszkalał potem księży przed zagrożeniami, jakie Synod wprowadzi do Kościoła, jak dwóch innych uczestników z Polski. Polscy biskupi ewidentnie nie chcą mieć na czele kogoś otwarcie popierającego myślenie o Kościele charakterystyczne dla obecnego papieża. Abp Wojda nie jest wprawdzie antyfranciszkowy – tak można by powiedzieć o abp. Gądeckim po tym, jak się wypowiadał o Synodzie – ale na pewno nie dał się poznać jako profranciszkowy.

©© Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

→ ...np. sprzeciwiając się białostockiemu Marszowi Równości stwierdził, że „sprzyja dyskryminacji innych – tych, których sumienie jest wyczulone na dobro społeczne, chrześcijańskie i obyczajowe”.

Biskupi wiedzą więc, że to hierarcha, który nie pójdzie na kompromisy w sprawach, które uważają za kluczowe. Abp Wojda udowodnił, że nie boi się powiedzieć, co myśli – i zebrać nieprzychylny komentarze w mediach. A więc

zapewne nie ulegnie naciskom spoza Kościoła, żeby coś zmiekczać, żeby bardziej pójść drogą Franciszka.

Abp Wojda wpisuje się w przepis na przeciętnego polskiego biskupa, przedstawiony ostatnio na naszych łamach przez Ignacego Dudkiewicza: krótko pracował jako wikariusz, następnie studiował w Rzymie i prawie trzydzieści lat był urzędnikiem kongregacji,

ZUZANNA

Radzik: Zmian nie będzie



GDY JEST SIĘ DZIECKIEM LAT 80., ŚWIADKIEM trudnego, ale udanego politycznego przełomu, idzie się w dorosłość z wiarą w zmianę. Transformacje są możliwe, wiemy to, wychowani na wchodzeniu do NATO i UE, czyli uzgadnianiu, szlutowaniu, doganianiu, olbrzymiej zmianie kultury i procesów.

Przez mgłę dziecięcej pamięci mamy przed oczami, jak świat się zmieniał, piękniały miasta, programy dla młodzieży i studentów pozwalały wychylić nos za granicę, a prawo stawało się zgodne z europejskim. Nowe szło, pchaliśmy się w poczuciu dziejowej sprawiedliwości przez lata 90. ku politycznym sojuszom, a ja, zmylona tym postępem, myślałam wtedy, że i polski Kościół dokądś zmierza. Ku jakiemuś nowemu jutru, formie adekwatnej do czasów i wyznań.

Pamiętam różne etapy wyobrażeń i marzeń o Kościele i zmianie – inne, gdy miałam 15 lat, rosnące oczekiwania około dwudziestki, gdy studiowałam teologię, bardziej realistyczne po trzydziestce, gdy już trochę poznałam życie i rzeczywistość. Z okazji czterdziestki stanęło przede mną pytanie, jakie to uczucie należeć do wspólnoty religijnej, która nie byłaby powodem nieustannego dyskomfortu, a dla wielu przestrzenią niebezpieczną. Przecież ta wspólnota powinna być towarzyszką w dziwności istnienia i egzystencjalnych pytaniach, a regularnie drażni mnie swoim stosunkiem do świata. Od wszystkich tych lat moje bycie w niej jest sumą zmagania ze zjawiskami i postawami, których nie akceptuję, ale też słuchaniem, że jak się nie podoba, to nic tu po mnie. Zaklinaniem, że to też mój Kościół i nigdzie się nie wybieram. Może podszeptał mi to kryzys wieku średniego, ale wyobraziłam sobie, co może być za 25 lat – i z przerażeniem stwierdziłam, że w dużej mierze to samo.

Choć to niezupełnie prawda. To samo jest na papierze, w teologii i strukturze, ale nie w ludziach. W końcu wyrastałam w świecie, gdzie wszyscy chodzili na religię, a parafia orga-

nizowała życie społeczne w większym stopniu niż szkoła, dom kultury czy gmina. Teraz co chwilę kolejny znajomy wyznaje na kawie czy kolacji swój rosnący dystans, opisuje proces odchodzenia, brak nadziei, przenosi duchowe potrzeby i poszukiwania gdzieś indziej albo przeobraża się z miłego katolika w wojującego antyklerykała.

Teraz polscy biskupi ogłosili, kogo widzą w roli swoich liderów, i jest to reprezentacja wiarygodna: niewyrazista, ale w sprawach obyczajowych zapiekła, niebiorąca odpowiedzialności za swoje słowa, nieskora do naprawy krzywd. Nie spodziewałam się niczego innego. Gdy jednak słyszę, jak komentujący sprawę koledzy i koleżanki zapewniają, że Kościół jest na dole, że trzeba robić swoje, budować wspólnoty, modlić się i czytać Pismo, że nieważne, kogo wybrali, ważne, co my – to wszystko we mnie wrzeszczy: co z was za katolicy?!

No serio, od kiedy to biskupi nie są istotnym elementem katolicyzmu? Katolicka opowieść o samych sobie wywodzi ich od apostołów, twierdzi, że mają udział we władzy Chrystusa – Głowy. Ich władza sprzęgnięta jest z rytuałem i teologią, i nie da się ich oddzielić od tego, co mamy w doktrynie, jak się modlimy i kto nam w tym przewodniczy, co myślimy o Bogu (teologię kształtują ich nominaci). Owszem, jest chrześcijaństwo bez biskupów, bo są różne jego odmiany, o bardziej spłaszczonej strukturze lub mitygujące wpływ duchownych. Ale katolicyzm robiony oddolnie, na boku, w oderwaniu od mizerii wywodzonego od Apostołów przywództwa, to opowieść niespójna.

Wiem, sama nieraz cytowałam Dorothy Day piszącą, że Duch Święty posyła Kościołowi proroków i świętych, a nie biskupów. Albo mojego profesora patrologii, który opowieści o pierwszych soborach kwitował zdaniem: „Widzą państwo, gdyby nie Duch Święty, to by się to wszystko rozpadło”. Co raz częściej jednak myślę, że mówimy tak z bezradności i braku sprawczości. Nasz brak zgody z punktu widzenia katolickiego systemu nie ma znaczenia. Synodalny Kościół, nieśmiało projektowany – głównie przez biskupów i z zachowaniem ich strukturalnego wpływu – nas przed tym nie uratuje. To nie demokracja, w której do następnych wyborów można robić swoje, a potem zmienić władzę, tylko autorytaryzm, w którym wyborów nie było i nie będzie.

Oprócz robienia swojego na dole, konieczna i pozwalająca zachować przyzwoitość jest wyraźna konfrontacja ze strukturami, które dokonują obstrukcji. Bo bez tego ani nowego konsensusu, ani zmiany, ani innej przyszłości nie będzie. ©

TP ZA TYDZIEŃ W WIELKANOCNYM „TYGODNIKU” DODATEK HISTORYCZNY:



ANTONI BARANIAK ARCYBISKUP POZNANIA, WIĘZIEŃ PEERELU

- „Funkcjonariusze UB, którzy przyszli po niego 26 września 1953 roku, rzucili, by ubrać się ciepło. Kolejne dwa lata miał spędzić w najgorszym areszcie PRL. Był na skraju załamania psychicznego. Co sprawiło, że przetrwał?” – pyta historyk **Bartłomiej Noszczak**, portretując Antoniego Baraniaka. Ten sekretarz dwóch prymasów, związany z Wielkopolską, wpadł w tryby UB, gdyż komuniści liczyli, że złoży zeznania przeciw Wyszyńskiemu.
- „Po 27 miesiącach w areszcie na Rakowieckiej zostały mu nie tylko blizny na plecach. Odtąd stał się nerwowo, dużo palił”. Rodzinna wieś Sebastianowo, więzienie na Mokotowie, Ostrów Wielkopolski, Poznań: reporter **Stanisław Zasada** opowiada o miejscach związanych z abp. Baraniakiem.

„Tygodnik” z dodatkiem w dystrybucji od środy 27 marca.

POZnań*

WYDAWNICTWO
MIEJSKIE
POZNANIA

MACRON, SYNDROM PRYMUSA

Wbrew zapowiedziom prezydenta Francji wysłanie do Ukrainy sił bojowych NATO jest na razie mało realne. Jednak jego słowa to sygnał: Paryż, wcześniej pobłażliwy wobec Putina, dziś chce być liderem antyrosyjskiej koalicji.

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA



TA MIGAWKA Z ROSYJSKIEJ TELEWIZJI Rossija 1, tuby propagandowej Krem-la, obiegała w ostatnich dniach francuski internet. Można się domyślić, że niejednemu Francuzowi zjeżyła włosy na głowie.

„No, nie mogę się zdecydować: Paryż czy Marsylia?” – zastanawia się na głos czołowy kremlowski propagandzista Władimir Sołowjow w swoim *talk show* z 6 marca. Sołowjow pyta swoich rozmówców, którą z francuskich metropolii Rosja powinna najpierw zburzyć. „A może Lyon? Takie ładne miasto...”.

Francuski tygodnik „L’Obs” przypomina, że tenże Sołowjow już wcześniej – w grudniu 2022 r. – twierdził na antenie, że skoro Macron dostarcza broń Ukraincom, to „wystarczy, że prewencyjnie zbombardujemy Francję – i po kłopotach”. W innym programie nazwał Macrona „nazistowskim draniem”.

„Musimy być gotowi”

Co sprowokowało Sołowjowa do jego ostatnich „żartów”? Zapewne przemówienie francuskiego prezydenta z 26 lutego, które wygłosił w Paryżu na międzynarodowej konferencji wsparcia dla Ukrainy. Macron zaapelował wtedy do sojuszników z NATO o „zryw strategiczny” w obronie państwa ukraińskiego i oświadczył, że „klęska Rosji jest niezbędna dla bezpieczeństwa i stabilności w Europie”.

Co więcej, Macron „nie wykluczył” wysłania w przyszłości natowskich „wojsk lądowych” do Ukrainy. Choć zaznaczył, że na razie nie ma na to zgody wśród aliantów.

Kilkanaście dni później, 14 marca, gdy burza po jego słowach już się przetoczyła, w wywiadzie dla francuskiej telewizji prezydent podtrzymał swoją opinię, mówiąc, że w obliczu eskalacji rosyjskiej „musimy mówić, że jesteśmy gotowi, by na nią odpowiedzieć”. „Jeśli pozwolimy, aby Ukraina przegrała tę wojnę, wtedy na pewno Rosja zagrozi Mołdawii, Rumunii, Polsce” – dodał.

Przełamane tabu

Użyte wcześniej przez Macrona sformułowanie „wojska lądowe” nie było precyzyjne. Czy mowa o siłach bojowych Sojuszu Północnoatlantyckiego, czy też o wojskowym personelu techniczno-szkole-

niowym? Większość odbiorców – tak Rosja, jak i sojusznicy w NATO – przyjęło to pierwsze, „mocne” rozumienie. Z kolei otoczenie francuskiego prezydenta starało się minimalizować efekt jego deklaracji. Minister obrony Sébastien Lecornu wprost zaprzeczył na początku marca, że NATO mogłoby wysłać do Ukrainy jednostki bojowe. Według niego w grę wchodzi jedynie obecność na tym terenie natowskich saperów, oficerów szkoleniowych czy ekspertów od cyberbezpieczeństwa.

Moim zdaniem Macron chciał złamać pewne tabu dotyczące pomocy dla Ukrainy. Pragnął dać sygnał, że Zachód nie może już ograniczać się do wysyłania broni i szkolenia oddziałów ukraińskich. Trzeba rozważyć wysłanie oddziałów natowskich o charakterze odstrasżającym, czyli takich, które przynajmniej na obecnym etapie nie brałyby udziału w walce z Rosją. Sama ich obecność w Ukrainie miałaby przyhamować Rosję. Tak rozumie słowa Macrona – komentuje dla „Tygodnika” Nicolas Tenzer, politolog, twórca portalu Desk Russe i autor książki „Nasza wojna” o konflikcie rosyjsko-ukraińskim.

Sikorski za Macronem

Tak czy inaczej można przyjąć, że Macron chciał wysłać komunikat adresowany zarówno do Rosji, jak też do Unii Europejskiej: NATO gotowe jest iść dużo dalej niż dotąd.

Kłopot w tym, że stanowcze oświadczenie Macrona spotkało się ze stanowczym dementi ze strony głównych sojuszników z NATO. Powstało wrażenie, że francuski prezydent wyrwał się przed szereg, nie konsultując swojej deklaracji z aliantami. Biały Dom natychmiast zaprzeczył, aby NATO rozważało pomysł wysłania amerykańskich oddziałów na pomoc Ukrainie. Niemiecki kanclerz Olaf Scholz oświadczył wręcz, że „żaden żołnierz” NATO ani któregośkolwiek państwa europejskiego nie będzie walczył w Ukrainie.

Pewne poparcie dla Macrona przyszło ze strony najbardziej zagrożonych przez Rosję państw bałtyckich (Litwa, Estonia) i Polski. Nicolas Tenzer przywołuje wypowiedź szefa polskiego MSZ Radosława Sikorskiego, który oświadczył, że „obecność sił NATO na Ukrainie to nie jest rzecz nie do pomyślenia” i że „docenia inicjatywę” Macrona, „bo chodzi w niej o to, aby to Putin się obawiał, a nie my Putina”. Jed-

nak, dodajmy, głos Sikorskiego różni się mocno od wcześniejszej deklaracji premiera Donalda Tuska, który w reakcji na słowa Macrona mówił, iż „Polska nie przewiduje wysłania swoich oddziałów na teren Ukrainy”.

Wygląda więc na to, że poniekąd na przekór intencjom Macrona jego wypowiedź ujawniła głębokie różnice wewnątrz koalicji proukraińskiej w sprawie strategii prowadzenia wojny – pisała na łamach dziennika „Le Monde” Sylvie Kauffmann, autorka głośnej we Francji książki „Zasłepieni. Jak Berlin i Paryż utorowały drogę Rosji”.

Ekstrema łączy siły

Tematy wojny w Ukrainie i zaangażowania w nią Zachodu wywołują emocje także nad Sekwaną. Przy czym, jak to często bywa, polityczne skrajności się przyciągają.

Dwie główne siły opozycyjne w parlamencie – nacjonalistyczne Zjednoczenie Narodowe (RN) Marine Le Pen i radykalnie lewicowa Francja Nieujarzmiona (LFI) Jeana-Luca Mélenchona – niemal jednym głosem oskarżają prezydenta Macrona o to, że ma popychać Francję do bezpośredniego udziału w wojnie w Ukrainie.

Mélenchon, znany od lat jako zagorzały przeciwnik w ogóle udziału Francji w NATO, określił wspomniane słowa Macrona jako „nieodpowiedzialne” i oznajmił w tym kontekście, że „wojna z Rosją byłaby szaleństwem”.

Z kolei Marine Le Pen przez wiele lat wyrażała podziw dla Władimira Putina i jego autorytarnego reżimu. Już po rosyjskiej inwazji w lutym 2024 r. powtarzała, że Krym jest rosyjski i że wobec tego aneksja tego terytorium przez Putina była zgodna z prawem. Teraz, reagując na ofensywną wypowiedź Macrona, Le Pen oburzyła się, uznając, że prezydent „bawi się w wodza, ale stawką jest przecież życie naszych dzieci, o których on mówi z taką beztroską”.

Odpierając te zarzuty, premier Gabriel Attal – prawa ręka Macrona – wołał w Zgromadzeniu Narodowym pod adresem Marine Le Pen: „Wypada się zastanowić, czy oddziałów Władimira Putina nie ma już w naszym kraju. Mówię o was i waszej formacji!”.

Wasze dzieci, nasze dzieci

W tę francusko-francuską debatę włączył się Wołodymyr Zełenski w wywiadzie ➔

Emmanuel Macron i Wołodymyr Zełenski po wspólnej konferencji prasowej w Pałacu Elizejskim. Paryż, 16 lutego 2024 r.

→ udzielonym francuskiej telewizji BFM TV oraz dziennikowi „Le Monde” z 11 marca. Mówił, że „dopóki Ukraina daje sobie radę, dopóty francuska armia może zostać na swoim terytorium”. „Wasze dzieci nie będą ginąć w Ukrainie” – podkreślił Żelenski. Nietrudno w tym dostrzec aluzję do wcześniejszych słów Le Pen o „naszych dzieciach”.

Nie przypadkiem chyba Żelenski starał się w ten sposób uspokoić Francuzów – jego słowa padły w przeddzień debaty we francuskiej izbie niższej, Zgromadzeniu Narodowym, nad podpisaną niedawno dwustronną umową francusko-ukraińską. Przewiduje ona m.in. zwiększenie pomocy Paryża dla Kijowa w tym roku na łączną kwotę trzech miliardów euro, w tym dalsze dostawy broni i szkolenie ukraińskich żołnierzy.

Po burzliwej debacie w ubiegły wtorek, 12 marca, francuscy deputowani zaakceptowali to porozumienie zdecydowaną większością głosów, przy 372 „za”, 99 „przeciw” (to radykalna lewica Mélenchona i komuniści) oraz 101 wstrzymujących się (tu głównie deputowani partii Le Pen). Choć więc duża część opozycji – prawicy i umiarkowanej lewicy – wsparła w tej kwestii Macrona, to jednocześnie nie pozostawiła na nim suchej nitki. Deputowany umiarkowanej prawicy Olivier Marleix komentował, że „Ukraina potrzebuje pocisków, a nie awanturniczych słów prezydenta Francji”.

Moglibyśmy robić więcej

Tymczasem reagując na połajanki kancle-rza Scholza, które bez wątplenia wymierzone były przede wszystkim pod adresem Paryża, ministerstwo obrony po raz pierwszy ujawniło skalę francuskiej pomocy militarnej. I tak od początku inwazji do końca 2023 r. Francja przeznaczyła na wsparcie wojskowe dla Kijowa ponad 3,8 miliarda euro (w tym 1,2 miliarda euro w ramach wspólnej pomocy unijnej). Nieco wcześniej krążyły w przestrzeni publicznej znacznie niższe szacunki.

– Jest jasne, że Francja wspiera dostawami Ukrainę mniej niż Niemcy i Wielka Brytania, nie mówiąc już o USA. Moglibyśmy tu z pewnością robić więcej i szybciej – ocenia Tenzer.

Wiadomo, że wśród dostarczonej dotąd francuskiej broni znalazło się m.in. 36 haubic typu Caesar, kilkadziesiąt kołowych czołgów rozpoznawczych AMX-



Pocisk manewrujący SCALP / STORM SHADOW na pokazie lotniczym w 2023 r. Paryż i Londyn przekazują Ukrainie tę broń, którą można atakować cele na zapleczu rosyjskiego frontu.

-10RC, 250 transporterów opancerzonych VAB, kilka baterii przeciwlotniczych, a także pociski manewrujące dalekiego zasięgu Scalp. Podobnych pocisków, o nazwie Storm Shadow, dostarczają Brytyjczycy. Wiadomo, że Ukraińcy bardzo sobie je cenią – pozwalają one dokonywać uderzeń w cele na głębokim rosyjskim zapleczu.

Kogo broni francuski atom

Ostatnie wypowiedzi władz Francji pokazują, że kraj aspiruje do roli lidera koalicji proukraińskiej. Sprzyja temu osłabienie wewnętrzne jej głównego partnera, Niemiec, a także perspektywa – coraz bardziej realna – powrotu Donalda Trumpa do Białego Domu.

Kluczowe jednak jest także, że po wyjściu Wielkiej Brytanii z Unii to Francja stała się jedynym państwem w Unii Europejskiej z bronią atomową. Jest tutaj druga (po USA) potęgą jądrową w NATO. Posiada niemal 300 głowic jądrowych – to bardzo mało w porównaniu z Rosją (według sztokholmskiego Instytutu SIPRI ma ona blisko 6 tys. głowic) i Stanami Zjednoczonymi (5,2 tys. głowic), ale wystarczająco dużo, żeby zapewnić obronę swojemu krajowi. Co istotne, francuski atom nie należy do arsenału jądrowego Sojuszu Północnoatlantyckiego. Innymi słowy, decyzja o jego użyciu leży w samodzielnej gestii Paryża.

Francuzi mają też dość liczną jak na re- alia Europy armię konwencjonalną (ok. 240 tys. zawodowych żołnierzy łącznie z rezerwistami). W ostatniej dekadzie przeprowadzała ona liczne operacje mi-

litarne przeciw dżihadystom w krajach Afryki Subsaharyjskiej, m.in. w Mali i Nigrze. Ostatecznie francuskie oddziały dały tam za wygraną, wyproszone przez afrykańskich przywódców, którzy objęli tam rządy w wyniku puczów, stawiając na najemników z rosyjskiej Grupy Wagnera.

Jednak pomimo rządowego optymizmu Paryża wiadomo, że francuskie wojsko dopiero po rosyjskiej inwazji zaczęło łątać dziury w uzbrojeniu. Wydatki na obronę pozostają wciąż nieco poniżej 2 proc. PKB. Paryż obiecał, że osiągnie ten wymagany wobec członków NATO próg w tym roku. W ubiegłym roku Macron zapowiedział, że do 2030 r. budżet armii wzrośnie aż dwukrotnie w stosunku do stanu na początku jego rządów w 2017 r.

Metamorfoza prezydenta

Skąd jednak wolta samego Macrona w stosunku do Rosji?

Na początku inwazji zarzucano mu zbyt uległą postawę wobec Putina. Wszyscy pamiętają, że wiosną 2022 r. powtórzał, by „nie upokarzać Rosji” i telefoniował uparcie do Putina, licząc na zatrzymanie rosyjskiej ofensywy. Skończyło się fiaskiem. Nad Sekwaną żartowano potem, że zatroskany „Władimir” czeka jak dawniej na telefon z Paryża: „Emmanuel już do mnie nie dzwoni...”.

Teraz prezydent stara się wysunąć się na czoło koalicji proukraińskiej. – Myślę, że Macron zrozumiał, iż popełnił błąd w stosunku do Putina, choć nigdy wprost się do tego nie przyznał – komentuje Nicolas Tenzer.

Politolog uważa, że zmiana ta zaszła już prawie rok temu. – Przemawiając w Bratysławie w maju 2023 r., Macron skrytykował po raz pierwszy fakt zablokowania akcesji do NATO Gruzji i Ukrainy w 2008 r. i zauważył, że trzeba było wcześniej posłuchać ostrzeżeń państw Europy Wschodniej przed rosyjskim zagrożeniem. To był zwrotny moment w jego postawie wobec Rosji – mówi Tenzer.

Jak się zdaje, do przemiany Macrona w „jastrzębia” przyczyniła się też fala rosyjskiej dezinformacji i destabilizacji, nasilająca się od wielu miesięcy i wymierzona w cały Zachód, szczególnie we Francję. Jesienią 2023 r., w chwili napięcia wokół wojny w Strefie Gazy, na zlecenie Moskwy sprawcy (jak się okazało, obywatele Mołdawii) pokryli mury Paryża graffiti z gwiazdą Dawida. Potem rosyjskie trolle rozpowszechniały te zdjęcia w mediach społecznościowych.

Inny przykład, który mógłby być groteskowy, gdyby nie wywołał autentycznego zamieszania we Francji: także minionej jesieni cały kraj huczał od doniesień o rzekomej inwazji pluskiew, które miały mnożyć się w zastraszającym tempie w domach, metrze, kinach. W social mediach wiązano ten fakt z przybyciem uchodźców ukraińskich do Francji. Niedawno ujawniono, że była to akcja dezinformacyjna sterowana przez propagandę Kremla.

Irytujący prymus?

Woltę Macrona można tłumaczyć też po części francuską tradycją, a po części jego osobowością. Francuzom zarzuca się od wieków aroganckie poczucie wyższości, a sam Macron ma w kraju i za granicą opinię prymusa, przekonanego święcie o swojej racji.

Wcześniej, w pierwszych miesiącach inwazji, chyba autentycznie wierzył, na przekór wszystkim, że uda mu się tylko siłą perswazji samodzielnie zatrzymać Putina. Dziś, w zmienionych okolicznościach, znów próbuje rozgrywać partię solo. I jak to bywa z prymusami, nie jest specjalnie lubiany.

Jak zauważa wspomniana Sylvie Kaufmann, „Francja zachowuje się wciąż jak lider, który nie ogląda się na innych”. Może dla dobra proukraińskiej koalicji warto by zmienić te przyzwyczajenia.

© SZYMON ŁUCYK



**Fundacja
Tygodnika
Powszechnego**

Mamy się czym pochwalić:
od piętnastu lat współorganizujemy
Conrad Festival i od dziesięciu – **Copernicus Festival**. Wyprodukowaliśmy dwa filmy dokumentalne: „**xABo: Ksiądz Boniecki**” i „**Ukos światła**”. Prowadzimy akcję „**Lekcje czytania**” i pomagamy rozwijać „**Podkast Tygodnika Powszechnego**”.

Nasz nowoczesny projekt technologiczny **rE-medium** wspiera suwerenność wydawniczą „Tygodnika Powszechnego”, a niedługo będzie wspomagać inne niezależne polskie media.

**Wspólnie z Tobą chcemy
krok po kroku zmieniać
świat na lepsze. Naprawdę**

**PRZEKAŻ 1,5% PODATKU
FUNDACJI
TYGODNIKA POWSZECHNEGO
» KRS 0000 125 605**



DIEGO HERRERA CARCEDO / ANADOLU / AFP / EAST NEWS

Ukraińscy żołnierze muszą dziś oszczędzać pociski. Na zdjęciu: front pod Bachmutem, 22 lutego 2024 r.

Czeska koalicja chętnych

MARTYNA WASIUŁA

Od początku rosyjskiej inwazji Praga jest wśród pionierów wsparcia wojskowego dla Ukrainy. Prezydent Pavel i premier Fiala właśnie dowiedli, jak wiele może uczynić mały kraj.

WIADOMOŚĆ, KTÓRĄ DMYTRO KULEBA miał do przekazania dziennikarzom, tym razem była wyjątkowo dobra. Ukraińska armia, cierpiąca na coraz większy „głód amunicyjny”, coraz bardziej odczuwalny na froncie, wkrótce zacznie otrzymywać pociski kupione w ramach czeskiej inicjatywy – podał szef ukraińskiego MSZ w środę 13 marca na konferencji prasowej w Kijowie.

OSIEMSET TYSIĘCY | Wygląda więc, że to, co Unii Europejskiej udało się tylko połowicznie, zrealizują Czesi. Wszystko za sprawą tzw. czeskiej inicjatywy, o której głośno zrobiło się w lutym, po konferencji na temat światowego bezpieczeństwa w Monachium. Przedtem premier Petr Fiala przedstawił pomysł na forum Rady Europejskiej: Czesi chcą koordynować dostawy amunicji dla Ukrainy. Ma ona zostać kupiona poza Unią, która nie jest

w stanie na razie zaspokoić ukraińskich potrzeb.

„Czechy znalazły za granicą setki tysięcy sztuk amunicji artyleryjskiej, którą mogłyby dostarczyć Ukrainie w ciągu kilku tygodni, jeśli partnerzy w USA, Niemczech, Szwecji i inne kraje zapewnią finansowanie” – mówił w Monachium prezydent Czech Petr Pavel. Wyjaśniał, że zlokalizowano pół miliona sztuk amunicji 155 milimetrów (to standardowy kaliber w armiach NATO; taki mają haubice dostarczane przez kraje zachodnie) oraz 300 tys. sztuk amunicji 122 mm (to z kolei standardowy kaliber używany w armatach posowieckich).

Pavel nie ujawnił źródła pochodzenia pocisków. Przekaz był następujący: wiemy, kto i ile chce sprzedać. Wiadomo tylko, że to państwa spoza Unii i ich lista jest otwarta. W mediach spekuluje się o Korei Południowej, Turcji i Republice Południowej Afryki.

PIERWSZA TRANSZA | Od początku rosyjskiej inwazji Czesi są wśród pionierów wsparcia dla Ukrainy. Zaangażowanie to wpisuje się też w program rządu Fiali, który zapowiadał powrót Czech „na szczyt Europy” oraz zacieśnienie relacji z NATO i Unią.

Także czeska inicjatywa nie pojawiła się znikąd. Był to proces trwający niemal od początku wojny na Ukrainie, a zaangażowanych jest w niego szereg osób i urzędów. Nabral na znaczeniu z chwilą, gdy okazało się, że nie udało się skoordynować dostaw przez Brytyjczyków w ramach tzw. inicjatywy kopenhaskiej, i gdy było już wiadomo, że Unia nie wiąże się z obietnicą miliona pocisków dla Ukrainy do końca marca 2024 r.

Szefowie rządów i państw Unii po raz pierwszy mieli usłyszeć o czeskim pomysle podczas nadzwyczajnego szczytu

Rady Europejskiej 1 lutego, który odbył się dzień po tym, jak premierzy kilku krajów Europy, w tym Czech, wspólnie wezwali na łamach „Financial Times” do zwiększenia pomocy wojskowej dla Ukrainy. Był tylko jeden warunek: aby idea się powiodła, konieczne było zebranie odpowiedniego finansowania.

Dziś państw-donatorów jest więcej, niż spodziewał się prezydent Pavel, gdy 16 lutego zabierał głos w Monachium. Okazało się, że to jego wystąpienie bardzo pomogło: do połowy marca udział w inicjatywie zadeklarowało 18 państw, w tym Holandia, Francja, Niemcy i Norwegia. To właśnie deklaracja Norwegów przyspieszyła przedwczesne ogłoszenie sukcesu: 7 marca prezydent podał, że zebrano całą potrzebną kwotę. Dzień później premier Fiala sprostował, iż zebrano całość, ale na pierwszą transzę 300 tys. pocisków. Dostawa całości ma zająć kilka miesięcy.

DYSKRETNIE CZY GŁOŚNO | Nie wiemy, czy falstart Pavla to efekt słabej od dłuższego już czasu komunikacji między Hradem a rządem. Wiadomo, że wokół inicjatywy panuje embargo informacyjne. Minister obrony Jana Černochová twierdzi, że Praga jest oszczędna w informowaniu, gdyż kraje, które mogłyby współpracować w projekcie jako sprzedawcy, uzależniają swój udział od tego, iż fakt ten nie będzie ujawniany.

Nie podano też publicznie kwoty końcowej, którą Czechy chcą zebrać. Wcześniej informowano, że będzie ona uzależniona od konkretnych państw i tego, czy chcą publikować informacje o swoich donacjach. Doradca Fiali ds. bezpieczeństwa Tomáš Pojar pod koniec lutego mówił, że zmianie może ulec i cena amunicji, i możliwości donatorów, którzy albo wpłacą więcej, niż zapowiadali, albo mogą nie dotrzymać obietnicy. To tzw. koalicja chętnych – mówił Pojar podczas obchodów 25. rocznicy wejścia Czech do NATO.

Wymóg dyskrecji w informowaniu o postępach amunicyjnej inicjatywy może jednak kłócić się z determinacją rządu, aby w końcu móc ogłosić sukces. Zwłaszcza że w 2025 r. są wybory parlamentarne, a prawicowo-centrowa koalicja Fiali nie ma dziś dobrych notowań. ©



HORACIO VILLALOBOS / CORBIS / GETTY IMAGES

André Ventura, lider skrajnie prawicowej partii Chega, prowadzi kampanię wyborczą na ulicach Lizbony. 20 lutego 2024 r.

Portugalczycy stawiają na zmianę

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z PÓŁWYSPU IBERYJSKIEGO

Po Hiszpanii, Holandii czy Włoszech także Portugalia skręca na prawo. Aby rządzić, tradycyjna centroprawica musi porozumieć się z nową partią skrajnej prawicy. Jej lider, dawny komentator sportowy, odwołuje się do tradycji portugalskiej dyktatury.

BOMBA WYBUCHŁA CZTERY MIESIĄCE temu, a wszystko to, co dzieje się w Lizbonie od tego momentu, jest tego konsekwencją.

Tamtego dnia, 7 listopada, wczesnym rankiem portugalskie media przestały nadawać tragiczne wiadomości z Izraela i Strefy Gazy. Ucichły także komentarze dotyczące frontu w Ukrainie. Media zdominowały wyłącznie informacje krajowe.

Freudowski lapsus

Tego dnia rankiem portugalska policja weszła do kilku rezydencji i biur rządowych. W jednym znaleziono gotówkę:

ukryte w książkach 75 tys. euro, których pochodzenia właściciele biblioteki nie umieli wyjaśnić. W rezultacie rewizji zatrzymano pięć osób, w tym szefa kancelarii ówczesnego premiera António Costy. Jak tylko prokuratura objęła go śledztwem dotyczącym nadużyć władzy i korupcji, szef rządu niemal natychmiast złożył rezygnację.

W ten sposób po niespełna dwóch latach urzędowania upadł gabinet socjalistów.

Sprawa nie jest błaha: część zatrzymanych wywodzi się z politycznego środowiska wokół 66-letniego dziś byłego premiera-socjalisty Joségo Sócratesa, urzędu-

jącego w latach 2005-2011, na którym od dawna ciążył podejrzenia korupcyjne.

Także z Sócratesem wiąże się pewien „freudowski” lapsus: relacjonując listopadowe aresztowania, telewizja CNN przez moment podała na tzw. pasku informację: „Zatrzymani będą zeznawać przez 48 lat”. Słowo „lata” szybko zamieniono na „godziny” (dwie doby to okres, na który obywatel może być zatrzymany bez nakazu sądowego). Ale przy tej okazji u wielu Portugalczyków wróciły wspomnienia z przeszłości. W końcu były premier Sócrates już od ponad dekady oczekuje na swój proces, a być może już tylko na przedawnienie.

O dwa mandaty więcej

Gdy premier Costa złożył dymisję, prezydent nie zgodził się na powołanie kolejnego kandydata z ramienia socjalistów – i zdecydował o rozpisaniu przedterminowych wyborów. Te odbyły się w niedzielę 10 marca, a ich wynik jest jednoznaczny: po ośmiu latach rządów Partii Socjalistycznej Portugalczycy opowiedzieli się za prawicą.

Wygrała centroprawicowa koalicja, występująca pod nazwą Sojusz Demokratyczny (AD). Blok ten, któremu przewodzi 51-letni Luís Montenegro, przewodniczący Partii Socjaldemokratycznej (trochę wbrew nazwie ma ona profil

→ chadecki i konserwatywny), zdobył ponad 29,5 proc. poparcia. Tuż za nim z wynikiem 28,5 proc. uplasowała się Partia Socjalistyczna (PS). W parlamencie będzie to oznaczać prawdopodobnie dwa mandaty różnicy między dwiema głównymi frakcjami.

– Zaskakujące jest, jak szybko socjaliści przyznali się do porażki i ogłosili się partią opozycyjną. Różnica to przecież tylko te dwa mandaty. Choć to byłoby trudne, ale Partia Socjalistyczna mogłaby chociaż podjąć próbę utworzenia rządu w koalicji z innymi ugrupowaniami lewicowymi – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem” dr Miguel Moniz, antropolog z Instytutu Nauk Społecznych w Lizbonie.

„Portugalczycy wybrali Zmianę” – napisał na platformie X (dawnym Twitterze) Luís Montenegro. Choć do większości bezwzględnej 116 mandatów brakuje mu jeszcze sporo, Montenegro widzi się już w roli premiera.

Prawica rośnie w siłę

Językiem u wagi w przyszłym parlamencie może okazać się ten trzeci – partia Chega (czyli po portugalsku „Dość”). Ta antysystemowa i skrajnie prawicowa formacja powstała pięć lat temu. Zaczynała od jednego mandatu, a po trzech latach mogła już liczyć na dwanaście.

Dziś może wprowadzić do parlamentu aż 48 deputowanych. Ze wstępnych rezultatów wynika, że najlepszy rezultat Chega uzyskała w popularnym regionie turystycznym w dystrykcie Faro.

Chega występuje przeciwko imigracji, muzułmanom, środowiskom LGBTQ, choć ostatnio podnosiła przede wszystkim hasła antykorupcyjne. To trafia na podatny grunt, bo na politykach związanych z poprzednim obozem władzy ciążyą podejrzenia o korupcję przy projektach związanych z tzw. zielonym wodorem oraz litem (Portugalia jest największym w Europie dostarczycielem tego rzadkiego metalu, który jest wykorzystywany m.in. przy produkcji akumulatorów).

Lider partii Chega, 41-letni prawnik i były komentator sportowy André Ven-

tura, głosi, że będzie surowo karać korupcję, a także walczyć z przestępczością, za którą obwinia w dużej mierze Romów. W kampanii mówił, że zamknie Romów w specjalnych obozach.

– Chega jest bardziej antyromska niż antyimigrancka. Jej politycy obwiniają mniejszość romską o brak asymilacji, życie na zasiłkach od państwa i przestępczość – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem” politolog dr João Carvalho z Centrum Badań i Studiów Socjologicznych (CIES-ISCTE) na Uniwersytecie Lizbońskim.

Z kolei Miguel Moniz uważa, że Chega to partia oportunistyczna. – Ona nie została pomyślana jako partia rządząca. Jej celem jest dążenie do oburzenia i demagogii, to jej strategia obliczona przede wszystkim na wygranie wyborów, a nie na to, co będzie potem – mówi antropolog.

Parada problemów

Obok korupcji ważnym powodem niezadowolenia w społeczeństwie są podatki.

Portugalia ma jedno z najwyższych obciążeń podatkowych w Unii Europejskiej, dlatego André Ventura prezentował się podczas kampanii wyborczej niemalże jako wcielenie Javiera Mileia, liberalnego prezydenta Argentyny, obiecując radykalne zmniejszenie uprawnień państwa.

Jednak zdaniem 61-letniego Joségo, przedsiębiorcy z Lizbony, problemem w Portugalii są nie tylko wysokie podatki, ale także ich niestabilność. – Nie możemy mieć planów finansowych czy dobrze zaplanować budżetu, bo podatki potrafią zmieniać się w ciągu roku. Kiedy dzieje się to w krótkim czasie, nie możemy się do tego przygotować i sami już się gubimy – mówi mi przedsiębiorca.

Kolejny naprawdę palący problem Portugalii to brak mieszkań.

– Minimalna pensja jest niemal taka sama jak średnia, a przy takich zarobkach nigdy nie będzie nas stać na zakup swojego mieszkania – mówi w rozmowie

z „Tygodnikiem” 29-letnia Cláudia Aragão, freelancerka mieszkająca na Wyspach Kanaryjskich.

Brak nowych mieszkań i napływ osób z zagranicy, zwłaszcza emerytów, którzy inwestują w nieruchomości, powoduje, że przeciętnego Portugalczyka nie stać nie tylko na zakup mieszkania, ale nawet na wynajem. Minimalna pensja w Portugalii to 700 euro. Ceny nieruchomości sztywnieją w górę, bo dostępne mieszkania, zwłaszcza te w dużych miastach, wynajmuje się turystom.

Oprócz stagnacji na rynku mieszkaniowym na porażkę socjalistów w wyborach wpłynęły też wysokie ceny produktów spożywczych, w tym kluczowej dla kuchni portugalskiej oliwy z oliwek.

– Nie ma u nas kryzysu gospodarczego ani dużego bezrobocia, ale pandemia i wojna w Ukrainie sprawiły, że siła pieniądza spada. Portugalczycy pracują tak samo jak wcześniej, ale nie mogą już kupować za to tylu produktów co wcześniej. Wielu ma problem, żeby dotrzeć do końca miesiąca – mówi politolog Carvalho.

Długi cień korupcji

– Dla mnie ważny jest lider – mówi José. – Głosowałem na kogoś, kto wydaje mi się transparentny, bo w obliczu ostatnich skandali korupcyjnych potrzebujemy odpowiedzialnych polityków u władzy.

Przedsiębiorca uważa, że w niemal każdej portugalskiej partii są osoby podejrzewane o korupcję. Tylko w ciągu ostatniego pół roku śledztwami na tle korupcyjnym zostali objęci politycy z obu czołowych partii. Upadek socjalistycznego rządu António Costy, objęcie go śledztwem i zatrzymanie kilku osób z jego środowiska to jeden z tych skandali. W kolejnych uwikłani są politycy Partii Socjaldemokratycznej. Niespełna dwa miesiące temu przewodniczący rządu regionalnego Madery, Miguel Albuquerque, został oskarżony o korupcję i nadużycie władzy.

– Nasz system sądowniczy oparty jest na zasadzie *checks and balances*, a to oznacza, że mająte osoby cały czas mogą odwoływać się od decyzji jednego sądu do kolejnego. Dlatego skomplikowane sprawy korupcyjne nigdy nie kończą się wyrokiem – uważa João Carvalho.

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

Politolog wspomina sprawę dotyczącą jednego z byłych ministrów, na którym ciążyły poważne zarzuty korupcyjne. – Nie udało się go skazać, więc wciąż otrzymuje państwową emeryturę. To u Portugalczyków budzi duże oburzenie – mówi Carvalho.

Młodzi głosują na Chegę

Portugalski skręt w prawo wpisuje się w europejski trend, obserwowany również w Hiszpanii, Holandii czy Włoszech.

Antropolog Miguel Moniz uważa, że to jeszcze nie musi oznaczać, iż Portugalia skręca w stronę skrajnej prawicy, ale jest dowodem, że społeczeństwo reaguje na kryzys polityczny i skandale korupcyjne.

– Co jednak mnie niepokoi, to fakt, że młodzi ludzie w Portugalii są coraz bardziej otwarci na prawicową politykę. Czas pokaże, czy to również reakcja na kryzys polityczny, czy też głębsze zmiany w polityce Portugalii – mówi Moniz.

Faktem jest również, że lider Chegi jest wyjątkowo aktywny w mediach społecznościowych, zwłaszcza na TikToku i Instagramie, co ułatwia mu dotarcie do najmłodszych wyborców, którzy również w Portugalii chętnie korzystają z tych serwisów.

Charakterystyczne, że na Chegę głosowała także znaczna część niezdecydowanych wcześniej wyborców. Stąd Portugalia miała w marcowych wyborach największą frekwencję od 30 lat: swój głos oddało ponad 66 proc. uprawnionych.

Nie głosujesz, nie narzekaj

Wśród tych ostatnich jest Cláudia Aragão, wspomniana już mieszkanka hiszpańskich Wysp Kanaryjskich. Swoją głos oddała listownie już na tydzień przed wyborami. Choć jest zadowolona tym, że głosami Portugalczyków na emigracji wybiera się tylko sześćro deputowanych, to nie wyobrażała sobie, że nie zagłosuje.

– Moja babcia zawsze mi powtarzała, że to ważne. Mówiła, że to istotne, abyśmy dobrze korzystali z naszych praw. Jeśli nie głosujemy, to nie mamy prawa narzekać – mówi Cláudia, która zagłosowała na małą ekologiczną partię Livre. – Tak, wiedziałam, że nie odegra



ARCHIWUM PRYWATNE

JOSÉ uważa, że problemem Portugalii są wysokie i bardzo niestabilne podatki. „Sami się w nich już gubimy” – mówi przedsiębiorca z Lizbony.



HUGO ALEXANDRE CRUZ / ARCHIWUM PRYWATNE

JOÃO CARVALHO wskazuje, że siła nabywca pieniądza spada i wielu Portugalczyków ma problem, by dotrzeć do końca miesiąca.



ARCHIWUM PRYWATNE

CLÁUDIA ARAGÃO głosowała na małą ekologiczną partię Livre. „Niemal we wszystkich kwestiach się z nimi zgadzam” – uzasadnia swój wybór.



ARCHIWUM PRYWATNE

MIGUEL MONIZ, antropolog, uważa, że głosując na skrajną prawicę, ludzie reagują na kryzys polityczny i skandale korupcyjne.

ona wielkiej roli w tych wyborach, ale niemal we wszystkich kwestiach się z nimi zgadzam – uzasadnia swój wybór.

Wprawdzie Livre uzyskała tylko nieco ponad 3 proc. głosów i cztery mandaty, ale i tak poprawiła swój wynik w porównaniu z ostatnimi wyborami.

W nowym parlamencie będzie aż osiem partii. Oprócz centroprawicowej socjaldemokracji (79 mandatów), socjalistów (77 miejsc) oraz ultrapravicowej Chegi (48 mandatów) w jednoizbowym Zgromadzeniu Republiki zasiądzie jeszcze ośmiu parlamentarzystów z centroprawicowej Inicjatywy Liberalnej, pięciu z Bloku Lewicowego, czterech z Koalicji Demokratycznej, czterech z Livre oraz jeden z partii ekologicznej PAN.

Pół wieku rewolucji goździków

Jakie są szanse na utworzenie rządu przy takiej konstelacji?

Aby uzyskać większość, Sojusz Demokratyczny będzie potrzebował głosów skrajnej prawicy. Lider Chegi nie ukrywa swoich rządowych aspiracji; nie ukrywa też ceny, jaką Sojusz będzie musiał zapłacić za jego poparcie. Z kolei jego lider Luís Montenegro w kampanii wielokrotnie zaprzeczał, że utworzy rząd wspólnie z Chegą. Jeśli nie uda im się dojść do porozumienia, może to oznaczać, że w ciągu pół roku kraj czekają kolejne wybory.

Tymczasem za niespełna miesiąc Portugalia będzie obchodzić 50. rocznicę rewolucji goździków i upadku autorytarnej władzy.

W Portugalii ma ona twarz Antónia Salazara, który urząd premiera – faktycznie dyktatora – sprawował przez długie 36 lat (1932-68). Sześć lat po tym, jak zakończyła się jego epoka, wojskowy zamach stanu – nazwany właśnie rewolucją goździków – obalił jego następcę i przywrócił demokrację.

Podczas kampanii w 2022 r. lider Chegi w swoim haśle „Bóg, ojczyzna, rodzina i praca” wprost nawiązywał do słów Salazara. Antropolog Miguel Moniz uważa, że najbliższy czas wymaga czujności, bo demokracja w Portugalii jest wciąż dość młoda.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Wybierz swoją prenumeratę

TYGODNIK
POWSZECHNY

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta na prenumeratę Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy
udziela Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej
przez internet pomocy udziela Mateusz
Chmielowski w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem
e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
■ Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
■ Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
■ Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Suwerenni dzięki Wam

Suwerenni dzięki Wam – to hasło towarzyszy „Tygodnikowi” od dłuższego czasu. Oznacza tyle, że przetrwanie pisma zależy od jego Czytelniczek i Czytelników, a nie od widzimisię władzy politycznej czy kapitałowej. Zalety takiej sytuacji są obopólne: Państwo macie pewność, że publikacje „Tygodnika” są niezależne,

redakcja natomiast ma możliwość pisania obiektywnego i o sprawach najważniejszych.

Misja „Tygodnika”

Każda osoba prenumerująca nasze pismo wspiera realizację naszej misji: Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość

z różnych perspektyw. Nasze publikacje i działania poszerzają horyzonty myślenia i wolności. Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną. Ważny jest dla nas wzajemny szacunek i otwartość – nie zamykamy się na żadną ze stron dialogu. **Wierzimy, że świat da się naprawić.**

PARTNER MARKETINGOWY

SALESi|manago
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ELIZA

Kącka: Wanna Witolda



POCIĄG Z RADOMIA DO WARSZAWY. Siedzę z torbą gratisową z Muzeum Witolda Gombrowicza. Przygląda się gość z grubsza sześćdziesięcioletni. W końcu zagaja: „Był taki pisarz, nie?” „Aha”. „To co oni tam zbierają?

Książki?”. „Rzeczy po pisarzu...”. „A one są wyjątkowe jakieś?”. „No wie pan, jeśli dla kogoś ten pisarz jest wyjątkowy, to tak”. Pauza. Przetrawia. „To jakieś niesmaczne”. Znów pauza. „Ja to lubiłem kiedyś chodzić do muzeum na sztukę”. „Aha”. „Jak chłopcy byli mali. Obrazy zrobić, rzeźbę. Militaria najlepiej. Co po takim pisarzu zostaje?”. „Rękopis...”. „I to się zbiera?”. „Pewnie”. „Ale już po przeczytaniu?”. Patrzy niedowierzająco. „Ale są tam atrakcje?”. „Wanna Witolda” – uśmiecham się. „?!”. „Siedziała w niej”. „Na golasa?!”. „W ubraniu”. „Jeszcze lepiej”.

INSTYTUT ONKOLOGII, PIĘTRO SKÓRNE. CZEKAMY POD DYŻURKĄ. Gość po pięćdziesiątce denerwuje się, krąży. Podchodzi do okien: „Widziała pani to?”. „Co?”. „Ten widok nie udaje”. Faktycznie, martwa panorama. Wychodzi doktor, zaczepnie: „O, a mieli państwo mnie już nie odwiedzać”. Gość: „Niech się tak doktor nie cieszy”. „Nie cieszę się, tylko żartuję”. „Co za różnica”. Doktor wskazuje w głąb korytarza: „Widzi pan, co tam stoi?”. „Złożone parawany chyba...”. „Kiedy żartuję, roztawiam parawan”. Uśmiechnął się, dodał: „A cieszył to się będę, jak pan już tutaj nie wróci”.

PROTEST ROLNIKÓW W WARSZAWIE, TŁUMY W CENTRUM. Objazd, ja w autobusie 503. Na przystanku przy Kruczej wskazuje gość. Do mnie: „Psze pani, to sejmowy?”. „?”. „Autobus sejmowy”. „U, nie chyba”. „Pani też nietutejsza?”. „Tutejsza, ale nie znam”. „Chłopaki mówili, że w Warszawie coś jeździ na sejm”. „Coś owszem, ale jedziemy w drugą stronę”. Zmartwił się: „To ja muszę teraz wyjść”. Poszedł do kierowcy, wraca: „Powiedział, że mnie tu nie wypuści”. „Na środku ulicy nie może”. Spojrzał z wyrzutem: „Tutejsza pani jest?”. Usiadł, na głos do siebie: „Ja tu hałasować przyjechał, a nie grać dupę w sejmowym”.

PAŁAC STASZICA, NOWY ŚWIAT, SIEDZĘ W HOLU. Po drugiej stronie, przy szatni, kłębi się wycieczka szkolna. Wczesna podstawówka, maluchy. Podchodzę bliżej, by zostawić plecak. Przy stoliku naradza się dwójka. Chłopiec w okragłych okularkach: „Masz pieniądze?”. Dziewczynka we włóczkowej pilotce: „Mam, ale mało. A co?”. „Szkoda, że nie możemy stąd iść na pizzę. Tam obok jest pizza”. „Teraz chcesz iść? Babka nas nie puści”. „Ja bym uciekł, jakbyś miała dużo pie-

niędzy”. Ona tonem znawcy: „Musimy szybko skończyć szkołę i zarobić”. „Matka ci nie da wcześniej?”. „Nie, powiedziała, że pracuje w kulturze”. Podchodzi do nich, powłócząc, chłopiec z apatycznie rozpiętym plecakiem: „E, a na co myśmy tu przyszli?”. Dziewczynka ze wstrętem: „Na »Małą Syrenkę«”. Mały rezygnacyjnie: „Za kogo oni nas mają...”.

„MAMAAA, JAJKA SĄ KATOLICKIE?”. „Y?”. „BO MUSZĘ WYBRAĆ symbole katolickie”. „A co masz do wyboru?”. „Mam zając, jajo, baranka, palmę...”. „No to wszystkie poza zającem”. „A dlaczego?”. „Zając jest laicki”. „Ale dlaczego?”. „Bo go nie wkładasz do święconki”. „A to kielbasa jest katolicka?”. „Słuchaj, poświęcić możesz wszystko”. „No, ale powiedziałaś...”. „Bo się o symbol pytasz. A co symbolizuje jajko?”. „Niespodziankę?”. „Boże! Życie”. „A przed Jezusem były jajka?”. „Przed Jezusem nic nie było!”. „To co jedli na Wielkanoc?”.

DWÓCH STARSZYCH W 168. PIERWSZY: „JA BYM POWIEDZIAŁ tak: jak ktoś jest ateista, niech sobie pochodzi od małpy”. Drugi: „A jak nie?”. „Ja tam pochodzę od Boga”. „Ale rozumiesz, Wiesiu, mnie uczyli, że albo tak, albo tak”. „Eetam”. „A ja myślę, że jest tak i tak”. „W jakim sensie?”. „Ateiści pochodzą w Polsce od małpy, wierzący od Boga. I tak się możemy pogodzić”. „Niekoniecznie”. „Co masz do tego?”. „Nic szczególnego”. „Bo ja mam do tego, że są ludzie, którzy ni tak, ni tak nie pasują”. „Eee, oni pewnie pochodzą od Żyda”.

BIBLIOTEKA NARODOWA. SIEDZĘ SOBIE W SALI IZOLOWANEJ, na końcu sal zalecających się łatwym dostępem. Mało ludzi, czytam sobie. Od jakiegoś czasu krąży tu gość ze słuchawkami w uszach. Staje przy półkach, przesuwa się, namierza. Staje za mną: „Ma pani więcej o dwa zdania”. „To pan już tu był?”. „Pół godziny temu. Za pół znów zajrzę”. „Aha”. „Skoro panią to mobilizuje”.

OJCIEC, SCHOROWANY I NIEPEWNY SWEGO, ZAGŁĄDA mi przez ramię: „Nie męcz się, córeczko”. „Nie męczę się, tato”. „Wiesz, ja wielu rzeczy nie pamiętam, ale myślę, że najważniejsze jest, byś się nie męczyła”. „W jakim sensie?”. „Nie wiem. Pamiętam różne problemy, czasem i śmierci. Siostry lepiej to kontrolują. Ja nic nie pamiętam, w swojej sprawie też. Ja bym tylko chciał, żebyś się nie męczyła”. „Dobrze, tato”. „Wiesz, zawsze widziałem, że próbujesz być mądra. Ja się nie przeciwstawiłem. Ale twoje dziecko ma szczególne potrzeby, rozumiesz? My cię zawsze będziemy wspierać”. „Tak, tato”. „Wiesz, mam ubytki pamięci, podobno bardzo duże. A dziecko ma inne kłopoty. Chcę ci tylko powiedzieć, że my wszyscy sobie poradzimy. Nie musimy nic pamiętać, rozumiesz? Chyba w szkole ich nie sprawdzają pod tym kątem?”. „Cośkolwiek sprawdzają, tato, ale dajmy spokój”. „Wiesz, obserwuję, ale nie rozumiem Warszawy. Chcę powiedzieć, że nie nic nie rozumiem, bo jestem chory, ale jestem po twojej stronie”. „Tak, tato”. „Wszyscy jesteście ułomni, to mi dała choroba”. „I dobrze”. ©



FOT.1



FOT.2

HISTORIA

MIEJSCE PO, MIEJSCE BEZ

„Tej przestrzeni trzeba się uważnie przyglądać, by usłyszeć jej opowieść”
– mówią muzealnicy. Pomóc ma w tym wystawa plenerowa,
pierwszy z punktów nowego etapu upamiętniania
niemieckiego obozu KL Płaszów.

TEKST PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI | ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA

NIEPOZORNY JEST NAWET TEN JEDYNY w pełni zachowany budynek, który wszystko pamięta.

– Cegła, wapień z kamieniołomów pobliskich Krzemionek, kwadratowa szara bryła i trzy kondygnacje. Niewiele się zmienił, odkąd został w 1925 r. oddany do użytku jako część infrastruktury cmentarza żydowskiego, a później spełniał funkcję budynku administracyjnego obozu – zadziera głowę Marta Śmietana, kierowniczka Działu Muzealnego Muzeum KL Płaszów.

Jest początek marca, siąpi chłodny deszcz. Marta Śmietana okutana jest w kurtkę przeciwdeszczową i ukryta pod kapturem.

Stoimy przed Szarym Domem: zachowanym do dziś budynkiem niemieckiego obozu pracy, a później obozu koncentracyjnego. Cztery kilometry od krakowskiego Rynku Głównego. Dwa od placu

Zgody (dziś Bohaterów Getta), z którego niemal dokładnie 81 lat temu przyszło tu – ulicami Lwowską, Limanowskiego, Wielicką i przebiegającą tuż obok nas Abrahama – osiem tysięcy Żydów ze zlikwidowanego getta. Siedemset metrów od stacji kolejowej Kraków Płaszów, której obóz zawdzięcza nazwę (choć znajdował się w granicach Podgórze i Woli Duchackiej).

SUBTELNE ŚLADY | – Stojąc przed Szarym Domem, jesteśmy tak naprawdę w centrum byłego obozu, tzn. w miejscu, gdzie krzyżują się trzy jego strefy – mówi Marta Śmietana. – Po prawej, gdzie teraz są bloki i słychać gwar życia, była część administracyjno-mieszkalna dla załogi obozu. Po lewej, gdzie rozciąga się duży, wznoszący się łagodnie ku górze teren zielony, znajdowała się część warsztatowa, a na wprost niej ta najważniejsza, dla więźniów. **FOT.1**

Razem z Martą Śmietaną pójdziemy głównie przez teren tej ostatniej strefy.

Przewodniczka jest w takich miejscach potrzebna. Nie zobaczymy przecież pozostałości baraków, szpitala, latryny, łaźni, odwyszalni, budynku kwarantanny czy szczotkarni. Ani innych wyraźnych oznak stojących tu w latach wojny (dokładnie od końca 1942 roku do jesieni 1944) ok. 200 budynków na przestrzeni ponad 80 hektarów. Skazani będziemy na subtelne ślady.

Mowa wszak o obozie, przez który przeszło 35 tys. ludzi, który pochłonął ok. 6 tys. z nich (głównie Żydów, ale też Polaków, Romów i przedstawicieli innych narodowości), którego pozostałości zostały niemal starte z powierzchni ziemi. I który długo – nie licząc pojedynczych elementów, jak gigantyczny Pomnik Ofiar Faszyzmu, widoczny z ruchliwej krakowskiej arterii ul. Kamieńskiego – nie był zbyt upamiętniany.



FOT. 4



FOT. 3

W ostatnich latach prace na jego terenie przyspieszyły.

SPECYFIKA MIEJSCA | Ruszamy łagodnym wzgórzem, które prowadzi do dawnej części więziennej. Po prawej mijamy betonowe pozostałości po domu przedpogrzebowym, który Niemcy wysadzili w czasie budowy obozowej linii kolejowej. Te gigantyczne kamienie to i tak – jak na to miejsce – wyraźne i dotykalne ślady przedobozowego i obozowego pejzażu. **FOT. 2**

Bo już o tym, że idąc po trawie, poruszamy się po terenie cmentarza żydowskiego, trzeba wiedzieć. – Dopóki pozostają tu ludzkie szczątki, teren ten zgodnie z zasadami judaizmu jest nekropolią – mówi przewodniczka.

Skrzyżowanie codziennego życia i dramatycznej przeszłości to specyfika tego miejsca: z jednej strony wielki i bujny teren zielony, z beztrudno przechadzającymi się rodzinami i hasającymi psami, a z drugiej historia.

Gdy wspina się stokiem byłej części obozowej, Marta Śmietana zwraca mi uwagę, że przed momentem minęliśmy wystający z darni fragment nagrobka: – Prócz tak widocznych śladów ziemia poobozowa wciąż pracuje, odsłaniając co i rusz elementy znajdujące się wcześniej tuż pod powierzchnią. **FOT. 3**

Obóz powstawał na terenie dwóch stykających się nekropoli: tzw. nowego cmentarza żydowskiej gminy krakowskiej (powołanego w latach 30. XX w.)

i starszego, należącego do gminy Podgórze (wiek XIX).

– Baraki budowano wprost na czasami jeszcze świeżych nagrobkach – mówi Marta Śmietana. – Więźniom zdarzało się mówić: „Nam, żywym, kazano mieszkać na cmentarzu. A z cmentarza się nie wraca”.

ŻYDZI I POLACY | W ten sposób obszar KL Płaszów połączył Żydów zmarłych przed wojną z tymi, którzy stracili życie w jej trakcie. „Teren obozu jest wielkim cmentarzyskiem, na którym rozsiano popioły kilku tysięcy ofiar – pisze Ryszard Kotarba w wydanej w 2016 r. przez IPN książce „Niemiecki obóz w Płaszowie 1942-1945”. – Tu w pewnym stopniu dopełniły się losy krakowskich Żydów, tu trafili w większości po likwidacji getta, tu ginęli w egzekucjach, w wyniku chorób i przymusowej pracy. To również cmentarz ponad 2 tysięcy Polaków, zarówno więźniów obozu, jak i przywożonych przez Gestapo osób skazanych na śmierć”.

Gdy docieramy do tej części byłego obozu, gdzie w lipcu 1943 r. stanęły baraki dla polskich więźniów „obozu pracy wychowawczej”, Marta Śmietana zwraca mi uwagę na inny szczegół: – Spadek terenu, po którym się wspinaliśmy, jest w jednym miejscu wyraźnie przełamany podłużnym wypłaszczeniem. To pozostałość po jednym z baraków. Dlatego trzeba się uważnie przyglądać przestrzeni byłego obozu, by usłyszeć jej opowieść.

Pomóc w tym ma otwarta 15 marca wystawa plenerowa. Składa się m.in. z czterestu tablic i oddaje głos byłym więźniom. **FOT. 4**

TABLICE | Ich historię można by zacząć i równocześnie skończyć nieopodal tego wypłaszczenia – przed placem apelowym o powierzchni ponad sto na sto metrów (kiedyś był otoczony barakami, teraz jego granice wyznacza opaska usypana z jasnego żwiru).

Zacząć, bo w tym miejscu odbywała się, w jednym z sąsiadujących z placem budynków, kwarantanna nowo przybyłych. Skończyć, bo plac służył egzekucjom i selekcjom.

„Rano zaprowadzili nas do łaźni i na *Entlausung* [odwyszawianie – red.]. Stamtąd wyprowadzono nas w jednej sukni i jednej bieliznie. Resztę nam zabrano” – wspomina Lieba Tiefenbrun na jednej z wystawowych tablic („05 Kwarantanna”), umieszczonej tuż przy placu.

– Lieba Tiefenbrun opowiada o kolejnej utracie całego swojego świata – mówi Marta Śmietana, gdy stoimy przy tablicy. – Kolejnej, bo przecież wcześniej zostali wypędzeni ze swojego domu i pognani do getta, a później również z tego getta zostali wyrzuceni. Na miejscu, właśnie w budynku kwarantanny, odebrano im wszystko poza tą jedną suknią i bielizną.

Plac apelowy, dowiemy się z innej tablicy, sąsiadował z jednej strony →

→ z barakami więźniów polskich, z drugiej – żydowskich. **FOT.5**

„Najgorsze były apele dwa razy dziennie – przeczytamy we wspomnieniu Haliny Schütz. – Stanie na placu po trzy godziny, stawanie o 4-tej rano i inne takie szykany. W tym czasie byłam świadkiem wieszania młodego, 16-letniego chłopca za śpiewanie przy pracy rosyjskiej piosenki ludowej »Czubczyk«. Wieszali go trzy razy, bo dwa razy zerwał się sznur, i wszyscy zgromadzeni na placu musieliśmy na to patrzeć”.

WIZUALIZACJE | Plac apelowy to też miejsce pamiętające bodaj najtragiczniejsze zdarzenie w historii obozu: 7 maja 1944 r., w związku z planowanym przybyciem tu transportu węgierskich Żydów, odbył się tzw. apel zdrowotny. „Przed komisją SS przemaszerowali nago wszyscy więźniowie, a naczelnny lekarz dr Blancke oceniał ich dalszą przydatność do pracy i prawo do życia. W tydzień później odtransportowano do KL Auschwitz 1,5 tysiąca ludzi, gdzie zostali natychmiast zamordowani. Na śmierć wysłano przy tym prawie wszystkie małe dzieci” – pisze Ryszard Kotarba.

Nie więcej niż sto metrów od placu apelowego Marta Śmietana pokazuje mi kolejną z tablic („06 Masowy grób”): miejsce zbiorowego pochówku i pierwszy obozowy punkt egzekucji. Tu chowano Żydów mordowanych podczas likwidacji getta, tu spoczywają szczątki więźniów obozu. Masowe mogiły przekopywano koparkami, zwanymi bagrami.

„Raz wieczorem nagły apel. Strach. Obóz obiega wieść, że mają dziesiątkować. Rozstrzelano siedmiu za to, że jeden usiłował zbiec. Pochowano ich pod bagrem. Utarło się powiedzenie: »Jak coś przeszkrobiesz, pójdziesz pod bagier«” – wspomina w świadectwie na tablicy Mojżesz Teller.

Marta Śmietana: – Na większości tablic są, poza tekstem kuratorskim i fragmentami relacji, historyczne zdjęcia wykonane w latach 1943-44, pokazujące teren w czasach działania obozu. W przypadku trzech tablic informujących o miejscach pochówków wykorzystujemy współczesną technologię: wizualizację tzw. pochodnych numerycznego modelu terenu, na której widać masowe groby. **FOT.6**

Kilkanaście, może kilkadziesiąt metrów za tablicą – podobnie jak w przypadku czternastu innych – widać niepozorną przestrzeń, do której tablica odsyła: poza ziemią, trawą, огоłoconymi jeszcze w marcu zaroślami, tylko betonowe znaczniki.

– Miejsce byłego niemieckiego obozu KL Plaszow jest niezwykle również z tego powodu, że daje tyle przestrzeni na własne doświadczenie, własne wyobrażenie i zadumę – mówi Marta Śmietana.

NIENACHALNOŚĆ | Nie inaczej będzie kilkadziesiąt metrów dalej.

„Na prawo od górnej drogi za ogrodzeniem stały kobiece baraki. Pomiedzy blokami chodziły dzieci wypuszczone z Kinderheimu [baraku dla dzieci – red.], ozywając pustawe uliczki międzyblokowe;

niektóre stały w gromadkach przy bramie, wypatrując ojców. Gdy ci podchodzili, rzucały już z daleka okrzyki pozdrowienia. Ojcowie wchodzili za bramę i przyklękając, obejmowali małeństwa” – czytamy we wspomnieniu Tadeusza Śliwińskiego (tablica „03 Baraki mieszkalne”). **FOT.7**

Tuż za nią wchodzimy na schody wysypane jasnym żwirem. Po minucie dostrzemy nimi do miejsca, w którym mieścił się Kinderheim. **FOT.8**

– Tu także pozostałości są minimalne. Gdy się pan uważnie przyjrzy, zobaczy kolejne wyrównanie terenu, które za miesiąc, dwa zniknie pod bujną wiosenną roślinnością – mówi Marta Śmietana. – Pytanie, jak dyskrecja i nienachalność tego miejsca wpływa na emocje zwiedzających. Znam takich, których ledwo dostrzegalna niwelacja terenu porusza bardziej niż coś bardziej namacalnego i czystego.

POD STOPAMI | Historię namacalną ujrzemy nieopodal – wracając schodami do głównej ścieżki.

W jednym z trzech tzw. okien archeologicznych (zabezpieczonych reliktyw poobozowych, w które zwiedzający mają wgląd przez szyby) zobaczymy fragment zrobionego przez Niemców z macew chodnika prowadzącego do jednego z baraków.

– To odkrycie zostało dokonane podczas wykopalisk realizowanych na rezerwie gruntowej cmentarza, pod nadzorem komisji rabinicznej – mówi Marta Śmietana. – Podobne prace po-

FOT.5



FOT.6



zwoliły nam też wydobyć spod ziemi niezwykle dla nas cenne przedmioty, pozostałości po więźniach: miseczki, sztuczce, fragmenty taniej biżuterii itd. To świat, który tam nadal jest, kilkadziesiąt centymetrów pod naszymi stopami.

Idąc łukiem blisko południowej granicy obozu, będziemy musieli sobie wyobrazić budynki obozowej części gospodarczej: magazyny, piekarnię, kuchnię, latryny, pralnie.

Dalej miniemy wspomniany Pomnik Ofiar Faszyzmu, stojący w miejscu masowych straceń. A później, idąc już wschodnią flanką obozu, miniemy jego część przemysłową. Więźniowie pracowali w warsztatach, przy rozbudowie obozu, w kamieniołomach, przy kopaniu zbiorników przeciwpożarowych; niektórzy wychodzili do pracy poza obóz.

CZAS NIEPAMIĘCI | I tak wracamy przed Szary Dom. Jego budynek opowiada też historię poobozową.

Niemcy opuścili KL Plaszow 14 stycznia 1945 r., wcześniej demontując budynki i wysyłając więźniów do obozów na terenie III Rzeszy.

– Na piwnicznych ścianach zachowały się inskrypcje i napisy – mówi Marta Śmietana. – Przy bliższym przyjrzeniu się zobaczymy, że zostały stworzone cyrylicą. Pozostawili je najpewniej sowieccy żołnierze, umieszczani w piwnicach prawdopodobnie za wykroczenia między styczniem a październikiem 1945 r., gdy stacjonowały w Krakowie jednostki Armii Czerwonej.



Marta Śmietana, kierowniczka Działu Muzealnego Muzeum KL Plaszow

Dalsza historia byłego już obozu KL Plaszow to w dużej mierze historia niepamięci.

„Poczynania komunistycznych władz nie uwzględniały szczególnego charakteru tego miejsca, teren obozu w znacznej części został zajęty pod budownictwo mieszkaniowe i inwestycje miejskie. Dziś znacznie okrojony obszar pozostaje nadal opuszczony, skąpo oznakowany i dość zaniedbany mimo postępujących prac porządkowych” – pisał jeszcze w 2016 r. Ryszard Kotarba.

AUTENTYZM | Ostatnie lata to już nowe porządki. Choć z konfliktami w tle – przeciw zbyt inżynierii w teren protestowali i ekolodzy, i okoliczni mieszkańcy.

W 2017 r. na terenie obozu stanęła pierwsza wystawa plenerowa, przygotowana przez Muzeum Krakowa. W 2021 r.

powołano Muzeum KL Plaszow, przed którym postawiono m.in. zadanie uczynienia miejsca pamięci. Oznaczono granice cmentarzy i placu apelowego. Wymieniono nawierzchnie dróg i ścieżek. Wreszcie powstała wystawa plenerowa, a w bliskich planach jest m.in. budowa nowego budynku muzealnego, Memoriału i udostępnienie w nim wystawy stałej „KL Plaszow. Miejsce po, miejsce bez”, której druga odsłona mieścić się będzie w Szarym Domu.

– Pierwszy projekt architektoniczny zmian powstał jeszcze w 2007 r. – przypomina Marta Śmietana. – Zgodnie z nim teren miał być otoczony świecącymi pylonami, wzdłuż głównej drogi obozowej miała być kładka umożliwiająca zwiedzanie, na niej miały powstać także podświetlane, ekspozytory, w planach były też obrazy baraków.

W międzyczasie jednak, dodaje przewodniczka, zmieniło się postrzeganie roli przestrzeni poobozowych: zaczęto stawiać na zastany na danym terenie autentyzm, na uczynienie, a nie ingerowanie w przestrzeń.

Marta Śmietana: – Istniejący projekt został zmodyfikowany, a oddany do użytku 15 marca teren poobozowy jest efektem wspólnej pracy muzealników i projektantów. Nie próbujemy wskrzeszać tego, co minęło, tylko dodajemy historyczny komunikat i zostawiamy przestrzeń zwiedzającym. To miejsce ma być nie tylko świadectwem końca, miejscem „po” i „bez”, ale też początkiem naszej refleksji.

© P PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

FOT. 7



FOT. 8



GDY ARKTYKA STRACI LÓD

Polarna północ ociepla się czterokrotnie szybciej, niż wynosi średnia dla całego globu.

A zmiany, które dotkną ten region, wpłyną na nas wszystkich.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI Z TROMSØ

TROMSØ NIE WYGLĄDA TAK, JAK MOŻNA by sobie wyobrazić miasto położone aż 300 km na północ od koła podbiegunowego. To nie kolorowe chatki i drewniane domki z pocztówek ze Świętym Mikołajem, a minimetropolia pełna szklanych biurowców i wielkich hoteli, wyrosłych wokół tętniącego życiem portu, który nie zamarza nawet w środku zimy.

– Tromsø żyje dzięki Golsztromowi, on daje nam port, drzewa i normalne warunki do życia – mówi Krista, właścicielka lokalnego sklepu z ręcznie robioną ceramiką. – Jednak czegoś takiego nikt się tutaj nie spodziewał – dodaje.

Chodzi jej o zdecydowanie niearktyczną pogodę, jaka zapanowała na dalekiej Północy. Zaledwie kilka dni po zakończeniu zimowej nocy, kiedy słońce raczyło pojawiać się nad horyzontem przez zaledwie 2-3 godziny, miasto i otaczające je fiordy wyglądały jak marcowa Polska. Zamiast normalnych o tej porze roku 20-stopniowych mrozów termometry w „stolicy Arktyki” wskazywały kilka stopni powyżej zera. A goście, którzy przybyli na organizowaną tam konferencję „Arctic Frontiers”, często pierwsze kroki kierowali do sklepów sprzedających kolce na buty, by poradzić sobie z koszmarną gołoledzią tworzoną przez spływającą wodę.

Wiosenna pogoda w arktycznym styczniu coraz rzadziej budzi jednak zaskoczenie. Tromsø, podobnie jak reszta Arktyki, zmienia się w błyskawicznym tempie. A zmiany, jakich doświadcza polarny region, wpłyną na nas wszystkich. Zarówno przez pogodę, jak i tektoniczne przesunięcia w geopolityce.

Najcieplejszy wrzesień

„Arctic Frontiers”, konferencja organizowana w Tromsø od 2013 r., ma być jednym z głównych forów, na których naukowcy, działacze, politycy i wojskowi rozmawiają o problemach, wyzwaniach i przyszłości Arktyki.

W tym roku konferencja była inna niż zwykle. I to nie tylko ze względu na wiosenną pogodę, jaka nawiedziła zimą północne fiordy. Od 2022 r. naukowa, gospodarcza i polityczna współpraca państw arktycznych została niemal zamrożona, bo kraj, który kontroluje połowę tego regionu, został uznany za międzynarodowego wyrzutka.

Choć w Tromsø w tym roku pojawili się przedstawiciele Chin, Indii czy Korei Płd., Rosjan nie było tam niemal wcale.

A kwestia rosyjska – zarówno w wymiarze geopolitycznym, jak i naukowym – może być kluczowa dla przyszłości regionu.

Arktyka przeobraża się szybciej niż jakiegokolwiek inne miejsce na Ziemi. Opublikowane w 2022 r. badanie międzynarodowego zespołu pod kierunkiem Miki Rantanena z Fińskiego Instytutu Meteorologicznego wskazuje, że tempo jej ocieplania w ciągu ostatnich 43 lat było czterokrotnie szybsze niż średni wzrost temperatur na naszej planecie.



Skutkiem są dramatyczne przemiany tego osobliwego regionu. Muzeum Polarnictwa w Tromsø zawiera bezcenne pamiątki po pierwszych wyprawach w stronę bieguna północnego. Kajak, którym Fridtjof Nansen wracał z pierwszej, nieudanej próby zdobycia bieguna północnego w 1895 r. Dzienniki i mapy dokumentujące polarne ekspedycje Nansena i Roalda Amundsena. A nawet wypchanego psa, który stanowił część zespołu ciągnącego sanie tego ostatniego w stronę bieguna południowego.

Wkrótce jednak wyprawy na biegun północny mogą okazać się o wiele mniej dramatyczne. Tam, gdzie Nansen i Amundsen przebijali się na północ przez bezkres powyginanej, stale przemieszczającej się kry, polarnicy napotkają granatowe morze.

Wielkość kry lodowej spowijającej Arktykę zależy od pory roku, a najniższą wartość osiąga na koniec lata – we wrześniu. Wielosezonowe dane pokazują, że co roku średnia powierzchnia arktycznego lodu (obecnie w szczycie zimy to ok. 15 mln km kwadratowych) zmniejsza się o 12 proc. Dotychczasowe prognozy głosiły, że do całkowitego zniknięcia lodu we wrześniu nie dojdzie przez co najmniej 40 lat. Jednak z badań opublikowanych przez Alexandrę Jahn z Uniwersytetu Kolorado i współpracowników wynika, że kilka wolnych od lodu dni we wrześniu może zdarzyć się w Arktyce jeszcze w tej dekadzie. W połowie wieku (między 2035 i 2067 rokiem) standardem będzie już cały miesiąc bez lodu. Długoterminowe prognozy zależą od koncentracji gazów cieplarnianych w atmosferze – jeśli ich emisje będą kontynuowane na wysokim po-

ziomie, to pod koniec stulecia Arktyka nie będzie skuta lodem od maja do stycznia. Przy ograniczeniu emisji: od sierpnia do października.

Alexandra Jahn pisze, że „ta przemiana wpłynie na całą resztę naszego życia”. I nie przesadza.

Łowiska i polityka

Arktyka to coś więcej niż tylko białe pustkowia zamieszkiwane przez renifery, niedźwiedzie polarne i białe lisy. To kluczowy element stabilizujący cały klimatyczny system Ziemi.

Ogromne, białe pustkowia działa jak wielki klimatyzator. Jaskrawa biel śniegu i lodu odbija promienie słoneczne w przestrzeń kosmiczną, przyczyniając się do obniżenia temperatury całej Ziemi. Zmiana albedo – czyli odsetka energii słonecznej odbijanej przez Ziemię w kosmos – wywołana zniknięciem polarnego lodu morskiego mogłaby spowodować przyspieszenie globalnych procesów ocieplania o nawet 25 proc.

To z kolei oznacza wzrost globalnych temperatur oraz intensywniejsze fale upałów, ale także o wiele ostrzejsze zimy w Europie i Ameryce Północnej, bo cieplarniany chaos może drastycznie zmienić kurs morskich i atmosferycznych prądów, ogrzewających nasz kontynent.

Ocieplenie Arktyki to wreszcie ogromne zagrożenie dla bioróżnorodności. I nie chodzi tu tylko o niedźwiedzie polarne, które stały się niemal maskotkami ruchów klimatycznych. Ciepłsza woda w Oceanie Arktycznym drastycznie wpływa na populacje rozmnażającego się tam zooplanktonu, co sprawia, że pożywienia zaczyna brakować i największym

mieszkańcom Arktyki, takim jak wieloryby, jak i tym zdecydowanie mniejszym, ale ważnym dla ludzkiej gospodarki. Wraz ze wzrostem temperatur wody populacje dorsza i innych odławianych gatunków ryb kurczą się i przesuwają na północ. A to prowadzi do coraz istotniejszych konfliktów o bogate, arktyczne łowiska. To właśnie dostęp do nich był jednym z czynników, które zapoczątkowały międzynarodową współpracę państw ściśle zainteresowanych losami Arktyki.

Kluczem do tej współpracy ma być Rada Arktyczna – międzynarodowe forum, powołane w 1996 r. W skład Rady wchodzi osiem państw arktycznych (od Rosji po Danię) oraz sześć organizacji rdzennych mieszkańców Arktyki. Kolejnych 35 państw i organizacji, w tym Polska, ma w Radzie status obserwatora.

Rada miała kluczowe znaczenie dla regionu, bo pozwalała zainteresowanym ustalać normy kształtujące wszystko: od rybołówstwa, po ochronę bioróżnorodności i wiecznej zmarzliny. Ale od lutego 2022 r., kiedy Rosja najechała sąsiednią Ukrainę, jej prace pozostają zamrożone.

W marcu 2022 r. funkcjonowanie Rady zostało faktycznie zawieszone. Moskwa przewodniczyła wówczas Radzie i choć minister spraw zagranicznych Rosji Siergiej Ławrow zaprosił innych członków na spotkanie organizacji na Syberii, nie stał się z nim żaden z pozostałych siedmiu uczestników.

„Na razie roczne wpłaty Rosji do budżetu Rady Arktycznej zostały zawieszone do czasu wznowienia pragmatycznych

Widok Tromsø,
300 km za Kolem Podbiegunowym



→ prac z udziałem wszystkich krajów członkowskich” – podało w tym roku moskiewskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Rzecznik Kremla Siergiej Pieskow poszedł jeszcze dalej, groząc wycofaniem kraju ze współpracy. „Jeżeli uczestnictwo w jakiejś organizacji przestanie odpowiadać interesowi Rosji... wtedy oczywiście mogą zostać podjęte specjalne decyzje” – powiedział agencji RIA Nowosti.

Podwodne kopalnie

„Nie powinniśmy zamykać tych drzwi i wyrzucać kluczy. Któregoś dnia być może zostaną ponownie otwarte, wszyscy znów znajdziemy się przy arktycznym stole” – powiedział podczas konferencji w Tromsø premier Norwegii Jonas Gahr Støre.

Norwegowie argumentują, że brak kontaktu zaszkodzi pracy naukowej, zwłaszcza związanej z wymianą danych klimatycznych. Prawie połowa Arktyki, od Cieśniny Beringa po Półwysep Kolski, znajduje się w Rosji. Rosyjskie instytucje badawcze współpracują z partnerami zachodnimi od 1993 r., odkąd Finlandia zainicjowała tzw. proces Rovaniemi, inicjatywę dotyczącą współpracy w zakresie ochrony środowiska. Inni członkowie Rady nie podzielają tego dość optymistycznego podejścia. Część z nich uważa, że Arktyka jest skazana na los kolejnego, wielkiego pola geopolitycznej rywalizacji.

Tych pół jest zresztą kilka. Od oczywistych kwestii geostrategicznych – Ocean Arktyczny od początku zimnej wojny był placem zabaw dla nuklearnych okrętów podwodnych i wyposażonych w bomby wodorowe samolotów – po kwestie logistyczne i dostęp do surowców.

Logistyczne – bo topniejąca arktyczna kora otwiera nowy sposób transportu ładunków między kontynentami. Tym cenniejszy, im bardziej zaognia się sytuacja na ostrzeliwanym przez Hutich Morzu Czerwonym. Problem w tym, że znaczna część „przejścia północnego” znajduje się na terytorium Kanady. Jej suwerenności nad szlakiem żeglugowym nie uznają jednak inne kraje, w tym Stany Zjednoczone. Według Waszyngtonu cenna trasa powinna być objęta międzynarodowym prawem swobodnego przejścia.

Dyskusja nad prawami do żeglugi jest jednak tylko drobną niesnaską w porównaniu z potencjalnymi konfliktami o dostęp do surowców, które znalazły się w zasięgu koncernów wydobywczych dzięki topnieniu arktycznych lodów. A gaz i ropa są tutaj w zasadzie najmniejszym problemem.

„Ropa i gaz nie będą już głównym tematem rozmów” – mówił w Tromsø minister spraw zagranicznych Norwegii Espen Barth Eide. „Najważniejszym tematem będzie wszystko, co wiąże się z zieloną transformacją”.

Okazuje się bowiem, że dno Oceanu Arktycznego jest bogate we wszystkie surowce potrzebne do produkcji paneli fotowoltaicznych, turbin wiatrowych czy elektrycznych samochodów. Głębiny mają obfitować w miedź, skand, kobalt, lit, magnez i metale ziem rzadkich – niezbędne dla przestawienia ludzkości na nowe, zielone tory. Większość ich złóż na lądzie skoncentrowana jest w niewielkiej liczbie państw, z których wiele jest politycznie niestabilnych. Np. jedno z największych złóż kobaltu ma objęta walikami Demokratyczna Republika Konga.

Tuż przed rozpoczęciem konferencji „Arctic Frontiers” parlament Norwegii jako pierwszy na świecie podjął więc decyzję o dopuszczeniu firm wydobywczych do prowadzenia wstępnych badań prowadzących do założenia podwodnych kopalni. Norwegowie zapewniają, że to klucz do zapewnienia bezpiecznej energetycznie przyszłości Europie i całemu światu.

Konflikt o dno

„Potrzebujemy minerałów, by zielona transformacja odniosła sukces. Żaden inny kraj nie jest w lepszej pozycji, by pozyskiwać te zasoby w sposób zrównoważony i odpowiedzialny” – pisał norweski minister ds. ropy i energii Terje Aasland.

Tyle tylko, podkreślają przyrodniczy, że nie mamy zielonego pojęcia, czy rozkopywanie morskiego dna w poszukiwaniu minerałów w ogóle da się zrobić w sposób „odpowiedzialny”. Twierdzą, że podwodne kopalnie odkrywkowe mogą zdewastować dziewicze i niemal nieznane ekosystemy, a pióropusze osadów – zanieczyszczać wody odległe o tysiące kilometrów.

Tylko w tym roku badania uczonych z Norwegii i Wielkiej Brytanii wykazały, że organizmy kolonizujące dno Morza Barentsa odgrywają znacznie ważniejszą rolę w wiązaniu atmosferycznego dwutlenku węgla niż do tej pory podejrzewano. Rozkopanie ich środowiska doprowadzi do uwolnienia ogromnej ilości gazów cieplarnianych.

„Nasze badanie pokazuje, jak mało wiemy o życiu w głębinach i jego wpływie na globalny cykl węglowy. Nie wiemy, które głębinowe obszary magazynują najwięcej węgla, nie wiemy więc, które powinny zostać w pierwszej kolejności objęte ochroną. Komercyjne wykorzystanie tych obszarów pędzi naprzód, zanim w ogóle dowiedzieliśmy się, co zniszczymy i stracimy” – pisał członek zespołu badawczego, dr David Barnes z British Antarctic Survey.

A oczywiście można założyć, że kiedy pierwszy kraj dopuści na swoim terytorium rozpoczęcie głębokomorskiego górnictwa, inne nie będą zwlekały z pójściem w jego ślady. Tylko w grudniu ubiegłego roku USA ogłosiły, że znaczna część szelfu kontynentalnego na Morzu Beringa graniczącego z Rosją należy do ich strefy ekonomicznej. Graniczne konflikty o morskie dno dopiero się rozpoczynają.

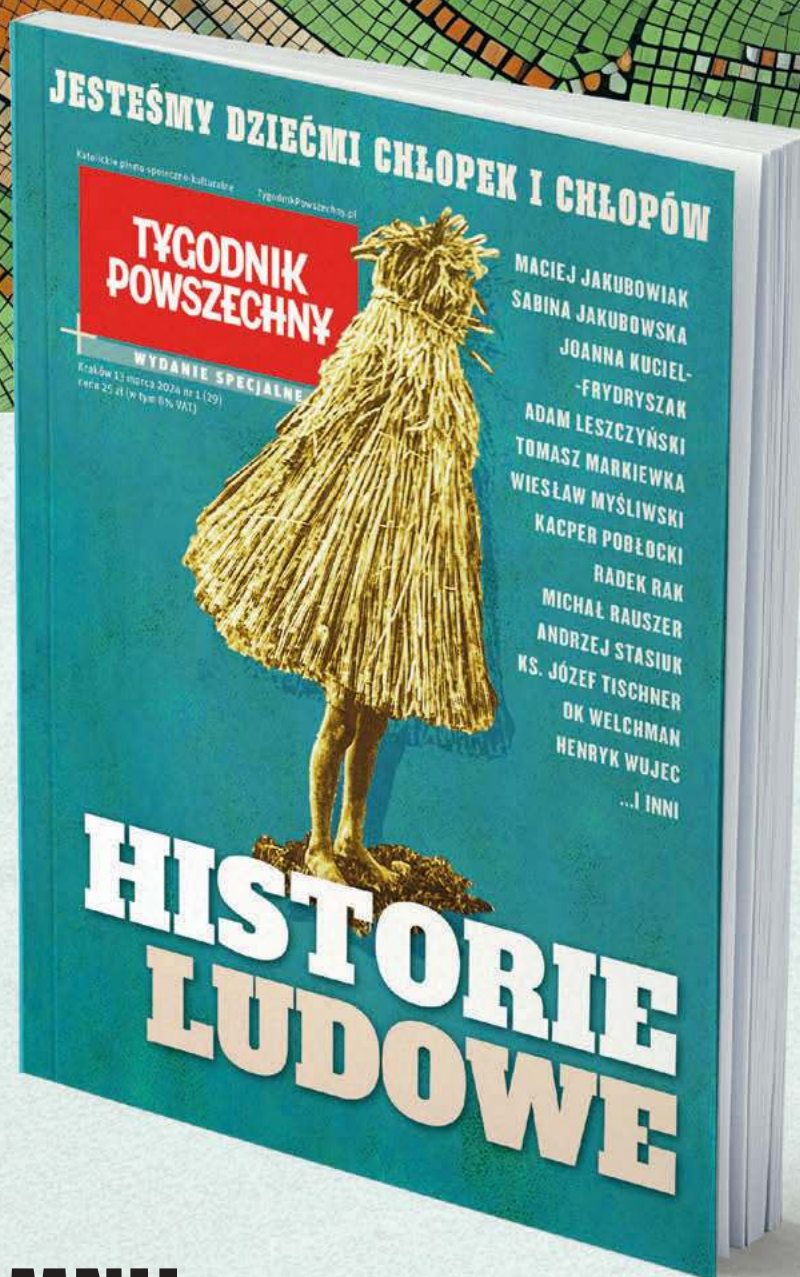
Polarna furia

Ale Arktyka ciągle ma potencjał do zaskakiwania nawet jej najpilniejszych obserwatorów. Sama konferencja w Tromsø była tego najlepszym dowodem. Po kilku dniach arktycznych upałów wybrzeża archipelagu, na którym położone jest miasto, zostały dotknięte najsilniejszym sztormem, jakiego Norwegia doświadczyła od 40 lat.

Wiatry osiągające prędkość huraganu kategorii 1 (119-153 km/h) niszczyły infrastrukturę i powalały nieliczne drzewa. Większość delegatów, którzy chcieli opuścić konferencję, musiała pozostać na miejscu, bo żaden odpowiedzialny pilot nie podjął się lądowania w targanym historycznymi wichurami Tromsø. Statki pozostały w porcie. Nie kursowały nawet autobusy.

Daleka Północ po raz kolejny pokazała, że to człowiek powinien traktować ją z szacunkiem. Jej furia i nieprzewidywalność jeszcze nie raz popsuje nawet najlepsze plany polityków, naukowców i biznesmenów.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI



ZAPOMNIJ O SIELANKACH I CEPELII

Te historie są o nas

NOWE WYDANIE SPECJALNE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” JUŻ W SPRZEDAŻY.
Szukaj w miejscach z dobrą prasą lub zamów na zamowienia@tygodnikpowszechny.pl



FRANÇOIS BERTHIER / MATERIAŁY PRASOWE KBF

Vincent Dumestre

MISTERIA PASCHALIA 2024: rekonstrukcja wrażliwości

JAKUB PUCHALSKI

Jakie wina pili mieszkańcy Amsterdamu w 1638 roku?

Czego słuchali? Spróbujemy wnikać w to doświadczenie, wykonując dawną muzykę przed obrazami, przy francuskim winie, w kameralnej atmosferze. Zapraszamy do Krakowa.

Ideę i program krakowskiego święta muzyki dawnej ułożył w tym roku Vincent Dumestre, szef zespołu Le Poème Harmonique. Ma on swoistą markę: nie tylko wykonuje muzykę sprzed trzech lub czterech wieków, lecz także dobiera do niej konteksty i stara się ją prezentować w konkretnej tradycji. I tym razem postanowił dać publiczności możliwość prawdziwego zanurzenia w przeszłości.

– To świetny festiwal. Co zamierzam do niego wnieść? Postanowiłem rozszerzyć jego zakres, wprowadzając nurty IN i OFF. Z jednej strony są więc wielkie koncerty, wybitni artyści, słynne dzieła. Wykonamy „Pasję według świętego Jana” Bacha, ale także „Missa Mater Matris” Josquina des Prés [sporządzoną w Krakowie wersję „Missa Mater Patris” – przyp. red.] i „Nieszpory” Monteverdiego – opowiada nam szef artystyczny imprezy, którego kadencja potrwa do roku 2026. Francuski dyrygent zna krakowską publiczność i Misteria Paschalia od 15 lat, jest regularnym bywalcem festiwalu. Istotne jest dla niego, jak podkreśla, łączenie dziedzictwa niematerialnego, czyli muzyki, z dziedzictwem materialnym, czyli architekturą.

– Zawsze się o to staram. Kraków daje pod tym względem fantastyczne możliwości – chwali Dumestre, który wstawił się niegdyś rekonstrukcją barokowych spektakli na podstawie dramatów Molière’a: nie tylko muzyczną, ale i sceniczną (w reżyserii Benjamina Lazara).

W historycznym, neobarokowym przecież krakowskim Teatrze im. Słowackiego mieliśmy wówczas okazję oglądać komedię „Mieszczanin szlachcicem” – całość idealnie osadzona w naturalnym kontekście zrobiła ogromne wrażenie.

– W tym roku publiczność usłyszy Josquina des Prés w katedrze wawelskiej, 500 lat po wykonaniu utworu w tym samym miejscu. Jest to naprawdę coś bardzo specjalnego, ponieważ pozwala ludziom nie tylko słuchać muzyki, ale także wejść w historię. A my chcemy wczuć się w historię. To jak spełnianie marzenia, by przenieść się do przeszłości. Usłyszenie muzyki w miejscu, w którym była wykonywana pół tysiąca lat temu, jest czymś fantastycznym.

Inną koncepcją jest połączenie dziedzictwa materialnego i niematerialnego z wykorzystaniem renowacji ołtarza Wita Stwosza, która została ukończona dwa lata temu.

– My przecież także zajmujemy się renowacją, tyle że utworów muzycznych – mówi Dumestre. – Monteverdi dyrygował różnymi niezsporami przez całe swoje życie, ale ta muzyka się niestety nie zachowała. W zbiorze „Selva morale” mamy psalmy zredagowane przez Monteverdiego, które są inne niż w znanych „Nieszporach” z 1610 roku [czyli z początków jego weneckiej kariery – przyp. red.]. Jest to więc materiał do zaproponowania dzisiejszym słuchaczom: „Nieszpory” późnego Monteverdiego, z czasów jego śmierci. Myślę, że to naprawdę nadzwyczajna dla publiczności paralela: w obecności odrestaurowanego dzieła sztuki słuchać również odrestaurowanego dzieła muzycznego.

Tak zatem wyglądają mają *grands concerts*. A co będzie „offową” częścią festiwalu?



PRISKA KETTERER / MATERIAŁY PRASOWE KBF

Arianna Savall i Petter Udland Johansen

– Inny sposób obcowania z muzyką – bardzo ważna sprawa. Zgodnie z tradycją przychodzimy na koncert, siadamy i przez półtorej godziny słuchamy koncertu w dwóch częściach. Oczywiście potrzebujemy tego. Ale myślę, że dzisiejsza publiczność musi doświadczać muzyki też w inny sposób. Słuchacze potrzebują pomocy. Potrzebują, abyśmy wzięli ich za rękę i wyjaśnili im pewne sprawy. Zaproponowałem więc *listening keys*, „klucze do słuchania”: spotkania, w których muzyk gra fragmenty zaplanowanego utworu i wyjaśnia, dlaczego został skomponowany w taki, a nie inny sposób, jako jest jego idea. Przedstawia historię dzieła – mówi nam Dumestre. – Poza tym chciałem oczywiście, żeby w Pałacu Potockich przy Rynku można było pokazać szerokiej publiczności, również dzieciom, melomanom, muzykom, klawesynistom, najróżniejsze instrumenty klawiszowe.

Z Belgii, Francji, Paryża, Rouen sprowadzono około 30 instrumentów: klawikordów, klawesynów, wirginałów, pianoforte. – Zamierzamy ustawić je tutaj, aby pokazać publiczności piękno tych instrumentów, specyfikę każdego z nich, tak aby ludzie mogli zrozumieć muzykę – mówi Dumestre.

Każdego dnia będzie koncertował inny artysta, grając połowę koncertu na jednym instrumencie, a połowę na drugim, dostosowując repertuar do każdego instrumentu. Ponieważ inspiracją są stulecia XVI, XVII i XVIII, przez trzy dni zobaczymy całą gamę barokowych instrumentów klawiszowych. Do tego będzie można wziąć udział w warsztatach, wykładach na temat tworzenia instrumentów, zobaczyć prezentacje.

– Chcemy dostarczyć dzisiejszej publiczności słownictwa, by była w stanie rozmawiać o muzyce. Musi więc ją rozumieć.

Ten pomysł nie wyczerpuje jednak tematu wejścia w historyczny kontekst. Szczególnym pomysłem są koncerty na zamku wawelskim i w Muzeum Czartoryskich, opowiada szef festiwalu.

– Na Wawelu, podobnie jak u Czartoryskich, muzyka wiąże się z obrazami. Co więcej, u Czartoryskich publiczność doświadczy prawdziwej artystycznej immersji. Otóż kiedy widzisz obraz, wszystko, czego potrzebujesz, to twoje oczy i rozum. Oczami widzisz obraz, rozumem pojmujesz. A ja uważam – opowiada Dumestre – że można podejść do obrazu z pomocą innych środków, takich jak muzyka i wino. Zupełnie zapominamy przecież, że Leonardo słuchał frottole Tromboncina. To niesamowite, że w praktyce są to dwa odrębne światy, trzeba je na nowo połączyć.

Co więcej, koncert odbędzie się przed obrazem, w półmroku i dla nie więcej niż 20 osób. To więc naprawdę intymna atmosfera.

– A po koncercie będziemy degustować wina z epoki lub przypominające czasy Leonarda i Rembrandta – obiecuje francuski dyrygent.

Jakie wina pili ludzie w Amsterdamie w pierwszej połowie XVII wieku?

– Były to wina z południa Francji, z Jury. Szukamy nawet kieliszków z tamtego okresu, ponieważ wszystko przyczynia się do uzyskania właściwego wrażenia. Praca, którą my, muzycy barokowi, wykonujemy na skrzypcach z jelitowymi strunami, na lutniach, jest pracą historyczną, w której staramy się zrozumieć historię instrumentu, odkryć język stylowy danego okresu. Ale możemy to zrobić także z winem. W ten sposób znajdujemy wspólne słownictwo i wzbogacamy doświadczenie odkrywania obrazu, wina, utworu muzycznego. Doświadczenie kulturowe. ©

FESTIWAL MISTERIA PASCHALIA odbędzie się w dniach od 25 marca do 1 kwietnia w Krakowie | Bilety dostępne: kbf:bilety i kbf:plus
Organizatorzy: Miasto Kraków i KBF. Festiwal Misteria Paschalia dofinansowano ze środków miasta Krakowa.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury
– państwowego funduszu celowego, w ramach programu „Muzyka” realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca.

ULICZNIK ZNIKAŁ

Łatka „filozofa dla maturzystów” doprowadziła
do akademickiej degradacji jego dorobku.
Ale popularność wśród czytelników nigdy nie zmaląła.
Choć jeszcze nie wiedzą, że jego Syzyf się śmieje.

OLGA ŻYMINKOWSKA

KIM BYŁ ALBERT CAMUS?” – PYTAŁ Czesław Miłosz w pierwszym zdaniu „Dziennika paryskiego” nazajutrz po nagłej śmierci najmłodszego wówczas laureata literackiego Nobla. Miłosz na łamach „Kultury” drąży dalej w melancholijnym wyliczeniu: „gdyby szosa nie była mokra, gdyby kierowca niejechał z szybkością ponad 130 kilometrów na godzinę, gdyby ręka kierowcy nie zadrżała...” – i tu zawiesza głos, bo dociera do niemożliwego.

Można jednak przypuszczać, że wypadek samochodowy z 4 stycznia 1960 r. na drodze z Sens do Paryża był nie tyle, jak głosi oficjalna wykładnia, absurdalnym zrządzeniem losu, ale – według ostatniej interpretacji włoskiego krytyka Giovanniego Catellego – zaplanowaną akcją nieprzychylnych Camusowi ludzi. Wrogów przecież nie brakowało – algierscy rewolucjoniści, francuscy komuniści czy służby sowieckie. Samo życie Camusa – bez względu na mniej lub bardziej kryminalne zakończenie – warte jest opowieści, czego dowodzi ostatnia wydana biografia autorstwa rumuńskiego pisarza Virgila Tănase.

Historia nieporozumienia

Tănase traktuje Camusa czasem swój, jak kolegę z wojska, a czasem jak przewodnika duchowego. Często i chętnie spoufala się z bohaterem, śmiało interpretuje jego życiowe wybory (jak np. wtedy, gdy stwierdza, że czytanie książek

było dla młodego Alberta sposobem na zatarcie nierówności społecznej). Jednocześnie sympatyzuje z ostrym antykomunizmem Camusa. Nic dziwnego, że sam w 1982 r. stał się celem zamachu rumuńskich służb i jedynie przypadek sprawił, że nie zginął (tajny agent Securitate poparł francuską stronę, zdradzając interesy organizacji). „Sprawa Tănase” zyskała rozgłos, wpływając na znacznie bardziej krytyczną ocenę reżimu Ceaușescu w Europie Zachodniej.

„Życie Camusa to historia nieporozumienia” – stwierdza Tănase w pierwszym rozdziale. Gdyby chcieć znaleźć słowa klucze dla tej biografii, brzmiałyby one chyba tak: światło, ucieczka, tęsknota, obcość. Celowo nie wymieniam tych oczywistych, jak absurd, bunt i miłość, które składają się na trylogię motywów wybranych przez samego Camusa. Jego dzieło to tak naprawdę pogoń za światłem, które sprawia, że raz tęskni (za słońcem, matką i Algierią), raz ucieka (z Algierii i do Algierii), aby na koniec czuć się obcy (wobec innych i wobec „tych samych” w ponurej, zamglonej Francji). Na tym polega podstawowe nieporozumienie – Camus jest jednocześnie „stał i zniknął”, ucieka, myśląc o powrocie, wraca z myślą o ucieczce, tęskni, by potem tęsknić za tęsknotą.

A było tak: 7 listopada 1913 r. w algierskiej Mondovi pod przejrzystym niebem przychodzi na świat Albert Camus. Od tej pory zaczyna się jego ucieczka w stronę słońca.

Port macierzysty

Ojciec, Lucien Camus, wielki nieobecny w historii Alberta, ginie na froncie I wojny światowej, w bitwie nad Marną, w wieku dwudziestu dziewięciu lat. Dopiero w sierpniu 1947 r. trzydziestoczteroletni Albert odnajduje grób ojca w Saint-Brieuc w Bretanii i spostrzeże, że jest już od niego starszy. Matka, Catherine Sintès, z pochodzenia Hiszpanka, niewiele mówiła o zmarłym mężu. W ogóle niewiele mówiła. Odłamek naboju, który zabił Luciena, przechowywała w pudełku po ciastkach jak relikwię. Po śmierci syna powiedziała ponoć tylko dwa słowa: „Za wcześniej”.

W domu Alberta przedmioty nie miały nazw własnych. Jak pisze w „Pierwszym człowieku”, swoim powieściowym „pamiętniku zza grobu”, którego rękopis znaleziono po wypadku: „u nas mówiono: wazon, ten z kominka, garnek, głębokie talerze”. Gdzie indziej sprzęty miały swoją historię i egzotycznie brzmiące nazwy – „wypalana kamionka z Wogezów, serwis z Quimper”.

Albert wychowuje się w Belcourt, robotniczej dzielnicy Algieru. Ludzie, tak jak przedmioty, mają tam swoje ustalone przeznaczenie. Zdaniem Tănase, mimo biedy dzieciństwo Camusa było szczęśliwe i „ukszałtowało go jako człowieka”. Szorstkość babki, milczenie matki, uciążliwy charakter wuja, niedogodności materialne – to wszystko stanie się kiedyś „portem macierzystym pozwa-



Albert Camus, lata 40. XX w.

lającym tym, którzy nie potrafią usiedzieć na miejscu i wyruszają w morze, wierzyć, że ich podróż jest wyprawą, a nie turlaczką”. W tym świecie dzieci różnych narodowości grają w bule pestkami moreli, w piłkę nożną – blaszanymi puszkami, a ze skrawków worków robią beduińskie namioty. Albert zapuszcza się w dalsze ulice dzielnicy, gdzie odkrywa wspaniały świat witryn sklepowych, świateł tram-

wajów, trzykonnych wozów i muzułmańskich kupców grających w domino.

Święty od wstydu

Dopiero Louis Germain, nauczyciel francuskiego w szkole podstawowej, daje mu pierwszy bilet do nowego świata, przygotowując do egzaminu wstępnego do liceum. Germain – „wysoki, szczupły i zawsze schludnie ubrany”, grający na klar-

necie i czytający „La Libre Pensée” – nie wzbudza początkowo zaufania babki Camusa, która twierdzi, że rodzina jest zbyt biedna na kontynuowanie nauki. Nauczyciel nalega, a babka godzi się w końcu i po raz pierwszy i ostatni chwyta wnuka za rękę, jak zanotuje potem Albert, „z rozpaczliwą czułością”. To właśnie Louisowi Germainowi zadedykuje swoją mowę noblowską Camus czterdzieści lat później →

→ – „kiedy wiadomość [o Noblu] dotarła do mnie, moja pierwsza myśl, po myśli o matce, była o panu”.

Liceum Bugeaud w bogatej dzielnicy Algieru jest pierwszym doświadczeniem różnicy – „przedtem wszyscy byli tacy jak ja, a bieda zdawała mi się powietrzem tego świata”, zapisuje w swoim dzienniku. Od tej pory zaczyna się właściwa gra „tożsamości i różnicy”, „inności i tego-samego”, o których w tym samym czasie prowadzono jedynie filozoficzne dysputy w barze Bec-de-Gaz na paryskim Montparnassie. Camus wszystko przeżywa na własnej skórze. W szkole nazywają go „łobuzem i zawszonym nędzarzem”, a wiele lat później Sartre określi go mianem „ulicznika z Algierii”. Jego życie jest doświadczeniem zamknięcia tożsamości w narzuconych określeniach. Camus „jako Camus” nie istnieje – a „jako obcy” wciąż potrzebuje dookreślenia.

Sprowadzony do kategorii „zawszono nędzarza”, żyje odtąd w poczuciu obcości. W jednym z wywiadów Józef Czapski, który przebywał po wojnie na emigracji w Paryżu, wyzna, że Camus zrobił na nim wrażenie „człowieka, który wciąż się czegoś wstydził”. Tānase dodaje, jakby na potwierdzenie: „kiedy Albert ma wypełnić formularz, wstydzi się napisać, że jego matka jest pomocą domową, a potem wstydzi się swojego wstydu”.

Długa i wyboista

W 1930 r. Camus zdaje maturę i zapisuje się na kurs przygotowawczy z literatury i nauk humanistycznych. Wtedy poznaje drugą ważną postać swojej młodości – Jeana Greniera, nauczyciela filozofii w Bugeaud, który ma za sobą pracę w prestiżowej „La Nouvelle Revue Française”. Grenier jest pierwszym czytelnikiem prób literackich Camusa: fragmentów dziennika, poezji, esejów i opowiadań. Pewnego dnia pyta nauczyciela, czy wierzy w to, że mógłby zostać pisarzem. Grenier nie jest przekonany: „być może, ale czeka cię długa i wyboista droga”. Pod koniec roku 1930 pojawia się pierwsza rzeczywista przeszkoda na tej drodze – Albert zaczyna płuć krwią.

Zamieszkuje chwilowo w szpitalu Mustapha, największym afrykańskim „Berghofie”. Tam czyta Epikteta, Nietzschego, Dostojewskiego i Gide’a. Rekonwalescencja przynosi efekty, ale Camus przez całe życie zmagać się będzie ze skutkami gruź-

Uprawia pogoń za światłem,
dlatego raz tęskni, raz ucieka,
aby na koniec czuć się obcy.

Wszystko naraz: ucieka,
myśląc o powrocie, wraca
**z myślą o ucieczce,
tęskni, by potem tęsknić
za tęsknotą.**

licy, która jednak – jak napisze – „sprzyjała wolności serca, temu lekkim dystansowi, które zawsze chroniły mnie przed urazą”. Była „przywilejem królewskim”, stałą perspektywą śmierci, która nadawać mu będzie schronienie w zbyt błahych i zajadłych konfliktach środowiskowych, w jakie zostanie wciągnięty już wkrótce w Paryżu.

Etyka wyzwolenia

Na razie jednak dziewiętnastoletni Camus pracuje w urzędzie skarbowym, aby móc utrzymać się na studiach. Chwilowym ratunkiem dla biedy i uciemnienia tamtego czasu okazuje się „popętnienie” małżeństwa. Wybranką jest córka bogatej algierskiej okulistki i dawna narzeczona francuskiego poety Maxa-Pola Foucheta – Simone Hié. Dla Alberta – uosobienie wolności i pogardy dla konwenansów. Jak pisze Tānase: „lubi flirtować, nie kryje się z paleniem, nosi przezroczyste sukienki, drogie futra i szpilki”. Trzeba dodać – lubi także „sztuczne raje”, do jakich zaprasza ją morderca. Małżeństwo trwa niecałe dwa lata.

W maju 1936 r. Camus składa pracę dyplomową z filozofii o metafizyce chrześcijańskiej i neoplatonizmie. Niektórzy widzieć będą w jego późniejszej twórczości, mimo zdeklarowanego ateizmu, wątki judeochrześcijańskie. W przywoływanym „Diariuszu paryskim” Miłosz (który postrzegał Camusa jako jedną z nielicznych jasnych gwiazd znad Sekwany w odróżnieniu od Jean-Paula Sartre’a) mówi wprost o jego „temperamencie jansenistycznym, skłonny do rozpamiętywania nad potęgą zła”. Camus wymyka się jednak i takim kwalifikacjom – pytań, które stawia, mogą być z ducha teologicznego, ale odpowiedzi zmierzają raczej w kierunku „etyki niezależnej” czy „etyki

bez kodeksu”, pomysłów popularnych również w powojennej Polsce.

Gdy za sprawą małżeństwa udaje mu się zapomnieć o biednej dzielnicy Belcourt, zapisuje w swoim notatniku: „masz nieczyste sumienie, wyznaj grzechy. Dzieło jest wyznaniem, muszę dać świadectwo. (...) Sztuka nie jest dla mnie wszystkim. Niech będzie przynajmniej środkiem”. Camus wstępuje do partii komunistycznej – jest to kolejne ćwiczenie z rozstawiania się z dawnym sobą.

Obcy po dwóch stronach

W 1935 r. obejmuje funkcję dyrektora Maison de la Culture w Algierze i kierownictwo w Théâtre du Travail (późniejszym Théâtre de l'Équipe). Po raz pierwszy pojawia się problem posłuszeństwa wobec partii. Okazuje się, że repertuar proletariackiego teatru nie spełnia oczekiwań komunistów (wystawiają m.in. Puszkina, pisarza „wielkiego feudalizmu”). Dla Camusa komunizmowi „brakuje wymiaru duchowego”, a obietnice o przyszłym szczęściu i równości do złudzenia przypominają burżuazyjny dobrobyt. Z jednej strony uważa kolektywizację gospodarki za warunek poprawy życia społecznego, z drugiej nie godzi się na odebranie jednostce indywidualnych praw. Znowu staje w obliczu „dwóch stron tego samego”.

Camus buntuje się – nie jedzie do Marsylii na kursy szkoleniowe dla partyjnych kadr, protestuje przeciwko więzieniu arabskich wojowników z Gwiazdy Północnoafrykańskiej. Uznają go za „rozłamowca”, składa legitymację partyjną i zostaje wyrzucony z Maison de la Culture. W tym czasie rodzi się pomysł na nową powieść o „człowieku, który nagle uświadamia sobie (...), jak obce mu było jego życie”. Camus powołuje do życia Meursaulta, który rodzi się ze słońca w zenicie, z upojenia żarem i jasnością południa. Proste i „wydyszane” zdania „Obcego” chcą doprowadzić język do ekstatycznej jasności. „Dzisiaj umarła mama. Albo wczoraj, nie wiem” – tym zdaniem, które wybucha jak światło, Camus wchodzi na dobre do literatury.

Trudna ziemia

Trzy lata później w końcu może spełnić się jako dziennikarz w redakcji „Alger Republicain”, gdzie publikuje serię reportaży poświęconych społecznym problemom Algierii. W tym czasie pracuje nad

dramatem „Kaligula” i publikuje zbiór esejów „Zaślubiny”. Czasopismo staje się przepustką do „Paris-Soir”, gdzie zostaje zatrudniony jako sekretarz. Nadchodzi kolejny punkt zwrotny – Camus poślubia Francine Faure, studentkę z Oranu rozmiłowaną w Bachu. Odnajduje w niej, tak jak w muzyce Bacha, „nieskalane serce, które nigdy nie będzie jego udziałem”.

Wkrótce potem przeprowadza się do Paryża, gdzie nawiązuje pierwsze kontakty z ruchem oporu (jest rok 1943), poznaje Sartre’a i Simone de Beauvoir, a przede wszystkim zacieśnia więzy z Gastonem Gallimardem, którego wydawnictwo stanie się przepustką do późniejszej sławy. Zostaje redaktorem naczelnym pisma „Combat”, które ma charakter organizacji konspiracyjnej. Francja jest dla Camusa „trudną ziemią”, nie potrafi odnaleźć się w tutejszych koteriach i brak mu przede wszystkim południowego słońca. Zachowuje się trochę jak rozkapryszony impresjonista – wszędzie, gdzie się pojawia, szuka światła i czał się na pogodę. Marzy mu się „łagodny wiatr, rozległa i płaska zatoka”, „Przemienne i proste pragnienie – jak pisze dalej – i absurdalność porzucenia tego wszystkiego”.

Camus włóczy się po Paryżu – nieracjonalność świata doprowadza go do „świadości absurdalnej”. Literatura jednocześnie narusza i ujawnia prawdę o absurdzie, stawia pytanie o sens, ze świadomością jego nierozstrzygalności. Mimo całego rozczarowania Camus odnajduje w niej coś wyjątkowego – wolność i prawo do bycia wygnanym. W takim klimacie kończy „Dżumę”, którą wyda w 1947 r. u Gallimarda.

Paryż jest dżunglą

Tānase mściwie rozprawia się z Sartre’em, traktując go jak złego ducha w „hagiografii” Camusa. Znajomość dwóch filozofów zaczyna się już w 1938 r., kiedy Camus recenzuje „Młodości”. Pięć lat później spotykają się na słynnej premierze „Much”, na której Sartre pojawia się świeżo po wydaniu monumentalnego „Bytu i nicości”. Rumuński biograf z niechęcią wypowiada się nie tylko o tym dziele, ale także na temat obyczajowości „Sartre’a i jego gangu”, nie mogąc wybaczyć mu, że zrezygnował z propozycji wyreżyserowania przez Camusa dramatu „Przy drzwiach zamkniętych”. A była to tylko „jedna z serii zdrad”, jakiej dokonała szajka z Saint-Germain.

Wybrane książki



■ ŚMIERĆ SZCZĘŚLIWA (1971)

A w zasadzie śmierć świadoma, bo głównym motywem pierwszej powieści Camusa (trzeba dodać – wyciekanej, choć nieopublikowanej za życia) jest pytanie, jak być szczęśliwym, żyjąc ze świadomością popełnionej zbrodni. Stała paleta Camusowskich barw: niebieska melancholia, żółte szczęście i karminowy bunt.



■ UPADEK (1956)

Camus był w Amsterdamie trzy dni. Tyle wystarczyło, by zaliczyć bolesny upadek. Ze słonecznej Algierii wpada do zimnego, zachmurzonego portu. Idealne warunki do zwierzeń i wylewania smutków w knajpie. Długi, męczący monolog Clamence’a skierowany do nieznanego nam towarzysza z baru Mexico City zamienia się w spowiedź bez rozgrzeszenia. Różewicz w „Spadaniu” miał rację: „ostatni moralista/ francuskiej literatury/ wyniósł z dzieciństwa/ wiarę w Dno”.



■ OBCY (1942)

„I’m alive, I’m dead, I’m the stranger killing an Arab”, śpiewa The Cure. Niepokoi przedimek „an” no i ten nieszczęsny „Arab”. Chciałoby się łagodniej i poprawniej. Ale Meursault nie jest łagodny i poprawny. W ogóle chyba „mało jest”. Trzyma język za zębami mowy zależnej, zgodnie z formułą: „prawdziwym dziełem sztuki jest to, które mówi mniej”. A zatem koniec gadaniny.



■ PIERWSZY CZŁOWIEK (1994)

Jeśli „ostatni człowiek mruży oczy” (Nietzsche), to pierwszy człowiek otwiera je szeroko. Patrzy i widzi: biedne przedmieścia Algieru, słońce w zenicie, uśmiech matki, śmierć ojca. Ostatni i niedokończony krajobraz – impresja, zachód słońca. © OŻ

Wkrótce po publikacji „Człowieka zbuntowanego” Camusa (1951) w czasopiśmie „Les Temps modernes” ukazuje się zjadliwa recenzja autorstwa Francisca Jeanson, filozofa-marksisty z grona akolitów Sartre’a. Wybuch spór, który dzieli na pół francuską opinię. Jeanson (Sartre) sądzi, że „książka Camusa jest tekstem dywersyjnym, którego ukrytym celem jest odwrócenie uwagi mas od ich rewolucyjnego powołania”, a pod płaszczykiem literackiej finezji skrywa się oburzający „reakcjonizm”.

Camus po wystąpieniu z partii komunistycznej głosił niepopularnie umiarkowane poglądy. Nie chciał w ślad za Sartre’em mydląć oczu robotnikom w fabryce w Billancourt. W kwestii niepodległości Algierii opowiadał się za pokojowym współistnieniem dwóch narodowości, co w czasach, kiedy „trzeba być ofiarą albo katem – i niczym więcej” uchodziło za ignorancję i naiwność. Gwoździem do trumny kleczonej dla niego przez Sartre’a była także Nagroda Nobla w 1957 r. za „dzieło, które wydobywa na światło dzienne problemy, przed jakimi staje dzisiaj ludzka świadomość”. Wydobywa, ale nie rozstrzyga – mógłby skonkludować Sartre.

W pierwszym odruchu Camus próbuje odpowiedzieć recenzentowi rzeczowo – podkreśla, że nie można patrzeć na człowieka jedynie przez pryzmat historii. Sartre bez wahania przypuszcza atak: zarzuca Camusowi bezprawność „grę w pierwszą lidzę”, podczas gdy sam pozostaje niedzielnym filozofem, który nie byłby w stanie przeczytać „Bytu i nicości”. Polemika przypomina coraz bardziej krwawy cyrk. Jak podsumuje Camus w swoim notatniku: „Paryż jest dżunglą, ale drapieżniki w niej marne”.

Trzy dni po śmierci Camusa Sartre pisze krótki tekst pożegnalny, w którym przyznaje, że „poróżnienie nic nie znaczy, jest to właściwie inna forma współżycia”. Jaki był, taki był – żyło się albo razem z jego myślą, albo wbrew niej. „Rzadki człowiek, na którego warto czekać” zajął miejsce „ulicznika z Algierii”. Wypadek, ów „skandal, który ukazał w samym jądrze ludzkiego świata absurdalność naszych roszczeń”, wytrącił Sartre’owi broń z ręki.

Szarpanina na łamach „Les Temps modernes” nie przeszła jednak bez echa. Ośmieliła wielu, którzy zaczęli widzieć w Camusie już tylko piewę wznośnych haseł, przewodnika sumień lub

→ co najwyżej sprawnego aforystę. Łatka „filozofa dla maturzystów” czy „melancholijnego egotyzmu właściwego licealistom”, podprawiona powierzchowną lekturą, doprowadziły do degradacji jego dorobku. Ale popularność wśród czytelników nigdy nie zmalala. Camus, jako jeden z nielicznych, do końca wytrwał w równowadze między „pisanem aktualnym” a „pisanem ideowym”. Nawet kiedy wydaje się, że popada w pouczającą beletrystykę, w ostatniej chwili wymyka się zwątpieniem i ironią.

Szyzyf się śmieje

Jeśli miarą aktualności dzieła pisarza jest stawianie pytań, które sformułował Sartre w szkicu pośmiertnym: „Co on zrobi? Co on o tym sądzi? Co o tym mówi w tej chwili?” – to Camus zdałby ten test bez zarzutu. „Nie śmielibyśmy nawet zgadywać, co wtedy powie, ale przypuszczalibyśmy, że zmienia się wraz ze światem, jak każdy z nas, i to wystarczyło, żeby jego obecność pozostała dla nas żywa”, odpowiada retorycznie Sartre.

Jeśli miarą nieśmiertelności dzieła jest wielość interpretacji, to i tutaj Camus jest zwycięski. W jednym z wywiadów jego córka Catherine zapytana o niezbadane dotąd motywy w twórczości ojca, odpowiada stanowczo: humor, który umknął wielu komentatorom skupionym na szukaniu w dziele maksym moralnych. Absurd u Camusa był traktowany dotąd zbyt poważnie, kojarzony głównie z kamieniem Syzyfa i okropnościami wojny, a przecież wystarczy oswobodzić go nieco z oków filozoficznej kategorii i wypuścić trochę słońca do celi skazańca. Absurd to także śmiech, który jest początkiem duchowej rewolty, zachętą do podjęcia ryzyka wyjścia poza metafizyczny stupor i beczynność. Innymi słowy, pora zobaczyć Syzyfa śmiejącego się.

Zachętą do tego mogą być nawet zdjęcia, jakie zostały nam po Albercie Camusie, na których ukazują nam się twarz w samym środku swej pogodnej intymności – twarz obcego, twarz uciekiniera czy po prostu – twarz zwrócona ku słońcu.

© OLGA ŻYMINKOWSKA



Virgil Tănase

CAMUS

przeł. Justyna Nowakowska,
PIW, Warszawa 2024

Skąd się biorą piosenki

JAN BŁASZCZAK

Wierzy, że w pisaniu piosenek chodzi o otwartość na przygody. Artysta musi trochę pożyć, złapać dystans, spróbować czegoś nowego. Gwiazdy polskiej sceny są na to zbyt zabiegane? Nie szkodzi.

BARTOSZ DZIEDZIC PRACOWAŁ PRZY największych polskich przebojach. Zarówno tych o rockowym brzmieniu, jak i w elektronicznym pulsie. Ma na swoim koncie ballady i utwory, które przyspieszały tętno stojących w korkach radiosłuchaczy. Komponował, aranżował, produkował. Czasem ingerował w teksty. Teraz zakłada wytwórnię. Przełom?

Plejada

Spotykamy się w jego niewielkim studiu w centrum Warszawy. Instrumenty, syntezatory, komputery. Trochę płyt, zza których wystaje czarnobiałe grzbiety magazynu „Glissando”. Gościli tu największe gwiazdy polskiego popu: Dawid Podsiadło, Monika Brodka, Daria Zawiałow, Artur Rojek. Teraz odwiedzają go głównie debiutanci.

– Bardzo ich lubię, chcę z nimi pracować, ale czuję, że im nie ufam – przyznaje bezradnie. – Nie odnieśli jeszcze żadnego sukcesu: skąd mam wiedzieć, kiedy mają rację?

Producent traktuje ten problem poważnie, bo relacja z artystą to podstawa do nagrania dobrej płyty. Co prawda sam potrafi zrobić piosenkę od podstaw: skomponować ją, nagrać partie instrumentów, a nawet w niej zaśpiewać, ale stąd daleko jeszcze do stwierdzenia, że nie potrzebuje artystów. Wie, że bez nich ciągle nagrywałby ten sam utwór. Tak więc aby zrobić płytę, musi zaufać. Tym bardziej że dobra płyta to dla niego mało. Nie żyje z rozbienia albumów, ale z ich sukcesu.

– Jeśli dostanę kwotę, na jaką się umówiłem, ale płyta nie odniesie sukcesu, oznacza to porażkę. Nam się po prostu musi udać! Z jednej strony to

kwestia tantiem, ale przede wszystkim tego, jak później stoją moje akcje w branży.

A te utrzymują się na najwyższym poziomie od dobrych piętnastu lat. Epoka w tym biznesie. Dziedzic był współodpowiedzialny za „Grandę”, która uczyniła z Moniki Brodki gwiazdę alternatywnego popu; płytą „Skladam się z ciągłych powtórzeń” ułatwił Arturowi Rojkowi start kariery solowej; a pracując przy „Małomiasteczkowym”, namaścił Dawida Podsiadłę na króla naszej sceny. Kto jest jej królową? Być może odpowiedzi na to pytanie udzieli piątkowa gala Fryderyków. Nominacje w pięciu kategoriach otrzymała Daria Zawiałow – autorka płyty „Dziewczyna pop”, nad którą pracowała wspólnie z Dziedzicem. Jako duet walczył o nagrodę dla kompozytora roku.

Osiem miesięcy manii

Wystarczy rzut oka na dyskografię Dziedzica, by zauważyć, że pomimo imponującego stażu jest ona dość krótka. Z jednej strony to bezpośredni rezultat filozofii producenta, który powtarza, że lepiej nie zrobić w ogóle niż zrobić źle. Wynika to nie tylko z troski o swoją markę, ale także z przykrego wspomnienia, którego nie wymazały kolejne sukcesy. Jeszcze jako inżynier dźwięku we wrocławskim studiu Fonoplastykon wybrał się kiedyś do klubu wraz z zespołem, który właśnie nagrał u niego płytę. Pracowali nad nią miesiącami. W knajpie czekali już zniercierpliwieni znajomi. Byli tam jednak również ludzie z zewnątrz nieświadomi wagi tego wieczoru.

– Puściliśmy tę płytę i po chwili ktoś z drugiej części sali krzyknął: „co to za



LUKASZ GAGULSKI / FORUM

Bartosz Dziedzic, Marysia Sadowska i Magda Mołek na gali Fryderyków 2019 w Międzynarodowym Centrum Kongresowym w Katowicach, marzec 2019 r.

gównu, wyłączcie to!” – wspomina Dziedzic. – Zrobiło mi się bardzo przykro, do tego stopnia, że tamta scena siedzi we mnie do dziś. Minęło wiele lat, a ja wciąż wykonuję wiele ruchów, aby taka sytuacja już nigdy więcej mnie nie spotkała.

Stąd producent nierzadko odmawia lub rezygnuje ze współpracy, jeśli ta nie rokuje na przyszłość: – Mam bardzo prosty patent: nigdy nie deklaruję artystom, że na pewno coś razem zrobimy. Spotykamy się, próbujemy i czasem szybko wiadać, że nic z tego nie będzie – wtedy się po prostu rozchodzimy. Dopiero kiedy mam już nagrane pół płyty i widzę, że współpraca przebiega owocnie, podpisujemy papiery.

Dziedzic wspomina na przykład współpracę z Katarzyną Nosowską, która zakończyła się, zanim na dobre się rozpoczęła: – Świetnie nam się gadało, przesiedzieliśmy razem do rana, ale muzycznie nie byliśmy w stanie nic sensownego skleić. Rozstaliśmy się więc, choć przecież mieliśmy inne plany.

Dla producenta takie szybkie oszacowanie szans na powodzenie jest tym ważniejsze, że praca nad płytą to wyjątkowo intensywny proces. Towarzyszący mu stan nosi wszelkie znamiona manii. Dziedzic zwykle pracuje nad płytą około ośmiu miesięcy i w tym czasie wszystko inne schodzi na dalszy plan. Żona odcina

go nawet od płacenia rachunków, bo wie już, że w tym czasie on może sobie z tym zwyczajnie nie poradzić.

Trudna sztuka odpuszczania

Praca na takich obrotach to kolejny z powodów, dla których Dziedzic robi sobie długie przerwy pomiędzy zleceniami. Musi odpocząć, żeby nie zwariować. Nie chodzi tylko o zachowanie psychicznej równowagi. Trzeba doprowadzić do momentu, w którym znów darzy muzykę uczuciem: – Kiedy kończę płytę, to mam jej dość. Do tego stopnia, że gdy wybieram się z żoną na kolację, to szukam miejsc, w których będzie cicho.

Obsesyjne zanurzenie w dźwiękach może służyć produktywności, ale utrudnia czasem kooperację z innymi muzykami. Dziedzic daje wgląd w ten stan swojego ducha, wspominając udział w studniówce córki. Miał się dobrze bawić, a zaczęło go nosić, kiedy rozpoczął się program artystyczny i na scenie pojawiły się dwie dziewczyny: jedna obdarzona bardzo mocnym głosem, druga mówiąca bardzo cicho. Pomimo tak ewidentnej różnicy osoba obsługująca konsolę nie zareagowała i nie wyrównała poziomu głośności ich wypowiedzi.

– Czułem się szalenie niekomfortowo ze świadomością, że ktoś inny może tego nie słyszeć – wspomina Dziedzic. – Wy-

obraż sobie, że idziesz ulicą i komuś wypada portfel. To co robisz?! Podnosisz go! A oni nie podnoszą! Patrząc na to i myśląc sobie: „no nie wierzę!” Bo dla mnie to jest przecież oczywiste. Przy czym wiem, że ci ludzie nie są źli czy głupi – to ja siedzę w muzyce tak głęboko, że wszędzie widzę wypadłe portfele.

Dopiero kilka lat temu nauczył się trochę odpuszczać. Zaczął na przykład akceptować, że istnieją dni, w których nie uda mu się nic zrobić. Wtedy nawet nie bierze się za muzykę. Kiedyś wychodził jednak z innego założenia. Próbował złapać wenę każdego dnia, licząc, że tym razem na pewno się uda. Dziś żałuje, że tę świadomość zdobył tak późno, bo pomijając stratę czasu, te puste przebiegi były dla niego szczególnie wykańczające. Po wielu latach Dziedzic zrozumiał wreszcie, że są pewne sprawy, których nie rozwiąże samą determinacją: – Robienie piosenki to jest wycieczka w nieznane. Nie wiesz, co spotkasz za zakrętem, ale jesteś gotowy na każdą przygodę. Liczysz się nawet z tym, że dzisiaj będziesz spał pod drzewem.

Praca nad związkiem

Z tego powodu Dziedzic dobrze wspomina spotkanie z Moniką Brodką. Podkreśla, że „Granda” (2010) udało się dlatego, że artystka szukała zmiany. Miała

→ już dość miejsca, w którym była, i nie bała się działać. Mimo to producent długo nie był przekonany, czy w ogóle przystawać na jej propozycję. Jego kariera rozwijała się dobrze i bez tego. Zostawił już za sobą Fonoplastykon, w którym przez lata zdobywał doświadczenie, nagrywając absolutnie wszystko: Przeglądy Piosenki Aktorskiej, słuchowiska radiowe, punkowe kapele. Coraz więcej wiedział, coraz więcej słyszał i coraz lepiej zdawał sobie sprawę, że na brzmienie piosenki największy wpływ mają czynniki, które leżą poza jego kompetencjami – umiejętności muzyków, kompozycja.

Pracując w studiu nagrań, Dziedzic poznał Lecha Janerkę, którego dziś nazywa swoim drugim ojcem. Ten zaufał mu na tyle, że powierzył mu produkcję albumu „Plagiaty”. Premiera płyty wrocławskiej ikony post-punka nie rozpoczęła jednak triumfalnego pochodu Dziedzica przez polską scenę. Może dlatego, że album Janerki spotkał się z mieszanymi recenzjami? A może powodem były reklamy, do których Dziedzic zaczął coraz częściej komponować muzykę?

– Bardzo dobrze na tym zarabiałem, pod względem finansowym to był mój szczyt – wspomina. – Do tego stopnia, że Orange przygotowało budżet w wysokości miliona złotych na moją solową płytę, bo tak podobały im się reklamy, które dla nich komponowałem. Ostatecznie nic z tego nie wyszło, ale mimo to suma, którą płacono mi za jedną reklamę, stanowiła trzykrotność tego, co zaoferowano mi za „Grande”.

Do pracy z Brodką przekonała go żona, zwracając mu uwagę, że przecież nie chciałby przez całe życie nagrywać reklam. Dzisiaj sam lubi powtarzać, że w pracy nad piosenkami chodzi o coś więcej niż przysyłanie plików – chodzi o wycieczki, chodzi o przygody. Właśnie z takim podejściem producent rozpoczął pracę nad „Grandą”. Mogłoby się wydawać, że taka filozofia szybko wyprzeżyma perfekcjonistę. Po części to chyba prawda, jednakże Dziedzic podkreśla, że producent nie może zaniedbywać dobrych relacji z artystami. Dlatego ważne jest, aby zorientować się, w czym dany muzyk czuje się dobrze, a co sprawia mu kłopoty lub wywołuje niechęć: – To jest jak z byciem w związku: wiesz, że z tą osobą nie pojeździsz na rowerach, chociaż zawsze bardzo to lubiłeś. Na szczęście

W polskim popie wciąż mało jest osobowości i zgody na ryzyko.

Barwne historie, zaskakujące pomysły, artystyczne odkrycia – to wszystko znajduje się pod innym adresem.

masz też inne hobby – malowanie obrazów, a ona wprost za tym przepada. No to macie coś swojego, malujecie! Gorzej, jeśli nie interesuje cię nic poza tym rowerem, wtedy masz prawdziwy problem.

Znalezienie płaszczyzny porozumienia ułatwia dalszą pracę, ale oczywiście nie uwalnia od wszystkich kłopotów. Czasem mają one wymiar czysto techniczny, produkcyjny. Dziś trudno w to uwierzyć, ale tak było w przypadku „Małomiasteczkowego” Podsiadły: – Zwykle, kiedy mam taki problem z piosenką, to ją po prostu porzucam. I z nią byłoby tak samo, gdyby nie tekst. Dawid napisał coś tak dobrego, że nie mogłem tego wyrzucić do kubła. Zmagałem się z tą piosenką, bo w pierwotnej wersji wyszło nam z tego „rocko-polo”. Aby tego uniknąć, ostatecznie mocno ten utwór przyspieszyłem. Ten zabieg pozwolił mi nagle nabrać pewnej nowocześnieści.

Czasami jednak praca producenta polega na manipulowaniu nie dźwiękiem, a emocjami. Tak było z „Dziewczyną pop” Darii Zawiałow: – Wiedziałem, że powinniśmy zrobić dwanaście piosenek, i celowo nie zaczynałem tej ostatniej. Daria się wkurzała, bo już za miesiąc mieliśmy oddać materiał. Mnie jednak te jej nerwy bardzo odpowiadały, bo ostatni utwór chciałem nagrać na innych emocjach. To zawsze jakieś ryzyko, ale wiem, że jeśli skoczmy z takiego wodospadu, mamy szansę na ciekawą przygodę. Nawet jeśli ktoś może przy tym złamać nogę.

Męczenie materiału

Niewykluczone, że producent nie musiałby się uciekać do takich zabiegów, gdyby w polskim popie – wśród pracowników wytwórni, menadżerów i artystów – było więcej osobowości i autorskiej wizji, więcej zgody na ryzyko. Sam rzadko pisuję o głównym nurcie polskiej muzyki

nie z powodu jakichś ideologicznych zastrzeżeń czy awersji do melodyjnych refrenów, ale dominującej tam profesjonalnej nudy. Barwne historie, zaskakujące pomysły, artystyczne odkrycia – to wszystko znajduje się pod zupełnie innym adresem.

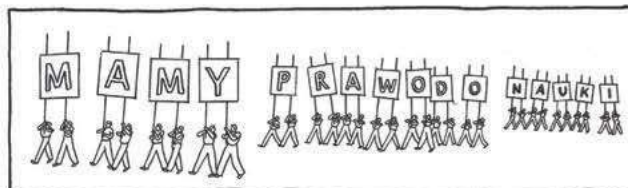
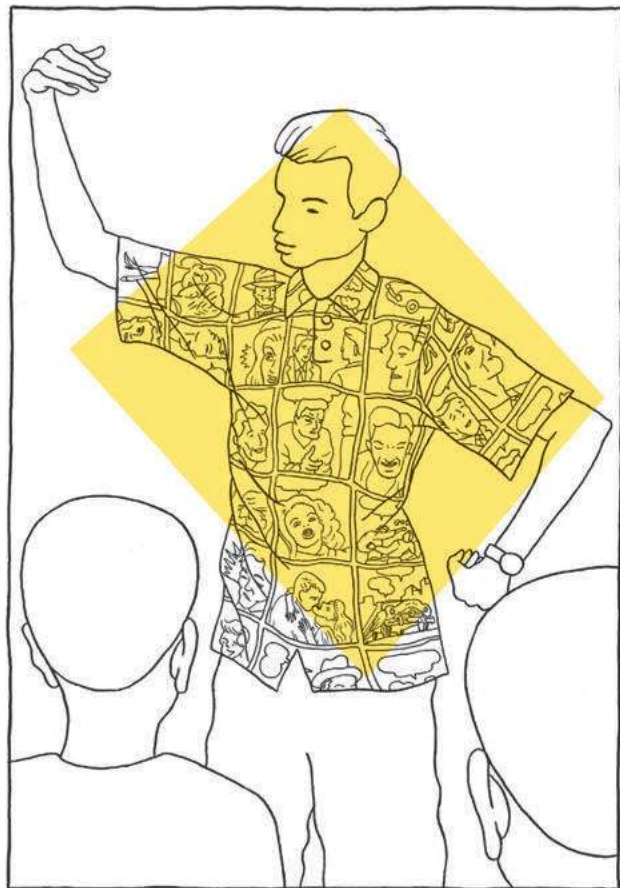
Dziedzic przyznaje, że sam unika branżowych imprez. Nie chce, by ktoś tłumaczył mu przy piwie, w jakim miejscu znalazła się muzyka i co w związku z tym powinien przedsięwziąć. Z drugiej strony uważa za błąd powszechną niechęć wydawców do ingerowania w piosenki: – Wytwórnice są dzisiaj dumne, że nie przeszkadzają artystom. A ja uważam, że one powinny brać udział w kreatywnym procesie. Rozumiem jednak, dlaczego tak się dzieje – artyści nie traktowaliby tego poważnie, bo pracownicy wytwórni nie są dziś dla nich autorytetami.

Innym problemem, na jaki zwraca uwagę producent, jest nadmierna eksploatacja – w tym samoeksploatacja – artystów. W tej branży każdy sukces należy dyskutować jak najszybciej. Jakby był on jedynie wynikiem zbiegu okoliczności, jakieś szczęśliwej koniunktury, która zaraz przeminie. Jakby nikt nie wierzył, że sukces jest raczej rezultatem talentu, zdobytych umiejętności, rozsądnie budowanej pozycji na rynku. Choć Dziedzic jest pragmatykiem i nie głosi hasła pokroju: „liczy się tylko sztuka”, to jego zdaniem takie podejście jest krótkowzroczne. Także od strony biznesowej.

Nieustająco koncertujący, realizujący komercyjne zlecenia i nagrywający kolejne płyty artyści nie mają też czasu, żeby po prostu pożyć. A zdaniem Dziedzica jest to niezbędne, by pisać piosenki, by w ogóle tworzyć. W końcu gdzieś trzeba zebrać te doświadczenia, historie, emocje. A wielu artystów, jeśli gdzieś rusza, to tylko w trasę. Czasem dwieście, nawet dwieście pięćdziesiąt razy w roku: – Potem taki artysta przychodzi do mnie zrobić płytę, ale jest tak wypruty, że ostatnie, na co ma ochotę, to jakieś wycieczki ze mną. Pasuje mu każdy mój pomysł, byleby tylko nie dotyczył pisania piosenek.

Miedzy innymi z tego powodu Dziedzic wraz ze swoją córką próbują rozkręcić wytwórnię. Chcą zrobić to na własnych zasadach: sami debiutanci, tylko kilkoro artystów, duży nacisk na długofalowe wsparcie. Jest tylko jeden problem – trzeba najpierw zaufać. Uczy się.

© JAN BŁASZCZAK



Jacek Świdziński „Festiwal”, Wydawnictwo Kultura Gniewu, 2023.

Patyczaki

REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

Komiksy polskich minimalistów łączy maksyma zapożyczona od Sławomira Mrożka – mniej znaczy lepiej.

ROZPOCZYNAJĄC PRZYGODĘ Z KOMIKSEM mamy do wyboru kilka ścieżek: możemy przepaść w opowieściach z Mirmilowa, z wypiekami na twarzy śledzić przepychanki superbohaterów zza oceanu lub zaczytywać się w relacjach z wojaży Thorgala. Jednak po kilku etapach komiksowej edukacji w miłośnikach opowieści obrazkowych rodzi się zwykle chrapka na eksperymenty. Wówczas sięgają nieśmiało po tytuły polskiego komiksu niezależnego (tzw. niezalu): punkowe ziny Łukasza Kowalczyka, niepokorne satyry Krzysztofa Owedyka, czy też fantazyjne opowieści Tomasza Grzędzieli. Ale u szczytu wspinaczki po stopniach

obrazkowego wtajemniczenia znajduje się komiks minimalistyczny – forma opanowana do perfekcji przez Jana Mazura, Jakuba Dębskiego i Jacka Świdzińskiego.

Dlaczego? Scott McCloud w albumie „Stworzyć komiks”, kompendium komiksiarskiego rzemiosła, zauważył, że uproszczone rysunki nie wymagają znajomości kodów kulturowych, a ich sens jest czytelny bez wgrzyzania się w konwencje i gatunki. Im mniej szczegółów, tym większa przestrzeń dla wyobraźni, a niedopowiedzenia kompensowane są przez wspomnienia i projekcje.

To prawda, że czytelników przyzwyczajonych do rysunków Grzegorza Ro-

sińskiego plansze minimalistów mogą przyprawić o zakłopotanie. Nie dość, że czarno-białe, to jeszcze pozbawione tła. Bohaterowie, którzy u takich twórców jak Bogusław Polch wyglądałoby niczym wyjęci z podręcznika do anatomii, w „In-celu” Mazura stają się zlepkiem geometrycznych figur i pociągniętych od linijki kreslek.

O ile więc niektórzy komiksy minimalistyczne zwykli nazywać „bazgrołami” albo „antyreklamą polskiej powieści graficznej”, o tyle liczne nagrody (w tym literackie!) stanowią, szczęśliwie nie jedyny, dowód ich jakości: patyczaki trafiły pod strzechy niedawno, ale ich historia sięga złotych czasów polskiego komiksu prasowego.

PRL w obrazkach

Dla współczesnego czytelnika nawet „Ogniem i mieczem, czyli Przygody szalonego Grzesia” – jeden z popularniejszych tytułów międzywojnia – wyglądać może na minimalistyczny. Pierwsze polskie serie komiksowe często prezentowały się skromnie, ale wynikało to nie tyle z twórczej strategii, ile oszczędności. ➔

→ W powojennej Polsce o kształcie komiksu prasowego decydowali przede wszystkim rysownicy związani z tygodnikiem „Przekrój”. To właśnie pod redakcją Mariana Eilego Sławomir Mrożek stworzył „Polskę w obrazach” – przełomowy cykl dokumentujący oraz komentujący peerelowską rzeczywistość.

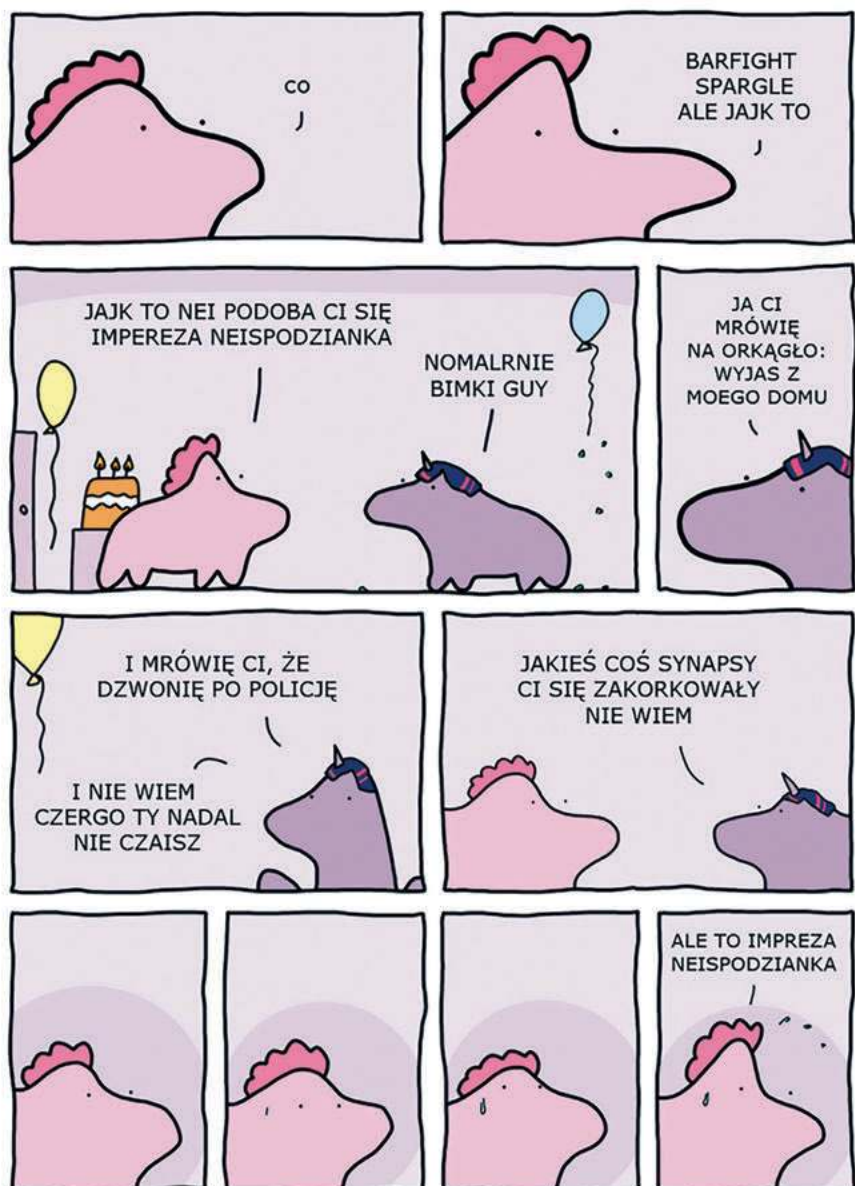
Zanim Mrożek zajął się dramatem, swoje zainteresowanie absurdem przekuwał w humorystyczne rysunki. Za pomocą prostych form plastycznych drążył narodowe mity, przedrzeźniał aparat propagandowy oraz naigrywał się z fasady Polskiego Ludowego. Drwił także z samego siebie. W jednym z jego komiksów zrozpaczony ludzik zadaje pytanie: „Dlaczego narysował mnie Sławomir Mrożek, a nie Leonardo da Vinci?”.

„Przekrojowy” satyryk – swoje obrazkowe felietony publikujący także w latach 80. w „Tygodniku Powszechnym” – był rzemieślnikiem, wiedzącym, jak za pomocą skromnych środków opowiadać dowcipy. Nie stosował wielu ozdóbek, gdyż zdawał sobie sprawę, że mogłyby odwrócić uwagę czytelników od *clou* jego utworów – efektownej puenty. Zarówno „Polskę w obrazach”, jak i „Polaka w Paryżu” uznać można za kamienie milowe w rozwoju polskiego komiksu minimalistycznego, a Mrożka nie bez kozery nazywać patronem rodzimych minimalistów.

Zabawa z tradycją

Na twórczości Mrożka wychował się tegoroczny laureat Paszportu „Polityki” – Jacek Świdziński. Jego ojciec, malarz i grafik, miał zwyczaj przerysowywania obrazków satyryka dla rozluźnienia ręki. Młody Świdziński bacznie przyglądał się temu procesowi, wsiąkając w świat opowieści obrazkowych. Autora „Festiwalu” ukształtowały tak Mrożkowe karykatury, jak wertowane z zapałem komiksy superbohaterów. Dlatego jego bibliografia obfituje w utwory łączące różne porządki, zeniące sztukę „wysoką” z popkulturą.

Najlepszym tego przykładem jest „Zdarczenie. 1908” będące rodzimym odpowiednikiem „Ligi Niezwykłych Dżentelmenów” Alana Moore’a i Kevina O’Neila, w którym postaci historyczne, takie jak Rasputin, Feliks Dzierżyński, Lew Tołstoj i Dersu Uzala trafiają na ślad nieprawdopodobnego eksperymentu, zagrażającego bezpieczeństwu Cesarstwa Rosyjskiego. W komiksie tym, reklamowanym jako



Jakub Dębski „Kuce z Bronksu. Impreza nie spodzianka”, Wydawnictwo Demland, 2024.

faksymile dziennika podróży na Syberię, pobrzmiwają echa przygodowych powieści Juliusza Verne’a, pulpowych opowiadań spod znaku *weird fiction* oraz absurdałnych komedii Monty Pythona.

Świdziński opisuje skomplikowaną, fantastyczną rzeczywistość za pomocą skromnych środków. Ważniejsze od wizualnych fajerwerków są dla niego czytelność oraz komunikatywność. Nie znaczy to bynajmniej, że komiksy obsypanego nagrodami rysownika są sztaprowe. Członek kolektywu awangardowych komiksarzy Masziny znany jest z eksperymentów. Ich przedmiotem jest zarówno struktura narracyjna, jak i forma. Świdziński kombinuje z chronologią, prze-

biera w zwrotach akcji oraz opisuje wydarzenia z wielu perspektyw, a także bawi się układem i kształtem kadrów.

Najbardziej fantastyczne w jego komiksach są jednak projekty postaci. Mimo że laureat Paszportu „Polityki” jest minimalistą, rysowane przez niego sylwetki nie przypominają patyczaków. Wręcz przeciwnie, bohaterowie „Zdarzenia. 1908”, „A niech cię, Tesla!” oraz „Wielkiej ucieczki z ogródków działkowych” przybierają nietuzinkowe kształty; różnorodnością dorównują mieszkańcom Doliny Muminków czy znanej z serialu „Pora na przygodę” Krainy Ooo.

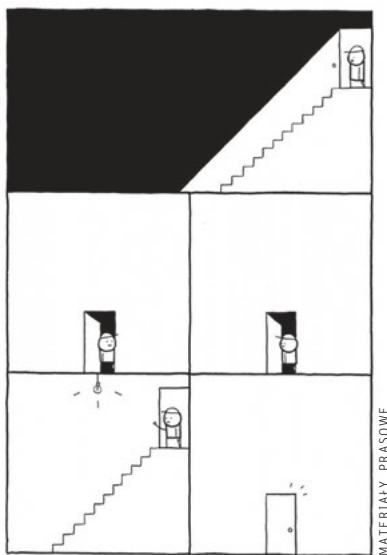
W swoim najważniejszym dotychczas projekcie, obsypanym nagrodami

„Festiwalu”, Świdziński udo bitnia swoją niechęć do uniformizacji. Komiksowa kronika Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów z 1955 r. jest bogata stylistycznie. Rysownik swobodnie przeplata skrajnie różne inspiracje, odwołując się do estetyki socrealistycznej, reprodukując wykonane przez m.in. Wojciecha Fangora i Henryka Tomaszewskiego festiwalowe dekoracje oraz wracając do sprawdzonych w poprzednich komiksach rozwiązań. W całym tym pozornym rozbuchaniu autor pozostaje wierny minimalizmowi. Rezygnuje z teł, gdy nie zawierają ważnych informacji o miejscu akcji. Wyklucza wszelkie rekwizyty zagrażające kadr. W jego utworach nie ma miejsca na sztafaż, każdy element znajdujący się na planie ma cel – narracyjny lub światotwórczy.

Bazgroły dwunastolatka

Wzorem Mrożka Świdziński wielokrotnie tworzył też komiksy dla prasy. Jego paski publikowane były w „Przekroju” i „Guardianie”. O ile prace komikarzy-minimalistów wciąż zdobią niejedno czasopismo, o tyle ich prawdziwą przystanią jest jednak internet. Komiksy minimalistyczne zaczęły pojawiać się tam na początku lat dwutysięcznych. Sieć sprzyjała oddolnym inicjatywom i niezależnym twórcom; stała otworem zarówno przed absolwentami ASP, jak i artystami-samoukami, udostępniającymi komiksy hurtem na forach, blogach oraz postawionych własnymi siłami stronach. Webkomiksy cieszyły się nie małą popularnością i przyciągały przed komputery rzesze czytelników. Jednym z twórców, który wykorzystał szansę związaną z gwałtownym rozwojem gatunku, był Jakub Dębski, znany jako Dem.

Dębski jest człowiekiem instytucją – youtuberem, autorem popularnego serialu internetowego „Kuce z Bronksu”, recenzentem filmowym „bez papierka”, twórcą bloga „Kinowy Ekspres” oraz komikszarzem obecnym w sieci od kilkunastu lat. Tworzy za pomocą narzędzi cyfrowych, komputera i programów graficznych. Żartobliwie stwierdza w wywiadach, że naukę rysowania zakończył w wieku dwunastu lat. Rzeczywiście, na pierwszy rzut oka jego rysunki wyglądają jak bazgroły namazane niechlujnie na marginesie szkolnego zeszytu. To zresztą ulubiony przytyk krytyków twórczości Dębskiego.



Jan Mazur „Koniec świata w Makowicach”, Wydawnictwo Kultura Gniewu, 2019.

Komikszarz znany z tytułów takich jak „Duże Ilości Naraz Psów”, „Raptory” oraz „Magowie” jest rzemieślnikiem, który doskonale rozumie, jak za pomocą skromnych środków zilustrować gag. Kilka kresek wystarcza, aby odwzorować bujną mimikę i ożywioną gestykulację. Dość powiedzieć, że jak na stado statycznych patyczaków bohaterowie Dema sprawiają wrażenie wyjątkowo ruchliwych.

Podobnie jak Mrozek, Dębski spogląda na swój warsztat z pewną dozą pobłażliwości. Swoje komiksy okrasza autotematycznym humorem. Dla przykładu, w „Magach” para podglądaczy próbuje nazwać bawiącego się na dziedzińcu szkoły czarodziejów psa. Jeden z nich twierdzi, że to mops, drugi obstawia golden retrievera. Łatwo się pomylić, gdy w rzeczywistości pupil zbudowany jest z ośmiu kresek i dwóch kropek.

Dem kreuje wizerunek artysty niechlujnego i nonszalanckiego, ale starego wróbla na plewy nie nabierzesz – zarówno „Raptory”, jak i „Sosy” to albumy dokładnie przemyślane, w których zbirkowane dowcipy nakręcają nieprzewidywalną akcję. Owa nieprzewidywalność jest znakiem rozpoznawczym Dębskiego, mieszącego zainteresowanie popkulturą z talentem do tworzenia memów, opowiadania anegdot i konstruowania rozbających puent.

Smutni chłopcy

Jakub Dębski był jednym ze współzałożycieli NetKolektywu, grupy zrzeszającej

autorów webkomiksów. Wśród jej członków znalazło się miejsce dla całej fury minimalistów. Najciekawszym z nich, najbardziej ortodoksyjnym, jest Jan Mazur. Zaczynał karierę jako scenarzysta, sam nazywa siebie „rysownikiem z przypadku”. W jego wykonanych pracach nie ma jednak na przypadek miejsca.

Autor „Końca świata w Makowicach” kreśli geometryczne światy za pomocą linii i krzywek; każde pociągnięcie ołówkiem wydaje się zaplanowane. Jego kadry są symetryczne i powtarzalne, ich liczba oraz kształt niemal nie ulegają zmianom. O ile u Dębskiego atrakcją są zmienność i nieprzewidywalność, o tyle siłą komiksów Mazura okazują się stałość oraz rutynowość. Arsenal narracyjnych zabiegów warszawskiego komikszarza składa się z pauz, powtórzeń i odroczonej puent. Wszystkie te narzędzia służą do opowiadania historii o przeciekającym przez palce życiu, pogrążeniu w marazmie oraz nieznośnie nieefektywnej codzienności.

Od „Przypadku pana Marka”, przez „Tam, gdzie rosły mirabelki”, po „Incela” – Mazur przygląda się osobom, które zostały wyjęte poza nawias tak społeczeństwa, jak i popkultury. Zwraca się ku nieśmiałym mieszkańcom osiedli z wielkiej płyty, blockersom skrywającym pod fasadą agresji wrażliwość oraz chłopakom szukającym remedium na chorobliwą niepewność w ekstremizmie.

Bibliografia niegdysiejszego członka NetKolektywu pęka w szwach od opowieści o everymanach niepasujących do żurnalowych wyobrażeń. Opisywanych przez Mazura bohaterów mijamy niemal codziennie, co więcej, czasem sami nimi jesteśmy. Wyrosły z „niezalu” autor z socjologicznym zacięciem przygląda się naszemu troskom i lękom. Lektura jego patyczakowych tragifarsów pozostawia po sobie defetystyczny posmak. Nie tłumy go nawet wszędogłowski dowcip, gdyż ten w wydaniu Mazura jest wyjątkowo cierpki, a uśmiech, który wywołuje, co najwyżej sardoniczny. Cóż, zawsze możemy zawrócić do Mirmilowa.

© REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

 **RADIO 357**
Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika”
w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.
Słuchaj na żywo lub w podkastach na [Radio357.pl](https://radio357.pl)

Lekcje dla dorosłych

ANITA PIOTROWSKA

Ta niezwykła opowieść o wyzwającym buncie przeciwko ślepym socjotechnikom przypomina klasyczne „Stowarzyszenie Umarłych Poetów” Petera Weira.

ISTNIEJE POWIĘDZENIE „JEDEN NAUCZYCIEL może zmienić świat” i wielu z nas miało szczęście przekonać się o tym na własnej skórze. Tak też pewnie myśli o swoim powołaniu Carla Nowak, rozpoczynając nową pracę w gimnazjum. Jednak „Pokój nauczycielski” to film, w którym szkoła dość szybko okaże się brutalnym laboratorium socjologicznym. I zarazem przestrzenią, gdzie najzacieśniej ambicje pedagogiczne czy naprawcze muszą zmierzyć się z tym, co do końca nieprzewidywalne. Przede wszystkim z ludzką kruchością.

Ilker Çatak jako dziecko imigrantów przygląda się niemieckiej szkole ze szczególnym wyczuleniem. Na pierwszy rzut oka zdaje się ona miejscem postępowym, wielokulturowym, otwartym, wsłuchanym w potrzeby różnych dzieci i oczekiwań ich rodziców. Serce rośnie, kiedy widzi się, z jaką cierpliwością i zapalem młoda Frau Nowak tłumaczy matematyczne zagwozдки czy prowadzi ćwiczenia fizyczne – jest wychowawczynią trzynastolatków i jednocześnie nauczycielką dwóch przedmiotów.

Doskonale wypada w tej enigmatycznej roli Leonie Benesch, znana z „Białej



wstążki” Michaela Hanekego czy serialu „Babilon Berlin”. Imigranckie pochodzenie bohaterki również musi uwrażliwiać ją na pewne aspekty szkolnego życia. Ale już jej kolega po fachu o równie swojskim dla nas nazwisku Dudek (gra go Rafael Stachowiak, znany też z „Białej odwagi” Marcina Koszałki) nie podziela tej wrażliwości.

Z drugiej strony to ona, zrazu wzorcowa służbistka, kurczowo trzyma się reguł i w pokoju nauczycielskim woli nie rozmawiać po polsku. Kiedy jednak na terenie szkoły zaczyna dochodzić do drobnych kradzieży, to Carla samotnie przeciwstawia się podejrzeniom i uprzedzeniom wobec tureckiego chłopca tudzież policyjnym metodom badania sprawy. A w końcu bierze śledztwo we własne ręce. Tyle że ten, kto zaczyna kogoś śledzić, jednocześnie sam zaczyna czuć się śledzony.

W pewnym momencie „Pokój nauczycielski” skręca niemalże w rejony psychologicznego thrillera, co punktuje raz po raz minimalistyczna, zgrzytliwa muzyka. Zresztą kamera Judith Kaufmann („W gorsecie”, „Moja cudowna Wanda”), zafiksowana niemalże non stop na głównej postaci, wyraźnie sugeruje, że mamy do czynienia z bardzo introwertyczną naturą. Wiele wskazuje także na to, że Carla nie ma innego życia poza pracą, toteż niemal 100 procent filmowej akcji rozgrywa się w szkolnych murach. Przed nami nowoczesny moloch pełen niekończących się korytarzy i schłodzonych wnętrz, jakkolwiek Çatak wcale nie próbuje na siłę

dehumanizować tego miejsca. Choć pełna idealizmu, skupiona na swoich celach nauczycielka musi doskonale wy-czuwać ukrytą w nim opresję i szybko przejmujemy taką perspektywę.

Ta historia krąży wokół winy. Prowokacja, jaką bohaterka po cichu aranżuje, by przyłapać na gorącym uczynku szkolnego kieszonkowca, rozpoczyna reakcję łańcuchową, której stawka okaże się dużo większa od prawdy. To zresztą kolejny świetny film, obok chociażby „Anatomii upadku” Justine Triet, gdzie nadmierne dociekanie „kto to zrobił?” przesłania istotę rzeczy. W tym przypadku uruchamia również pytania o sens nauczycielskiego fachu, w którym domniemana skuteczność pedagogiczna może drastycznie rozmiąć się z uczniowskim dobrostanem. A poszukując za wszelką cenę sprawiedliwości, można po drodze sporo napsuć czy wręcz niechcący przyczynić się do czyjejś tragedii. Jest w „Pokoju nauczycielskim” scena, gdy Clara daje w prezencie klasowemu ulubieńcowi kostkę Rubika. Rychło przekonają się oboje, że życia, w przeciwieństwie do zabawki logicznej, nie da się poukładać wedle gotowych algorytmów.

Z powodu nadgorliwości głównej bohaterki, która z coraz większym przerażeniem obserwuje skutki własnego czynu, zaczynamy myśleć o granicach kontroli nad rzeczywistością, również tej sprawowanej rzekomo w słusznej sprawie. A że dobrymi chęciami bywa wybrukowane także szkolne piekielko, najlepiej pokazuje scena zebrania rodzicielskiego, kiedy

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
głoszą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE

POKÓJ

NAUCZYCIELSKI

(Das Lehrerzimmer)

– reż. İlker Çatak.

Prod. Niemcy 2023.

Dystryb. UIP.

W kinach.

İlker Çatak to niemiecki reżyser i scenarzysta o tureckich korzeniach, twórca filmów „Tam, gdzie jesteśmy”, „Zgodne oświadczenie stron”

czy „Stambulski ogród”. Jego „Pokój nauczycielski”, do którego napisał scenariusz z Johannesem Dunckerem, otrzymał nagrody specjalne na Berlinale, pięć German Film Awards i był nominowany do Oscara w kategorii filmu międzynarodowego.

Na zdjęciu: Leonie Benesch (w środku) jako Carla Nowak w filmie „Pokój nauczycielski”, 2023

nagle wszystko zaczyna obracać się przeciwko Frau Nowak. Głównym zaś oskarżycielem okaże się niewinne i wrażliwe dziecko (w tej roli świetny Leonard Stettinisch), co będzie dla niej porażką największą.

W referowaniu tej historii należałoby po-prześcić na ogólnikach, albowiem zasada się ona w dużej mierze na tajemnicy i suspense, by zawieść nas w rejony nie tak oczywiste. Być może scenariusz prowadzi nas po sznurku trochę zbyt napiętym, aczkolwiek koresponduje to poniekąd z tematyką filmu, czyli z opowieścią o tym, jak życie wymyka się procedurom, cenzurom i systemom. I jak łatwo stać się zakładnikiem własnego systemu przekonań. Podczas jednej z lekcji wychowania fizycznego Clara zadaje ćwiczenie, w którym grupa dzieci musi zmieścić się na małym koźle gimnastycznym. Nikt w takiej pozycji nie czuje się komfortowo i za chwilę ktoś może spaść – słuszny cel nie zawsze uświęca środki.

Ostatecznie niemiecki film okazuje się dziełem o wyzwalającym buncie przeciwko ślepym socjotechnikom i są momenty, zwłaszcza w brawurowym finale, kiedy przypomina pod tym względem klasyczne już „Stowarzyszenie Umarłych Poetów” Petera Weira. Lecz niemiecki reżyser poszukuje uwolnienia zupełnie innymi drogami, bo na chłodno, czasami sarkastycznie, bez patosu i romantycznych otulin.

Ustawiona pod pręgierzem szkoła z filmu Çataka zamienia się w społeczny poligon. Stąd pewnie międzynarodowy sukces skromnego filmu, w którym obraz placówki edukacyjnej, w trosce o dzieci kultywującej zasadę „zero tolerancji”, tak chętnie bywa kojarzony z mechanizmami współczesnej zachodniej demokracji. A raczej z rozmaitymi jej nadużyciami w imię bezpieczeństwa, porządku, uczciwości, transparentności czy równości. Bo najbardziej liczy się właśnie owa fasada, w tym wypadku pozytywny wizerunek szkoły. Pod spodem kryje się posłuszeństwo i strach jako narzędzia manipulacji, której celem jest wychowanie sformatowanych i uległych obywateli. Dlatego w pewnym momencie wszyscy – nauczyciele, rodzice, a w szczególności uczniowie – tracą zaufanie wobec siebie nawzajem. Co charakterystyczne, filmowe dzieciaki wyczuwają cały ten fałsz instynktownie, podczas gdy dorosła Clara musi dopiero do tego dojrzeć, potykając się o własne nauczycielskie ambicje i czysto ludzkie błędy. ©

Lektor: System, naród, wolność



■ Wasilij Grossman

WSZYSTKO PŁYNIE

Z języka rosyjskiego przełożyła Wiera Bienkowska. Przedmowa Robert Chandler. Noir sur Blanc, Warszawa 2024, ss. 200.

POCIĄG Z CHABAROWSKA ZBLIŻA SIĘ JUŻ DO MOSKWY, w przedziale młody ekonomista, działacz związkowy i kierownik robót z prowincji grają w preferans, gadają o płytach, meblach, sanatoriach w Soczi, o Spartaku i Dynamie, a także o nierobach z kołchozów, narzekających, że niby musieli jeść liście lipowe. Trochę się spierają, ale w jednym zgadzają: „Najważniejsze, żeśmy Rosjanie, a Rosjanin – to nie byle kto!”, „Starszy brat, pierwszy wśród równych”.

I tylko czwarty z podróżnych, wyglądający staro i nędznie ubrany, milczy. Iwan Grigorjewicz przez minione 30 lat wędrował od więzienia do więzienia, od łagru do łagru. Teraz, zwolniony po śmierci Stalina, będzie próbował pozbierać szczątki utraconego bezpowrotnie życia. Z bliskim sobie niegdyś kuzynem nie nawiąże już porozumienia – ten broni kompromisów, jakie zapewniły mu w miarę spokojne życie, choć łagierownik niczego od niego nie chce. Narzeczona Iwana dawno już wyszła za innego. Owszem, Iwan przeżyje jeszcze miłość do Anny Siergiejewny, u której zamieszkał, ale choroba mu ją odbierze.

Wasilij Grossman (1905-1964), urodzony w żydowskiej rodzinie w Berdyczowie, prozaik i korespondent wojenny, to jeden z największych i najuczciwszych pisarzy rosyjskich minionego wieku, choć jego prawdziwą wielkość mogliśmy docenić wiele lat po jego śmierci. Jego epickie arcydzieło, „Życie i los”, KGB skonfiskowała w 1961 r.; pierwsze wydanie, w oparciu o cudem ocalały egzemplarz, ukazało się w 1980 r. „Wszystko płynie” nieco wcześniej trafiło do samizdatu i na emigrację.

To pochwała jednostkowej wolności i pierwsze bodaj tak ostre oskarżenie systemu sowieckiego, niecofające się przed zestawieniem go z nazizmem. Książka niejednorodna gatunkowo – bo skąpą intrygę fabularną uzupełniają partie eseistyczne – stanowić może odtrutkę na wielkoruskie klimaty, które odpychają nas dziś, w dobie wojny, od wielu cenionych wcześniej autorów. No i zawiera ona rozdział absolutnie wstrząsający – relację o „rozkułaczaniu” i klęsce głodu, którą Iwanowi przekazuje Anna. Tę relację uzupełnia króciutki obrazek – portret ukraińskiej rodziny Karpienków, rozpoczynający się jak sielanka, kończący ich śmiercią głodową i słowami pełnomocnika wydziału rolnego: „Jak sprzątniecie trupy, nie ma sensu odbudowywać tej budy”. ©®

OLGA

Drenda:

Bądź mądry i pisz wiersze



POETA ZOSTAŁ NAJPRAWDZIWYSZYMI MİLIONEREM! Gratulacje! Nie dzięki wierszom, co prawda, a dzięki trafnej odpowiedzi na pytanie dotyczące tetrapodów, ale nic nie szkodzi. Zapewne to i tak wystarczająco dobra okazja, żeby porozmawiać o niemożliwym i kłopotliwym temacie poezji.

„Niektórzy lubią poezję, niektórzy – czyli nie wszyscy”, żartowała sobie z własnego położenia wielka poetka polska, do tego akurat raczej powszechnie lubiana. Gdyby ktoś pobieżnie spojrział na świat polskiej reklamy i muzyki pop, mógłby odnieść wrażenie, że jesteśmy narodem rozpoetyzowanym. Wiersze promowały ostatnio popularną markę biżuterii, a Sanah śpiewająca Asnyka i Słowackiego sprzedawała 150 tysięcy płyt. Mimo takiego ewidentnego zapotrzebowania na lirykę, zawód poety nie należy jednak do dochodowych, a nawet często bywa wykonywany nieodpłatnie. Trzeba się naczekać na Nobla lub status wieszczki, w międzyczasie poświęcając się innej działalności. Dlatego koledzy i koleżanki ze świata literatury gratulują wygranej szczerze, jednocześnie nie mogąc się nadziwić niespodzianemu sąsiedztwu kategorii „poezja” i „pieniądz”.

Poezja uchodzi za trudną materię w powszechnym mniemaniu, a może wręcz zbędną – co jest ciekawe, zważywszy na to, że poeci bywają często hołubieni jako najwybitniejsi przedstawiciele swoich krajów, ale przecież świat

zasadniczo nie jest logiczny. Może trochę nawet wypada jej nie rozumieć, tak jak współczesnej muzyki poważnej – zwłaszcza wtedy, gdy się nie rymuje lub gdy wersy wydają dziwnie asymetrycznie, ze zwisającym pojedynczym słowem albo nawiasem. Wtedy to przecież jakaś bezsensowna zabawa (i pyszna okazja, żeby się popisać oburzeniem w stylu „i to ma być poezja?” albo „i to na to idą moje podatki?”; niektórzy z takiego nastroszenia czerpią wiele satysfakcji).

Sama muszę przyznać szczerze i bez żadnego wstydu, że zupełnie nie znam się na poezji i niekoniecznie wiem, kiedy bywa ona dobra lub niedobra. Lubiłam czasami czytać rubryki, w których krytycy rozwalcowywali jakiś nieszczęsny tomik z przyczyn dla mnie niepojętych, ale podchodziłam do tego jak do ostrożnego obcowania z wiedzą tajemną, która rządzi się tyle hermetycznymi, co bezlitosnymi prawidłami. Nie było mi dane się ich nauczyć, jednak pewnego razu odkryłam, że nie są one konieczne i można cieszyć się lekturą wiersza jako zupełnie radosny amator (podobne zdanie mam o muzyce współczesnej i zachęcam, by nie przejmować się bujdami, jakoby trzeba było gramolić się przez bardzo wysokie progi, żeby się cieszyć czytaniem i słuchaniem). Czytania po swojemu nikt nikomu zabronić nie może.

Polonistą być nie trzeba ani zaawansowanym konserwem; słowami posługujemy się wszakże wszyscy. Tym, czym wiersz potrafi zwyciężyć, znieścacka przyspilić, jest nastrój, który bierze się z sumy różnych jakości – rytmu, skojarzeń, brzmienia słów. Nie musimy znać się na teorii kina, by dać się ponieść kombinacji światła, scenografii, muzyki i zdjęć. Tak samo potrafimy wczuć się w nastrój w muzyce, nie wiedząc nawet, jaki słyszemy właśnie instrument. Bywa, że wiersz, napotkany w dobrą godzinę, trafia do nas jak mocna fotografia. Zdarzyło się to i mnie, zrzędzeniem losu. Nie kierowała mną ambicja, chęć dokształcenia, zaimponowania znajomym ani nawet wspomnienia dekady mieszkania w Krakowie. Wystarczyło, że po dotkliwym połamaniu się i operacji łokcia nie mogłam spać i sięgałam w chwili zdesperowanej ciekawości po przypadkowe tytuły z pożyczonej biblioteczki. Ale gdyby nie magnetyzm chwili (czytać wiersze nocą bezsenność kicz, ale jaki pociągający), to nie poznałabym Mariana Ośnialowskiego, tego przygaszonego miejskiego jazzmana, który pisał o postaciach jak z obrazów Hoppera, ze świata jesionek, filcowych kapeluszy. Albo Swena Czachorowskiego z jego małomiasteczkowym, mazowieckim gabinetem połączonych osobliwości. Nadal nie znam się ani trochę na poezji, ale przeczytałam i polubiłam.

Czytania po swojemu nikt nie zabroni ani nie odbierze. Dlatego podoba mi się, że Marcin Wawrzyńczak, znawca i mieszkawca Gór Izerskich, uruchomił Poezjomat, który wyświetla wiersze na ekranie LED przy automacie z kawą. To dobrze, gdy można zamówić sobie parę słów do kawy, i przeczytać między śledzeniem ogłoszeń lokalnych. Nastrój może się wtedy nawinąć sam. ©

Trzeba
nam słów
krzepiących
i niedrogich
jak sypana
kawa.



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Tygodnik Smaków – co piątek w Twojej skrzynce
przepisy na Tygodnikowy
lunch, deser, obiad.
Zapisz się na
powszech.net/tygodnik-smakow



Bravo: Rocznicowa mostarda



DZIESIĘĆ LAT TEMU ZACZĄŁEM SKROBAĆ łyżką o dno tygodnikowego kociołka, byście, nasyciwszy się gęstą treścią poprzednich działów, pojedli jeszcze coś, i dzięki temu mogli stawiać czoło postowi przed wydaniem kolejnego numeru. I tak w kółko, co tydzień,

szukuję wam prowiant na drogę do następnej środy. A cóż nas obchodzą twoje rocznice? – zawołacie. – No, chyba że zapraszasz na bankiet? Wiem, ciało nasze potrzebuje góra parunastu godzin, by przeżuć, rozłożyć, wchłonąć lub wydalic przyjęty pokarm. Zjedzone, pozmywane, zapomniane. Nie mam skłonności do rozpamiętywania minionych obiadów i unikam jubileuszy.

Ale akurat dopiero co o swojej rocznicy napisał w newsletterze Yotam Ottolenghi. Kucharz, autor i popularyzator, czynny w Wielkiej Brytanii, ale o bliskowschodnich oraz sefaryjskich korzeniach, należy do grona kilku osób, które na pewno wywarły mocno wyczuwalny wpływ na gusty i aspiracje jedzeniowe Zachodu poprzedniej i obecnej dekady. Wznosi się wysoko ponad całą tę efemeryczną zbieranie chwilowych gwiazdek Instagrama. Mam do niego szczególną słabość, bo zaistniał w szerszej świadomości mniej więcej wtedy, gdy sam zaczął szukać sposobu, by bardziej świadomie gotować i o tym pisać.

Pisz więc Ottolenghi, że siedemnaście lat prowadzi w „Guardianie” dział z jedzeniem (nie sam, jest też np. świetny Nigel Slater, zapamiętajcie to nazwisko, jeśli jeszcze nie znacie) i z tej racji zerka w przeszłość: kiedy zaczynał, w supermarketach nie dało się dostać przyprawy *ras el hanout* ani czarnego czosnku, a z dostępnością bakłażana też różnie bywało. Gdyby tworzyć polską wersję tej listy, byłby spokój tylko z bakłażanem, faktycznie obecnym już wszędzie. Podobnie jak wszechobecne są owoce granatu, o których Ottolenghi wprawdzie nie wspomina, ale kojarzą mi się z jego osobą – to on wymyślił myk, by sypać bordowe ziarenka gdzie popadnie. Czarny czosnek – czyli specjalnie fermentowany w beczkach, słodkawy – jest do ściągnięcia przez internet, ale na półkach raczej go nie widuję.

Dajmy sobie krótką dyspensę na wspominki: 10 lat temu, jeśli chodzi o kuchnię śródziemnomorskie, było już całkiem dobrze, skończyły się czasy wozienia w walizce atramentu z mątwy. Ale też spisałem wtedy listę uciążliwych dla mnie osób. Sądziłem, że braków. Zajrzałem do niej teraz – nic się nie poprawiło. Są na niej rzeczy wciąż niepasujące do polskiego ducha, jak np. *mostarda*, czyli połączenie kandyzowanych słodkich owoców z ostrym smakiem gorczycy, dobry dodatek do serów i zimnych mięs. Dalej nie mamy też łatwo dostępnego miodu kasztanowego – to się chyba nigdy nie wydarzy, bo miód w Polsce nie ma prawa być gorzki. Dziś bym dopisał do listy kapary przechowywane w soli, a nie w zalewie, która zupełnie zabija ich smak.

Kiedy jeszcze nasz kącik kuchenny pachniał świeżą farbą, dietę Amerykanów próbowała bezskutecznie uwarzyć Michelle Obama. Coca-Cola wypuszczała butelkę z logiem napi-

sanym solidarycą, bo wypadło ćwierćwiecze wolności świętowane wtedy z butnym samozadowoleniem, którego Platforma zdążyła się, mam nadzieję, pozbyć. Mieszkańcy eleganckich willi na Wilanowie chcieli zamiany ulicy Rzeżuchy na Rukoli – dziś, w czasach mody na prząsność i wszystko, co ludowe, byłoby to nie do pomyslenia.

I tak dalej, wszystko poza obrotem pór roku i sezonów wydaje się inne, odległe, egzotyczne. Jedno się tylko nie zmieniło. Za pierwsze teksty wzięłem się tuż po pierwszej napaści Moskwy na Ukrainę – wtedy to były zielone ludziki na Krymie i początek walk o kawałek Donbasu. Kończyłem tekst o tiramisu, słuchając wiadomości o lipnym referendum. Dwa miesiące później opowieść o truskawkach zaczynałem od słów plantatora: „przez ten cały bałagan nie mam ludzi, jeden prosto z pola poszedł do wojska” i zastanawiałem się, czy droższe owoce to dla nas akceptowalna cena za ten cały bałagan. Opowieść o francuskim placku z czereśniami puentowałem aluzją do lotniskowców, które jeszcze wówczas Paryż chciał Putinowi sprzedać. Teraz Francja wydaje się gotowa bardzo popsuć relacje z Rosją i trzeba to docenić. Wojna i krzywdy Ukrainy z rąk moskiewskich prześladować zatem tę rubryczkę. A może wystarczy, bym ją zamknął, żeby powrócił jako-tako sprawiedliwy pokój...? Sami widzicie, nie powinienem obchodzić rocznic, bo wykrywacz narcyzmu dzwoni jak oszalały. ©©

Czy istnieje wśród tych ponad pięciuset mój ulubiony przepis?

Przeglądałem je trochę pod tym kątem, ale oczywiście nie ma takiego. Żeby zaprzeczyć idei *the best of*, przypomnę wam z tych pierwszych miesięcy istnienia rubryki jeden bardzo skromny, na **apulijskie obwarzanki taralli**. Do **500 g mąki** dodajemy **150 ml oliwy**, **200 ml białego wina** i **szczyptę soli**, mieszamy, przekładamy na stolnicę i parę minut wyrabiamy do uzyskania dość elastycznego, ale miękkiego ciasta. Odkładamy na pół godziny. Formujemy wałeczki, odcinamy po kawałku i zawijamy w kształt małego obwarzanka. Tak powstałe kółeczka na moment rzucamy na wrzątek, po czym pieczemy na blasze wyłożonej papierem w 180 stopniach do zrumienienia. Lubię dodawać do ciasta **nasion kopru włoskiego** albo **rozdrobnionego rozmarynu**. Jest też wersja słodka – wtedy do ciasta trzeba dać **ok. 150 g cukru**.



W DÓŁ MAPY

Trzymałem się ścieżki,
którą szli kolejni turyści. Czas okrążał górę,
ale nie prowadził do jej serca. Zrozumiałem,
że dusza Uluru jest nadwątlona.

TEKST I ZDJĘCIA **MICHAŁ MILCZAREK**

WIECZOREM POWIETRZE W DARWIN PRZENIKAŁA OCHRA. Był to kolor ziemi, barwa wypalonego przez słońce kontynentu. Już tu, na skraju, na australijskiej Dalekiej Północy, dało się wyczuć jego serce, można go było zobaczyć. Kontynent nadciągał z głębi horyzontu, pełził na miasto z południa nieubłagany jak geologia, wiszący nad miastem jak fatum. Patrzałeś i widziałeś, że miasto rozstępuje się, rozsypuje, znika pod naporem tego, co prastare, nieobjęte i zwycięskie.

Po zmroku widać było ogień na Półwyspie Coxa po drugiej stronie zatoki. Ogień trawił dżunglę; w stronę fioletowego nieba, które nakłuwały pierwsze gwiazdy, wznosił się słup dymu. Na morzu Timor pęgała luna.

Czerwień ziemi, ogień, dym, kakadu śpiące w ciemnych koronach eukaliptusów – to wszystko było odwieczne. Na ich tle wysokie centrum i parte-

rowe przedmieścia Darwin wydawały się mirażem, dekoracją, chwilowym zaburzeniem biegu czasu.

Wiatr z kontynentu

W stronę Ziemi Arnhema prowadziła pusta szosa. Wiało. Był początek sierpnia, zaczynał się *gurrung* – okres gorących wiatrów. Ziemia już wyschła. W rozpalonym powietrzu wirowały kanie. Deszcz miał przyjść dopiero w listopadzie. Na poboczach leżały martwe walabie. Ptaki i mrówki zjadały resztki. Radio nie łapało żadnej stacji. Z kopalni uranu w Jabiru wlekły się pociągi drogowe – potężne *road trains* ciągnące kilka przyczep. Zatrzymywałem się, wysiadałem z samochodu, stawałem na czerwonej, nagrzanej ziemi i patrzałem w pustkę. Wiało. Busz szumiał. Czas przestawał płynąć.

Rzeka Południowego Aligatora wyglądała jak Irtysz. Brzegi były dalekie i bezлюдne. Tylko ruch światła i wrzask kakadu okupujących uschnięte drzewa. W Rzece Wschodniego Aligatora kotłowały się kilkumetrowe krokodyle. Ryby nie miały szans – słysząc było, jak ich ciała trzeszczą miażdżone w gadzich paszczach.

Na skałach w Parku Narodowym Kakadu widniały rysunki ludzi i zwierząt. Wiek niektórych szacowano na czterdzieści tysięcy lat. Ludzi narysowano za pomocą cienkiej kreśki. Tylko kości, genitalia, piersi u kobiet oraz oczy – to, co najważniejsze. Zwierzęta miały ciała, a ludzie nie. Byli bardziej duszą niż ciałem. Jak gdyby znajdowali się gdzieś pomiędzy. W świetle, a zarazem poza nim.

Najpiękniejsze było malowidło przedstawiające scenę transu. Kości, głowy i genitalia uchwycono w ekstatycznych pozach. Niektórzy zawiśli do góry nogami, inni lewitowali albo płynęli w powietrzu. Paleolityczny stroboskop. Człowiek sprowadzony do samych pierwocin – żywe kości, wirowanie i podskoki oraz świadomość niemieszcząca się w ciasnej czaszce, wzlatująca ku odmiennym stanom. Człowiek jako istota transowa.



Słońce wypełniało wszystko, ale ziemia była większa. Nocą słońce zachodziło, a ziemia zostawała – jeszcze bardziej obecna niż w dzień. Żywa, potężna, będąca absolutem – początkiem i końcem wszechrzeczy. Wiało. Wciąż wiało z głębi kontynentu.

Dziesięć samochodów

Dlatego pojechałem na południe. Autostopem, bo tak jest lepiej i uczciwiej. Trzeba wyjść światau naprzeciw – tylko niewielki plecak, kości zanurzone w ciepłym cieple i istnienie jarzące się we wnętrzu czaszki. Na kartonie napisałem czarnym flamastrem ULURU, żeby było jasne, że to pielgrzymka. 1960

kilometrów w dół mapy. Połowa kontynentu. Jechałem przez Outback. Świat powoli pustoszał, wszystkiego robiło się coraz mniej. Coraz mniej słońca, coraz mniej drzew, coraz chłodniej, coraz dalej. Tylko mapa rosła, powiększała się, zagarniała całą przestrzeń. I rósł kontynent – powiększał się, następował ze wszystkich stron, anihilował i pomniejszał to, co – na przekór presji nicości – jeszcze tam istniało. Było tego niewiele: małe osady raz na sto kilometrów, odludne stacje benzynowe, bary na pustkowiu, czerwone pobocza i czarne noce. Reszta zlewała się w jedno. Odwrócone niebo, suche zarośla, karłowaciejące eukaliptusy, kopce termitów. Prosta, monotonna droga przez stary, zmęczony, wypalony przez słońce i wygładzony przez geologię kraj.

Cztery dni, dziesięć samochodów. Facet w bardzo ładnym dżipie zapytał, czy go nie zabije. *No worries, mate*. Dziewczyna na widok kartonu z Uluru krzyknęła „Dżizes”. Sikh z Melbourne kierujący tirem z pustą lawetą rozumiał ideę autostopu. Mówił, że bierze każdego. Ktoś opowiadał o pastwiskach, ktoś o Aborygenach wachających benzynę, ktoś o konieczności wypalania prowadzonej z RPA trawy *Cenchrus ciliaris*, ktoś o misji pokojowej na Timorze Wschodnim.

Jedną okazję złapałem od razu na tysiąc kilometrów. Wzięła mnie ekipa malująca linie na drogach tego wielkiego kraju. Jechali w dwie ciężarówki i wyruszali jeszcze przed świtem. Udoskonalaliśmy monotonię kontynentu, malując na asfalcie linię ciągłą i przerywaną.

Czasami wyglądało to jak zachodnia Syberia. Czelabińsk, Kurgan, Omsk. Albo jak północny Kazachstan. Równina po horyzont, trawa i niewysokie drzewa. Tylko że zamiast brzoź – eukaliptus. Lasostep i wietrzna pustka.

Setka za setką – ale niewiele się zmieniało. Tylko asfalt, ciężarówki ciągnące po trzy albo cztery naczepy, trupy potraconych kangurów i kanie krążące w błękicie. Słońce, wiatr, czerwony pył. I ciągle ta szara, płaska szosa, biegnąca przed siebie, obiecująca coś, co nie mogło się spełnić, działająca jak środek nasenny. Żadnych prawie zakrętów, żadnych wzniesień. Puste kilometry. Nic. Kilometry rosły albo topniały – ale nie miało to większego przełożenia na rzeczywistość. Mapa nie miała za wiele sensu – traciła swoją moc, blakła, wsiąkała w ziemię.

W głębi czasu

Dlatego patrzyłem na boki – w stronę sawanny ciągnącej się monotonna wzdłuż szosy. Chciałem wysiąść i pójść w głąb. Zejść z mapy, opuścić geografię. Zredukować ową nużącą przestrzeń do najbliższego otoczenia: eukaliptusów, suchej trawy, kopców termitów, ochry pod nogami. Opuścić przestrzeń i wejść w czas.

Wypatrywałem ścieżki, która poprowadziłaby mnie w głąb czasu. Szedłbym przez czerwoną ziemię, przez krajobraz bez brzegów. Słuchałbym, co mówi ziemia. Nazywałbym to, co widzę, wymawiał słowa, szukał mitów i imion zalegających w krajobrazie.

→



→ Krajobraz Australii miał charakter totemiczny. Jego sens krył się w głębi czasu. Tkwiły w nim ślady wędrówki ludzkich i zwierzęcych praprzodków w epoce snu, która miała miejsce na początku czasu. Australia najpierw się przyśniła, a dopiero potem zaczęła istnieć. Wcześniej nie było tu nic, nawet Uluru nie było, tylko ubóstwo materii sypkiej jak piasek i bezkształtnej jak słona woda. Ziemia była jeszcze bardziej płaska niż teraz, a ludzie sklejeni ze sobą w bezkształtną masę i przemierzani ze zwierzętami. Potem zaczął się czas. Mityczni przodkowie przeszli cały kontynent, zamieniając chaos w kosmos, nadając formę temu, co formy nie posiadało, rzeźbiąc ziemię. Robili to za pomocą śpiewu, wyśpiewywali ziemię. Kontynent narodził się z poezji.

Wyobrażałem sobie to wszystko, ale nie wysiadałem. Trzymałem się szosy. Nie znalazłbym raczej żadnej ścieżki, żadnych słów. Musiałbym nazwać wszystko od początku, a przecież już istniało, a zatem miało już nazwę. Nie wiedziałem, którędy przebiega droga snu. Zostałbym na odludziu otoczony przez nagą przestrzeń. Pustynny pył, palące słońce, brak wody. Szczelna przestrzeń, która wypełnia wszystko, okalając świat płaską linią horyzontu. Zamiast czasu – koryta wyschniętych rzek. Bezruch.

Jechałem i czułem melancholię. Szukałem czasu, który nie był mój. Mój czas powoli wyczerpywał się. Pewnie dlatego się spieszyłem. Chciałem zdążyć przed końcem – zachłanny i niepokodzony. Chociaż oczywiście dobrze wiedziałem, że ta zachłanność przyspiesza jego kres. Czas wcale nie jest nieskończony. I im więcej chcemy, tym mniej go zostaje.

Na szosie

Zresztą odbijałem się od tego czasu. Sześćdziesiąt pięć tysięcy lat – wtedy przybyli tu ludzie. Jesteśmy przyzwyczajeni do węższych zakresów. Tysiąc lat Polski, dwa tysiące chrześcijaństwa, niecałe trzy Rzymu, pięć Egiptu czy Sumeru. A tu całe sześćdziesiąt pięć ciągłości kulturowej. Prawie wieczność. Odrzutka na złudzenia o ważności nas samych.

Środek kontynentu był bardzo stary. Płaski, czerwony, pomarszczony przez wiatr. Wszystko, co istniało, rozpadło się w pył. Erozja wyrównała powierzchnię i Australia wyglądała jak świat u kresu, była wyczerpana, doszła do końca.

Czas był tam sypki jak piasek i nieprzebrany. Niepodobna było go przejść. Czułem melancholię, bo byłem tam całkowicie zbędny. Asphalt ciągnął się na południe, ale ścieżki w głąb czasu nie było. Krajobraz był zasklepiony w sobie i nie było do niego wstępu.

Ten kraj był przepastny. Samotny, otoczony przez ocean, będący na dobrą sprawę wyspą. Trochę jak księżyc. Ziemia była tam większa niż niebo, a czas większy niż przestrzeń. Dlatego zostałem na szosie. Czy i tak nie objęłyby tego kraju. Ten kontynent nie był do oglądania.

Wiał wiatr. Na pustej szosie malowaliśmy linie przerywaną i ciągłą. Przerywana i ciągła prowadziły na południe kontynentu, próbując nadać mu namiastkę sensu.

Z Alice do Adelajdy

Alice Springs w niedzielne popołudnie było zupełnie puste. Wszystkie zamknięte, prawie nikogo. Pustynia wdarła się do miasta – i miasto się poddało, skapitulowało. Zostały słońce, czerwona ziemia i eukaliptusy. Puste centrum miasta w pustym centrum kraju. Stacja kolejowa wyglądała jak Wierchnij

Baskunczak w obwodzie astrachańskim. Albo gdzieś w Kazachstanie. Jeden tor, piasek, niewysokie eukaliptusy i nadkruszony pomnik wielbłądów. The Ghan błyszczał w niskim słońcu.

O dziewiątej wieczór miał odjechać do Adelajdy. Stary Abo-rygen chodził po martwych ulicach i puszczał na cały regulator country z boomboxa. Inni obozowali na trawie albo siedzieli na murku. Prosił mnie, żebym kupił im czteropak w jedynym czynnym monopolowym, bo mają bana. Reszta dla mnie. Nie spieszyli się, nie mieli dokąd. Ten czas do nich też nie należał. Patrzeli gdzieś w bok. Chyba czekali na Godota. Ale Godot nie nadchodził, dlatego szli po kolejny alkohol. Niektórzy malowali. Malarstwo przynajmniej w części ich ocalało. Abstrakcyjne, punktowe obrazy, które tworzyli, były piękne. Wyglądały jak ziemia z samolotu, ale geografia spletała się w nich z mitem. Gdy malowali, widziałem, że w ich oczach odbijają się emocje, że błyszczą, że ozywają.

Chodzili na przełaj, patrząc na ulice, linie, chodniki, przejścia dla pieszych jak na złudzenie. Wciąż pozostawali częściowo w paleolicie, a paleolit nie znał asfaltu i czerwonych świateł. Myślę, że postrzegali to jako zły sen – i czekali, kiedy się skończy i wszyscy powrócimy do paleolitu.

Te wszystkie miasta, ulice, drogi to musi być zjawy. Przez sześćdziesiąt pięć tysięcy lat było przecież inaczej. Dlatego czekali, aż się przebudzą i wszystko sennie, wiatr oczyści ziemię i będzie można wrócić do buszu. Leżeli na trawnikach, przechadzali się wolnym krokiem, boso. Czekali na murkach, na krzewnikach – i martwili się, że robi się późno. I jeśli ten dziwny świat z betonu i asfaltu zniknie, to mogą nie odnaleźć na powrót ścieżki. Bo ten sen się ciągnie tak długo, że zapominają już powoli, jak wygląda świat na jawie. Gubią śpiew.

Dusza Uluru

Rano Uluru było zimne w dotyku, zimne jak grób. Miało pięćset pięćdziesiąt milionów lat, poprzedzało wyjście roślin i zwierząt z wody na ląd, poprzedzało Pangeę, dinozaury, wielkie wymieranie, cały fanerozoik – poprzedzało właściwie wszystko. Było stare jak istnienie.

Dotykałem rzeczy mającej pół miliarda lat – i znikalem. Uluru też znikало, bo nie mogłem objąć go ani myślą, ani wyobraźnią. Nic stało naprzeciw niczego. Uluru było czasem – zastygłym, stwardniałym, skamieniałym, zmineralizowanym.

Znowu chciałem zejść w bok i zanurzyć się w zarośla. Wierzyłem, że we wnętrzu buszu mózg nabrałby plastyczności. Gdzieś tam kryły się ścieżki prowadzące do wnętrza totemicznej geologii. Wystarczy kucnąć na dłużej i czas zacznie powoli płynąć, odsłoni się. Wyobraźnia będzie przywracała go do istnienia.

Ale nie wolno mi było iść w krzaki. Zejście na rdzenną ziemię groziło mandatem. Trzymałem się ścieżki, którą szli kolejni turyści. Czas okrążał górę, ale nie wgłębiał się w nią, nie prowadził do jej serca. Mogłem patrzeć, ale wzrok wyczerpywał się w samym sobie, we własnej przeźroczystości. Ślizgał się po powierzchni – nie potrafił ożywić góry i rodził melancholię.

Wzrok bywał nawet zagrożeniem. Tu i tam stały tabliczki zabraniające fotografowania fragmentów skały. Tak jakby każde kolejne zdjęcie uszczuplało ją o gram. Zrozumiałem, że dusza Uluru jest nadwątlona, przetrzebiona, częściowo odparowała. Dlatego nie pozwalano się zbliżać, robić zdjęć, schodzić



Góra Uluru, sierpień 2023 r.

Na poprzednich stronach:
Alice Springs, sierpień 2023 r.

ze ścieżki, dotykać i kalać. Chroniono ją jak gatunek zagrożony wyginięciem. Im więcej osób chce ją zobaczyć, tym bardziej się kryje i kurczy. Dlatego posłusznie chowałem aparat i nie zbierałem z drogi prowadzącej przez ziemię ludu Mutitjulu.

Ekran miasta

Przyjechałem późno, wiem. Ocean był coraz większy, a ziemia coraz mniejsza i coraz bardziej sucha. Było za ciepło. Zwierzęta wycofały się do podziemi, zniknęły. Ludzie tracili pamięć. Nie umieli już śpiewać, nie umieli śnić. Pili pod sklepami i gubili ścieżki. Tak, dotarłem tam dość późno. Powinienem być przyjechać w plejstocenie. Spóźniłem się o kilkadziesiąt tysięcy lat. Lody stopniały, ziemię zalał potop.

Przyjechałem nie w czas. Wmieszałem się w tłum turystów, płaciłem dolarami i wyczekiwałem stopa. Powinienem być zostać na dłużej. Gapić się w czerwoną ziemię godzinami, tygodniami, latami – aż przestałbym się od niej odróżniać. Uczyc się od drzew obchodzenia się bez wody. Uczyc się od Aborygenów lunatykowania. Chować się przed słońcem. Czekać na deszcz. Starzeć się.

Wieczorem Uluru płonęło. Zapalało się na czerwono, żarzyło przez kilka minut, a potem gasło. Na tę krótką chwilę czas ożywał. Nie zostałem. Nie miałem jak. Wyjechałem, ale nie do końca. Światy się przemieszały, a sny wracały wolniej niż ciało – rozszczepiłem się. W Brisbane chodziłem między wieżowcami w spodniach i butach pokrytych rdzawym pyłem z serca kontynentu. Ziemia nie była już czerwona, czerwone były tylko światła. Naciskałem przycisk i czekałem, aż miasto mnie przepuści. Szedłem wśród ludzi, którzy nie patrzeli w oczy. W powietrzu krążyło darmowe wi-fi, ale nie korzystałem. Ptaki, które zerwały z naturą, unosiły się na nim jak na wietrze. Byłem zmęczony. Zgubiłem drogę.

Usiadłem na ławce i zasnąłem na chwilę. Słońce zaszło szybko, bo była australijska zima. Na niebo wylały się kolory, a z zacienionych zaułków wypełzał chłód. Patrzałem, jak dzień i jego odbicie w rzece gasną. Ale noc przegrywała z miastem. Jego światła były silniejsze niż gwiazdy. Świat ślepił, a miasto wciąż patrzyło oczami i kamerami. Szedłem dalej jak Aborygen, ale znowu nie mogłem trafić na żadną ścieżkę. Wokół była tylko siatka asfaltowych ulic i szklane wieże zasłaniające gwiazdozbiory.

Brisbane wyglądało jak zerojedynkowy układ scalony, zespół procesorów połączony pasami transmisyjnymi,

otwarte trzewia laptopa. Dotknąłem ekranu miasta, ale wyskoczył *error*, drzwi były zamknięte. Chodziłem po Brisbane długo, telefon liczył kroki, gratulując mi zdrowego trybu życia. Nie wiedział, że błędę, szukam czerwonej pustyni, próbuję wyjść poza zasięg, poszukuję drogi do Uluru.

Pod Adasiem

W Krakowie niewiele się zmieniło. Budziłem się co noc w tym samym miejscu – na pustyni gdzieś w środkowej Australii. Wydawało mi się, że jestem w caravan parku na pustkowiu, motelu albo przechodnim pomieszczeniu z łóżkiem – coś w tym rodzaju. Wokół głusza, niskie eukaliptusy i sucha, czerwona ziemia ciągnąca się po horyzont. Czułem jej intensywną obecność.

Ale jednocześnie miałem wrażenie, że zablądziłem. Nie wiedziałem, gdzie dokładnie się znajduję, gdzie jest mój plecak i która jest godzina. Dlatego wstawałem – i lunatykowałem. Po omacku dotykałem ścian, szukałem drzwi, plecaka. Chodziłem dookoła łóżka, bo rzeczywistość była podszyta nierzeczywistością. Przysnąłem, budzik nie zadzwonił. Wszyscy odjechali, a ja zostałem. Coś w tym rodzaju.

Potykałem się, więc włączałem latarkę w telefonie. Patrzałem oczami podobnymi do przepalonych żarówek na pokój, zasłonięte okno – ale nadal nic mi nie pasowało. Aż wreszcie zaczynało docierać do mnie, że to nie Australia, tylko Kraków. Jestem w swoim mieszkaniu, a nie na pustyni. Uspokajałem się i zasypiałem.

Ale po kilku godzinach budziłem się znowu na pustyni. Ciągle w tym samym opustoszałym motelu na pustkowiu. Nie mogłem stamtąd wyjść, bo gdy już wyszedłem, zasypiałem i ponownie się tam budziłem. I tak co noc. Czerwona pustynia nie chciała mnie wypuścić. Lewitowałem zawieszony w transkontynentalnym nigdzie, w międzyczasie i międzyświecie, gdzieś pomiędzy Polską a Uluru.

Po szóstej rano budziłem się na dobre. Już rozumiałem, że to nie Australia. Świtało. Wstawałem. Ubierałem się i wychodziłem. Szedłem, mając nadzieję, że może gdzieś dojdę. Może odnajdę ścieżkę. Nogi zaprowadziły mnie na Rynek, ale wszystko było zamknięte. Pierwszy lokal na Stolarskiej – od ósmej trzydzieści. Bar kawowy Rio – tak samo. Usiadłem więc na ławce pod Adasiem. Śmieciarki zabierały śmieci, czyszczarki myły nawierzchnię, poranni fanatycy turystyki nagrywali na telefony hejnał. Wstali wcześniej, żeby niczego nie przegapić.

Ja siedziałem i przegapiłem wszystko, bo byłem nieobecny. Miałem pewnie aparycję jak na kacu i pusty wzrok. Nic prócz słońca się nie zgadzało. Siedziałem pod Adasiem – i czekałem na samego siebie. Na horyzoncie wciąż było widać Uluru.

© MICHAŁ MILCZAREK

STANISŁAW

Mancewicz: Słabizna



POWIADA SIĘ, ŻE P. J. KACZYŃSKI WYGRAŁ starcie z sejmową komisją badającą nielegalne podsłuchiwanie ludzi za pomocą programu Pegasus w czasach wszechwładzy PiS-u. Wygrał, bo przegrać nie mógł. Ten ogromnie nieinteresujący spektakl

oglądaliśmy w rosnącym zdumieniu i – co tu kryć – rozdrażnieniu, a potem w nader przykrym poczuciu czczości i w smutku wynikłym ze zmarnowanego dnia. Tych stanów nie zlikwidowałyby nawet tir płynu na podwieczorek. Niestety.

Oto było nam źle nie dlatego, że komisja śledcza p. Kaczyńskiemu dokuczała zbyt mało. Ani nie dlatego, że p. Kaczyński dokuczał członkom komisji mniej lub bardziej, że dawał sobie radę w intelektualnej zabawie, którą zawsze było i powinno być badanie człowieka krzyżowym ogniem pytań. Nie, bowiem z żadną trudnością czy też sprawdzianem na refleks bądź gibkość umysłu p. Kaczyński nie musiał się zmierzyć. Nikt zresztą nie musiał. Po prostu świadek przyszedł i siedział. Zredagował dla komisji przysięgę, przysięgł więc cokolwiek, a potem mówił, co mu się podoba do ludzi, którzy mu się nie podobali. Choć spodobać się powinni. Jego autorską wersję przyrzeczenia, że będzie mówił cokolwiek, członkowie komisji przyjęli bez szemrania. I w ogóle, i w szczególności, nie sprawili mu ani przez moment żadnego kłopotu. Ani umysłowego, ani fizycznego, ani metafizycznego. Jedyne, o co mógł p. J. Kaczyński mieć pretensje do śledczych – podobnie jak my – to strata dnia. Bo mógłby sobie w tym czasie pojechać w teren, na spotkanie z wielbicielami i mówić do

nich plus minus to samo, co powiedział przed komisją, z tą różnicą, że tamta publiczność by klaskała i błagała, by zbawił Polskę bez trybu. Sądzymy jednak, że był i tak zadowolony, bowiem członkowie komisji śledczej dali mu nieograniczoną możliwość wyrażania śladowo sensownych treści, w tonacji, którą lubi najbardziej.

Oto p. J. Kaczyński traktował ich mniej więcej tak źle, jak traktuje się natrętnych jegomościów w barze, tuż przed zamknięciem. Jeszcze bez łomotu, ale już z pogardliwym dystansem, pełnym lekceważeniem, półgębkiem i z wyższością, którą odczuwa człowiek trzeźwy na widok bełkoczącego. Gdyby zastosować jakąś parabolę, można by rzec, że p. J. Kaczyński bez ustanku mówił, z rzadka tracąc cierpliwość: „Odejdźże już człowieku, połóż się”.

Ktoś tu się wzdygnie, że oto wybrzydząmy bądź podzielimy opinie zwolenników b. Gospodarza, rozgłaszających, że ich przywódca „zaorał” komisję. Cóż na to powiedzieć? Jak się usprawiedliwić? Nasze spostrzeżenie jest takie, że nie trzeba być p. J. Kaczyńskim, być byłym po wielokroć członkiem rządu RP, nie trzeba cienia geniuszu, obycia, sławy, nie trzeba mieć buławy ani w plecaku, ani w rękę, żeby nic nie musieć. Żeby nic nie powiedzieć podczas całodniowego przesłuchania przed komisją śledczą polskiego parlamentu. Przed tą komisją. Oto każdemu z nas, jak tu ponuro siedzimy, bez względu na ograniczenia umysłowe, na aktualną ilość promili, udałaby się ta sztuczka. Po prostu każda Polka i każdy Polak mógłby przed tą komisją wymyślić sobie nie tylko przysięgę, ale powiedzieć byle co, tylko po to, by zabić nieco czasu bliźnim.

Nasze zdziwienie, ale i nieskrywane rozdrażnienie, nie wzięły się znikąd. Samiśmy sobie winni. To plon naszej słabutkiej orientacji, kim są dzisiejsi posłowie RP i jaki poziom reprezentują. Doprawdy, żeby tę dziarską komisję, mającą zbadać bodaj najpoważniejsze przestępstwo ostatnich lat, dezorientować, zbić z tropu, sprowokować do prostactwa, głupawych odzywek, chrapliwych okrzyków i błakania się bez żadnej potrzeby po pustyni wszelakiego sensu, wystarczyłby dobrotliwy siedemdziesięcioparolatek bez obiadu. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.



Gwarancja SLA



Obiekt klasy Tier 3



Transmisja danych
do krajowych operatorów



Samodzielny dostęp
do szaf w trybie 24/7



Redundantne połączenie
z siecią Internet



Monitoring 24/7
oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.



Systemy
przeciwpożarowe



Systemy
chłodzenia



Niezależne
zasilanie



s-net.pl/data-center



Skontaktuj się z nami

+48 **12 395 71 00**

SAGA RODZINNA, POWIEŚĆ KRYMINALNA, PRZYGODOWA I HISTORYCZNA

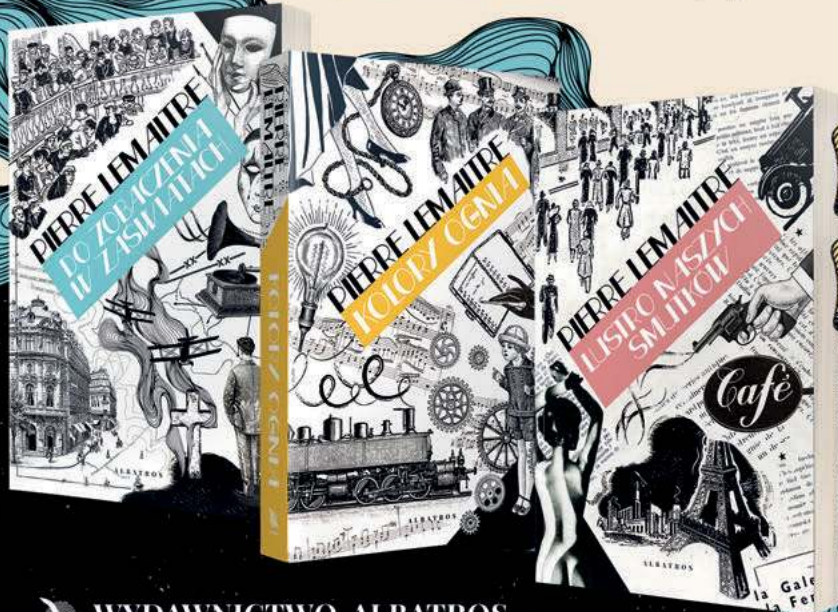
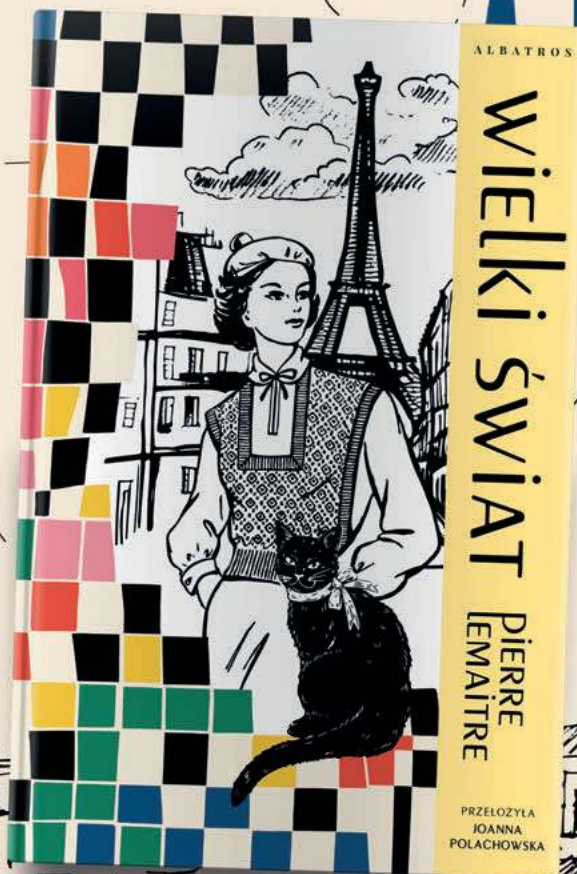
LAUREAT NAGRODY GONCOURTÓW
PORYWA CZYTELNIKÓW DO BEJRUTU,
PARYŻA I SAJGONU W SZALONY WIR
POWOJENNEJ PROSPERITY!

Ekstrawagancka „komedia ludzka” – zuchwała, pełna
ironii, miejscami wręcz zjadliwa.

Książka na miarę francuskich mistrzów
Balzaca i Stendhala.

Wszystkie wydarzenia, dziejące się na kartach tej
książki, zostały umieszczone pod lupą historii,
która choć ma francuskie DNA, jest uniwersalna.

Od miłości po zbrodnię, od polityki po pasję,
od zdrady po zemstę – w nowym
powieściowym cyklu: *Lata chwały*.



NOWE WYDANIA EPICKIEJ TRYLOGII

DZIECI KATASTROFY